

CYFROWY DETOKS
Wyjść z sieci
i zostać w świecie

RAFAŁ MATYJA
Imperium PiS
przesuwa granice

KOŚCIELE, SŁUCHAJ KOBIET
To nie obsesja feministek,
tylko być albo nie być

JOHN M. COETZEE
Najsmutniejszy
pisarz świata

Kraków 25 marca 2018 nr 13 (3585)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

TOMASZ BUDZYŃSKI: Bóg ludzi nieświętych

W NUMERZE:
WIELKIE PYTANIA.
PRZEŁOMY W FIZYCE

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425





OPERA
ZAWSZE
POD RĘKĄ

LUDOMIR RÓŻYCKI
EROS I PSYCHE
NOWAK / WYSOCKA

OD 21 MARCA
OGLĄDAJ NA:
operavision.eu



OPERA VISION



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano
ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”

KS. ADAM

Boniecki: Apologia ciszy

PRAGNIEMY CISZY, SZUKAMY JEJ, NUŻĄ NAS HAŁASY.

Ale też ciszy się boimy, męczy nas, nie wiemy, co z nią zrobić. Czas długich, samotnych podróży samochodem mógłby być czasem ciszy, jednak zamiast ciszą wolę ten czas wypełnić słuchaniem audiobooków, książek lepszych i gorszych. Kiedy podróżuję pociągiem, irytują mnie i męczą dochodzące ze wszystkich stron krzyżane rozmowy przez telefony komórkowe. Podobnie w kawiarni czy restauracji męczące są głośne rozmowy przy sąsiednich stolikach. W różnych innych sytuacjach utrapieniem bywa gadanie o byle czym. Utrapieniem jest nadmiar słów, nie tylko zresztą słów. Oglądam wiadomości w dzienniku telewizyjnym, w Onecie czy na portalu WP. Zamykam, a w głowie zostają ledwie strzępy wiadomości, ważne i drugorzędne. Hałas nas ściga, wdzierza się wszędzie, także w zacisze klasztoru, za sprawą wszechobecnego internetu...

Raz w roku zamykam się na sześć dni w klasztorze kamedułów. Sześć dni w zupełnym milczeniu, bo nawet nie ma z kim rozmawiać, jako że kameduli – pustelnicy – nie rozmawiają. Trzy razy dziennie niewidzialna ręka stawia tacę ze skromnym posiłkiem pod drzwiami, mnichów widuję w kościele na modlitwach i czasem z daleka, pracujących w milczeniu. Czas, poza wspólnymi modlitwami przed świtem i w ciągu dnia, mam dla siebie. Bez Onetu i Wirtualnej Polski, oczywiście bez radia i telewizji. Początkowo, jak z twardego dysku, wyświetlają się niezliczone sprawy do załatwienia i problemy do rozwiązania, powracają zasłyszane zdania, spotkani ludzie i wydarzenia. Potem przychodzi cisza i pustka. Lista zadań do wykonania i spraw do załatwienia została w domu. Jestem tam, żeby – jak się to mówi – spotkać siebie, a nade wszystko spotkać i usłyszeć Boga, który przemawia w ciszy.

Dla człowieka czynnego doświadczenie pustyni jest trudne i zaskakujące. Jak głodówka oczyszcza organizm z niepotrzebnych substancji, tak pustynia uwalnia głowę od nieświadomości



dzień po dniu, bez ładu i składu gromadzonych rupieci. Jednak Bóg się *ipso facto*, „automatycznie” nie objawia. Jednak w ciszy łatwiej usłyszeć Jego głos, jeżeli coś powie, bo przemawia w ciszy.

Kiedy po tygodniu opuszczam erem na Srebrnej Górze, czuję się tak, jakbym wracał z dalekiej podróży. Nie przeszkadza mi to, że nie wiem, co się w tym czasie wydarzyło w redakcji, a co w Sejmie Rzeczypospolitej.

Cisza i oderwanie wyostwiają uwagę i pozwalają łatwiej dostrzegać rzeczywistą wartość spraw i rzeczy.

Cisza i samotność sprzyjają mądrości. Trzeba umieć milczeć, by mieć coś do powiedzenia i przynajmniej od czasu do czasu побыć w samotności, by zdobyć umiejętność bycia pośród ludzi.

Jest jednak jeden warunek: samotność i cisza muszą być przeze mnie wybrane lub przynajmniej wewnętrznie zaakceptowane. Osamotnienie starości, choroby, więzienia, obcości może być przekleństwem, jakby śmiercią za życia, nie błogosławieństwem. Dlatego samotności i milczenia trzeba się przez całe życie uczyć.

Wystawieni na nieustanne rażenie mediów, słuchając wyselekcjonowanych przez innych informacji, komentarzy, cudzych osądów, zachwytów i krytyk nieświadomie je przyswajamy (i jako własne powtarzamy), jeśli zabraknie nam czasu na własną refleksję w ciszy.

Głosząc tu apologię milczenia i ciszy, muszę jednak dodać małą apologię spotkania z innym... Napisał Hans Urs von Balthasar („Duch chrześcijański”): „Historia duchowości chrześcijańskiej ukazuje, ogólnie mówiąc, nieodwracalny zwrot od samotności ku wspólnocie, od ucieczki od świata do zwrócenia się ku niemu (...). Mnich staje się apostołem, kontemplacja jego zmienia się w akcję misyjną”. I zauważa: „wielcy posłańcy Boga pojawiają się prawie zawsze po dłuższym pobycie na pustyni”.

Ale, niestety, komu dzisiaj się uśmiecha dłuższy pobyt na pustyni? © P

TP

WYJĄTKOWO JUŻ OD WTORKU 27 MARCA W KIOSKACH

Tygodnik na Święta Wielkiej Nocy

a w nim moc czytania:

- Ks. Grzegorz Strzelczyk: Co Jezus czuł na krzyżu ■ Szymon Hołownia: Ostatnia szansa Dobrego Łotra
- Reportaż sądowy z procesu Jezusa ■ Ryszard Koziotek: Dlaczego Bóg chodził na bosaka
- Niech post się nie kończy – rozmowa o sensie niedosytu w czasach obfitości
- Bartłomiej Dobroczyński: Plemiona w drodze na rezurekcję
- Wojciech Jagielski: Opowieść o krainie diamentów i dobrym królu Botswany
- Olga Tokarczuk o dziwności życia i słowach, których nigdy nie użyje
- Wielkanoc ze strażą pożarną ■ Korespondencje z Burkina Faso oraz obozów dla Rohingów w Bangladeszu



Rekolekcje wielkopostne ks. Adama Bonieckiego oglądaj na powszech.net/rekolekcje

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Konflikt się rozwija

ANNA ŁABUSZEWSKA

6-11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Polityka zaciśniętych zębów

RAFAŁ MATYJA: Zbliża się weryfikacja strategii przyjętej przez opozycję po 2015 r.

26 Spokój w Łku

BARTOSZ JÓZEFIAK: Po ponad roku od zabójstwa przed barem z kebabem zaczął się proces w tej sprawie

29 Zetknięcia nieuniknione

JUSTYNA MARCINKOWSKA: Chłopaki z Bródna kopią piłkę z drużynami z Etnologii

■ ■ WIARA

32 Pokusa ratuje życie

ROZMOWA Z TOMASZEM BUDZYŃSKIM, MUZYKIEM: *Dobra Nowina wszystko zmienia, bo skoro jesteś kochany, to sam możesz kochać*

36 Pilnie potrzebna strategia dla kobiet

UZANNA RADZIK: *Głośne pytanie o rolę kobiet w Kościele nie jest tylko obsesją garstki katolickich feministek*

39 Post od czterech kółek

DOROTA BIDZIŃSKA: *Ekologiczny Wielki Post niemieckich katolików i ewangelików*

40 Pomyśleć śmierć

SZYMON HIŻYCKI OSB: *Szósta część rekolacji z Ojcami Kościoła*

■ ■ ŚWIAT

42 Rozchwiany porządek

OLAF OSICA: *Decyzje Trumpa a wojna handlowa ze światem*

MONTAŻ „TP”

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Cyfrowy post

MATEUSZ HALAWA

Od wieków marzymy o tym, żeby choć na chwilę odłączyć się od społeczeństwa.

Dziś, gdy nasze urządzenia prawie wszędzie mają zasięg, a nasze tożsamości są splecione z życiem online, wydaje się to niemożliwe.

16 Uciec z sieci – ale dokąd?

PIOTR SIKORA

Zamiast snuć utopijne wizje o odłączeniu, trzeba się skupić na Najważniejszym.

■ ■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER

41 SZYMON HOŁOWNIA

51 WOJCIECH BONOWICZ

68 JAN KLATA

69 PAWEŁ BRAVO

74 STANISŁAW MANCIEWICZ

74 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ ■ DODATEK SPECJALNY ■

Wielkie Pytania. Przełomy w fizyce

Okładka: TOMASZ BUDZYŃSKI

Fotografia: WOJCIECH SKRZYPCZYŃSKI dla „TP”

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

45 Na styku cywilizacji

ROMAN HUSARSKI:

Na Sri Lance wojna się skończyła, ale szaleństwo nie zniknęło

49 Dzień zero w Kapsztadzie

AGATA KASPROLEWICZ: *Czy w metropolii RPA zabraknie wody?*

■ ■ HISTORIA

52 Operacja „Przybój”

JOANNA HYTREK-HRYCIUK
o akcji deportacyjnej z krajów bałtyckich po II wojnie światowej

54 Warto dzielić włos na czworo

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI:
Czy Polska okupowała Ukrainę? A jeśli tak, to kiedy?

■ ■ KULTURA

56 Najsmutniejszy pisarz świata

MICHAŁ SOWIŃSKI
o Johnie Maxwellu Coetzee

60 Biedny krakowianin

PATRZY NA GETTO
TOMASZ FIAŁKOWSKI
o książce Katarzyny Zimmerer

62 Przeciw Tobom

DARIUSZ KOŚCIŃSKI: *Polski teatr pół wieku po Marcu 1968*

65 Przewrotne obrazy

PIOTR KOSIEWSKI:
Czy dawnym dziełom można przywrócić moc oddziaływania?

66 Ta, która wie

ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Wieża. Jasny dzień”

67 Warto zobaczyć w TV

68 Widziane z uniwersytetu

LEKTOR *o książce „Józefi Maria Czapski, Katarzyna i Zbigniew Herbertowie. Korespondencja”*

■ ■ ZMYŚL

70 I odpuść nam nasze długi...

ROZMOWA Z PROF. DAVIDEM GRAEBEREM, ANTROPOLOGIEM

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Spornik (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Michał Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Lubiński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Nocui, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena
Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa
Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotodycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ
TYGODNIA

TOKSYCZNY PREZYDENT

Przeprowadzony na terenie Wielkiej Brytanii atak chemiczny może być punktem zwrotnym w relacjach między Kreml i Zachodem.

ANNA ŁABUSZEWSKA

WSPRAWIE OTRUCIA EKSPUŁKOWNIKA rosyjskiego wywiadu Siergieja Skripala i jego córki Julii w brytyjskim Salisbury jedno można już powiedzieć na pewno: wywołany tą próbą zabójstwa kryzys na linii Moskwa–Londyn – a właściwie na linii Moskwa–Zachód, bo główne kraje zachodnie stanęły u boku Londynu – będzie mieć ciąg dalszy.

Substancja nowiczk (debiutant), użyta do otrucia Skripala, to preparat noszący cechy chemicznego środka bojowego. Londyn ogłosił, że ma dowody, iż w ostatnich 10 latach Rosja prowadziła badania nad tą substancją i ją produkowała. Theresa May przedstawiła Ro-

sji ultimatum, żądając wyjaśnień. Moskwa nic nie wyjaśniła. Premier stwierdziła: albo decyzję o ataku chemicznym podjęto na najwyższym szczeblu, albo Rosja straciła kontrolę nad bronią masowego rażenia. Szef brytyjskiego MSZ Boris Johnson wskazał personalnie Putina jako tego, który podjął decyzję o ataku chemicznym. Kolejnym krokiem Londynu było wydalenie 23 rosyjskich dyplomatów (40 proc. dyplomatycznej obsady ambasady) i decyzja, że delegacja polityczna nie pojedzie do Rosji na mundial (udziału piłkarzy nie odwołano, choć było wiele głosów za bojkotem mistrzostw). Po kilku dniach Rosja ogłosiła

Władimir Putin zadowolony z decyzji rodaków – w minioną niedzielę wygrał kolejne wybory prezydenckie. Siedziba sztabu wyborczego prezydenta Rosji, Moskwa, 18 marca 2018.

→ decyzję o „lustrzanych” wydaleniach 23 brytyjskich dyplomatów. Putin w wieczór wyborczy podważył wersję, że ekspułkownika otruto środkiem bojowym, „bo w takim razie ofiary zmarłyby na miejscu”.

Londyn szuka poparcia sojuszników – i znajduje. Mnożą się wypowiedzi zachodnich polityków, że Rosja jest coraz bardziej groźna i nieprzewidywalna. To nie zapowiada szybkiego zdjęcia sankcji. Przeciwnie: w minionym tygodniu USA nałożyły kolejne, na kilkanaście osób i organizacji z Rosji, za ingerencję w wybory prezydenckie.

Tymczasem w niedzielę Rosjanie wybrali Putina na kolejną kadencję (oficjalnie poparło go ponad trzy czwarte głosujących). Sprawa Skripala była jednym z głównych tematów w rosyjskich mediach ostatnich dwóch tygodni. W kontekście wyborów wyśmiewanie się z bezsilności Brytyjczyków sprzedało się świetnie na rosyjskim podwórku. Słysząc było mantrę: „To nam udowodnicie”.

Kontekst wyborczy jest tu nie bez kozery. Kremlowi zależało na jak najwyższej frekwencji. Przez tę część elektoratu, która wierzy w intrygi Zachodu i wielbi Putina, który „dał nam Krym” (elekcja miała miejsce w czwartą rocznicę jego aneksji), historia Skripala (bądź co bądź zdraycy, więc dobrze mu tak) odbierana jest jako kolejna prowokacja Zachodu wobec wstającej z kolan Rosji. A jako taka wzmacnia nastroje proputinowskie i mogła być tym czynnikiem, który dodatkowo zagonił ludzi do urn. Na przykładzie sprawy Skripala można było zademonstrować elektoratowi, że świat musi się z Rosją liczyć.

Kreml zaprezentował tu szerokie możliwości działań destrukcyjnych. Niezbyt stanowcza odpowiedź Londynu mogłaby utwierdzić go w przekonaniu, że to skuteczny sposób uprawiania polityki wobec strachliwego Zachodu. W komentarzach telewizyjnej propagandy było wiele sarkazmu wobec „grupy wysepek na Morzu Północnym, które ludzie na globusie dostrzec mogą jedynie przez lupę”.

Sprawa Skripala nie zniknie szybko z agendy – i będzie wpływać na relacje Rosji z Zachodem.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Waszyngton: chaos w administracji

Z DONALDEM TRUMPEM trudno się nudzić: dynamika wydarzeń w centrum władzy w USA w ostatnich dniach się zwiększa. Chodzi nie tylko o personalną karuzelę w administracji, lecz także o rosnące napięcie między prezydentem i specjalnym prokuratorem Robertem Muellerem. Jego śledztwo dotyczy trzech punktów: ingerencji Rosji w wybory w 2016 r., relacji ludzi Trumpa z Kreml i pytania, czy Trump już jako prezydent wpływał na działania instytucji badających dwie wcześniejsze sprawy. Kolejne kroki Muellera dotyczą coraz bardziej osoby prezydenta i wiele wskazuje, że wkrótce dojdzie między nimi do zderzenia.

Najpierw: karuzela personalna. Trump zwolnił sekretarza stanu Rexa Tillersona (w sposób upokarzający, ogłaszając to na Twitterze), z którym trudno było mu się porozumieć. Nowym szefem dyplomacji ma być Mike Pompeo z prawego skrzydła Republikanów, który miejsce w Izbie Reprezentantów zdobył w 2010 r. z poparciem ruchu Tea Party. Przez ostatni rok szef CIA jest uważany za lojalnego „trumpiste” i podziela wiele poglądów Trumpa w takich kwestiach jak islam, terror, Korea, Iran itd. Ale gdy idzie o Ro-

sję, Pompeo nie ma złudzeń: jego oceny nie różnią się od zdecydowanej większości elity politycznej, Republikanów i Demokratów. Po jego nominacji lider Demokratów w Senacie Chuck Schumer wyraził nawet nadzieję, że Pompeo otworzy nowy rozdział w polityce wobec Kremla, czytając: że będzie twardszy (Demokraci oczekują tego, przypisując Putinowi współwinę za porażkę w 2016 r.).

Kolejna kwestia personalna ma potencjał, by wywołać w USA kryzys przywództwa: są sygnały, że Trump przygotowuje usunięcie z urzędu Roberta Muellera – po tym, jak specjalny prokurator zażądał od firmy prezydenta (Trump Organization) dostępu do akt dokumentujących jej relacje biznesowe z Rosją. Po tym, jak Trump zaatakował Muellera (na Twitterze, zarzucając mu stronniczość), w obronie prokuratora stają ważni republikkańscy senatorowie – np. Lindsey Graham ostrzegł Trumpa, że jeśli podjąłby on próbę usunięcia Muellera, „byłby to początek końca jego prezydentury”.

Również Republikanie krytykują nagłe zwolnienie byłego wiceszefa FBI: Andrew McCabe został wyrzucony na dwa dni przed uzyskaniem uprawnień emerytalnych (podobno chciał tego Trump). Był on wcześniej zaangażowany w śledztwo w sprawie RussiaGate. McCabe mówi, że swoje notatki – podobno obciążające prezydenta – przekaze Muellerowi. © WP / FAZ, NZZ, SWP, DPA



SOPA IMAGES / GETTY IMAGES

Bratysława: premier odchodzi, protesty trwają

CHOĆ PREMIER ROBERT FICO ustąpił, Słowacy nadal demonstrują na ulicach, domagając się głębszej politycznej zmiany w kraju.

Dymisji premiera żądała opozycja, część polityków koalicji i przede wszystkim uczestnicy masowych demonstracji, które zaczęły się po zabójstwie dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej [patrz „TP” nr 12/2018 – red.]. Początkowo Fico wykluczał dymisję, a gdy

się na nią zdecydował, zrobił to pod warunkiem, że to jego partia Smer (a więc *de facto* on sam) znów wskaże premiera. Jego następcą ma być Peter Pellegrini, dotąd wicepremier i bliski współpracownik Fico.

Dla protestujących za to mała zmiana personalna, niegwarantująca oczyszczenia polityki z korupcji i dwuznacznych powiązań (o tym pisał zabity dziennikarz). Dlatego demonstracje nadal są organizowane, a ostatnia w Bratysławie – w piątek, 16 marca – była jeszcze większa niż poprzednie: protestowało 65 tys. ludzi. Napięcie mogłoby rozładować przedterminowe wybory, ale tych Fico chce uniknąć – po śmierci Kuciaka i zarzutach korupcyjnych wobec ludzi związanych ze Smerem jej notowania gwałtownie spadły (zyskują za to partie skrajne).

Kolejny krok należy do parlamentu. Na razie koalicja ma większość, ale na postawę posłów mogą wpłynąć kolejne protesty oraz skład przyszłego rządu (szczególnie obsadzenie MSW). Ostatniego słowa nie powiedział też prezydent Andrej Kiska, który oczekuje, że nowy rząd nie będzie polaryzować Słowaków i zrobi wszystko, by wyjaśnić zabójstwo Kuciaka i Kušnírovej. © PATRYCJA BUKALSKA

Polska w B-klasie praworządności

MARCIN MATCZAK



KIEDY W UBIEGŁYM ROKU PRZEWIDYWAŁIŚMY W „Tygodniku”, że atak PiS na sądownictwo doprowadzi do paraliżu współpracy pomiędzy polskim wymiarem sprawiedliwości a zagranicą, liczyliśmy, że do tego nie dojdzie. Niestety, doszło. Na początku marca irlandzki sąd odmówił wykonania Europejskiego Nakazu Aresztowania (ENA), a tym samym zabronił wydać Polsce jej obywatela oskarżanego o handel narkotykami. Wątpiąc, czy w Polsce można obecnie liczyć na sprawiedliwy proces, sąd wystąpił do Trybunału Sprawiedliwości UE z pytaniem, które najważniejszemu sądowi Unii pozwoli ocenić stan polskiej praworządności.

Współpraca państw w Unii opiera się na zaufaniu. Kiedy kontrolujemy ludzi przekraczających naszą wschodnią granicę na mocy układu z Schengen, inne państwa ufają, że robimy to porządnie, i kontroli u siebie nie powtarzają. Podobnie wykonanie ENA jest wyrazem zaufania, że prokuratura i sądy państwa, które taki nakaz wydało, wykonują swoją pracę właściwie, a więc zgodnie z zasadami praworządności. Nie ma więc potrzeby ponownej oceny jakości tej pracy i ENA realizuje się automatycznie. Inaczej jest w przypadku wydawania podejrzanych do państw, którym Unia nie ufa, ponieważ nie zapewniają standardów. Takimi państwami są np. Białoruś i Rosja. Teraz do tego grona dołącza Polska, co trudno traktować inaczej niż degradację z ekstraklasy praworządności do B-klasy.

Jeśli Trybunał potwierdzi wątpliwości irlandzkiego sądu, będziemy świadkami spektakularnej porażki „reform”, które miały poprawić skuteczność polskiego wymiaru sprawiedliwości. W ich efekcie przestępcy chcącemu uniknąć w Polsce odpowiedzialności wystarczy przekroczyć niestrzeżoną granicę w Ślubicach i usiąść w kawiarni w Frankfurcie nad Odrą. Stamtąd będzie mógł się śmiać w oczy polskiemu wymiarowi sprawiedliwości, któremu, ze względu na jego upolitycznienie, już nikt nie będzie ufał. ©



Tomasz Komenda opuszcza więzienie, 15 marca 2018

KRZYSZTOF KANIEWSKI / REPORTER

Minister Jaki odkrywa zasadę domniemania niewinności

„KULAWE PAŃSTWO stworzone przy okrągłym stole, III Rzeczpospolita w pigułce” – tak wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki widzi polityczny wymiar sprawy Tomasza Komendy, warunkowo zwolnionego z więzienia, gdzie od 18 lat odsiadywał – najprawdopodobniej niewinnie – wyrok w sprawie o gwałt i morderstwo. Zwierzchnik Jakiego, Zbigniew Ziobro, opowiada o „zamiataniu pod dywan” w przeszłości faktów mogących posłużyć do podważenia wyroku.

Skazanie nastąpiło po śledztwie i postępowaniach sądowych, w których udział miało wiele podmiotów – obecnie każdy z nich może być łatwym celem populistycznej narracji o nieudolnym aparacie państwa niszczącym ludzkie życie. Nad sprawą należy się pochylić z uwagą, starając się dociec, czy i jak do błędu doprowadziło coś więcej niż zbyt niedokładne kiedyś techniki dochodzeniowe. Czy i jaki miał w tym udział pośpiech oraz presja idąca z góry – po to, by zadowolić społeczną potrzebę szybkiej sprawiedliwości i zaspokojenia popytu opinii publicznej na zemstę. Nie od rzeczy będzie w związku z tym przypomnieć, iż na pewnym ważnym etapie postępowania ministrem sprawiedliwości, decydującym o personaliach we wrocławskiej prokuraturze, był Lech Kaczyński.

Wiele jest do wyjaśnienia – ale akurat Ziobro i Jaki są ostatnimi politykami, którzy mogliby dziś zbijać kapitał na piętnowaniu nadmiernie surowego i pospiesznego sądzenia ludzi. Zbyt wiele razy dawali wyraz swojej pogardzie dla zasady domniemania niewinności.

© P PAWEŁ BRAVO

W SKRÓCIE

OBIEKTY MUZEALNE. Wypowiedzi Magdaleny Ogórek (domagała się, by Marek Borowski powiedział, dlaczego nie nazywa się Berman) i Rafała Ziemkiewicza (pisał o „głupich względnie chciwych parchach”) znalazły się na wystawie o Marcu '68 w Muzeum POLIN jako przykłady antysemityzmu. Oboje zapewniają, że nie są antysemitami: ona tłumaczy, że „polityk, który czerpie profity z pełnienia funkcji publicznych już w wolnej Polsce, o którą walczyli Patrioci Wyklęci, musi się z takimi pytaniami liczyć”, on pisze o „bezczelności i głupocie muzeum”, które „zamiast statutowym celem służyć partyjnej propagandzie »opozycji totalnej«”.

ZWIEDZAJĄCY. Senatorowie PiS Artur Warzocha i Rafał Ślusarz złożyli do marszałka Senatu oświadczenie, w którym oskarżyli Muzeum POLIN o szerzenie kłamliwych tez o „antysemityzmie wtórnym” podczas wykładu dr. hab. Michała Bilewicza, donosząc przy okazji, że naukowiec ów dostał 2 mln zł grantu z Narodowego Centrum Nauki. Bilewicz skomentował zarzuty nieobecnych na jego wykładzie polityków przywołaniem fragmentów przemówienia Gomułki.

MECENAS WYSTAWY. Być może jakimś pomysłem na kłopoty, jakie stwarza rządzącym Muzeum POLIN, może być nowo tworzona placówka – Muzeum Getta Warszawskiego, o której wicepremier Piotr Gliński powiedział, że ma być „muzeum 800 lat miłości między dwoma narodami”. Getto jako symbol miłości między narodami to dopiero koncepcja warta grantu.

KUSTOSZ. Tam, gdzie nowego muzeum raczej się nie założy, można spróbować zmienić dyrektora. „Najpaskudniejsze odmęty polskiej prawnicy rozpełtały wobec niego niezwykle potężną nagonkę” – skomentował Paweł Cywiński trwające w ostatnich tygodniach ataki na jego brata Piotra, pod którego rządami Państwowe Muzeum Auschwitz rzekomo w niedostateczny sposób eksponuje cierpienia Polaków, a nadmiernie – cierpienia Żydów. Do rozstrzygnięcia pozostaje kwestia, czy Cywińskiego ma zastąpić Ogórek czy Ziemkiewicz.



Alkohol: nie zawsze i nie wszędzie

W KRAJU, W KTÓRYM PIWO i wódkę o każdej porze i w niemal dowolnym punkcie łatwiej dostać niż specyfiki na przeziębienie, te zmiany mogą zaskakiwać. Nie dość, że obowiązująca od niedawna, skorygowana ustawa o wychowaniu w trzeźwości zakazuje picia we wszystkich miejscach publicznych (dotąd miejsca te były wyznaczone w przepisach, co budziło interpretacyjne kontrowersje), to już wkrótce alkohol może być niedostępny po godzinie 22. Ta akurat zmiana zależy jednak od samorządów: to one zdecydują, czy obostrzenia wprowadzać, a jeśli tak, to czy powinny dotyczyć

wszystkich punktów i każdego rodzaju alkoholu.

Polska należy nie tylko do krajów o największym spożyciu w Europie (z danych ubiegłorocznych wynika, że wypijamy na głowę 9 litrów mocnego alkoholu rocznie i niemal sto litrów piwa), ale też o najłatwiejszym dostępie do napojów wysokowykwalifikowanych. Tymczasem badania (m.in. te prezentowane przez WHO) pokazują zależność między dostępnością a skalą problemu. W Polsce ok. 600 tys. to uzależnieni, zaś kolejne 6 milionów to pijący za dużo.

Zmiany przepisów problemu nie rozwiążą. Ale mają szansę zmienić zakorzenione w nas przekonanie, że alkohol – dostępny niemal wszędzie i niemal wszędzie spożywany – to produkt pierwszej potrzeby. ©© PW

LICZBA TYGODNIA

38

procent. Tytu Polaków przeczytało w ubiegłym roku co najmniej jedną książkę – wynika z badań Biblioteki Narodowej.

„Modlitwa” za papieża

KS. JACEK PRUSAK SJ



NIE BOJĘ SIĘ POWIEDZIEĆ Z PEŁNYM PRZEKONANIEM, że słowa ks. prof. Edwarda Stańka: „Modlę się o mądrość dla papieża, o jego serce otwarte na działanie Ducha Świętego, a jeśli tego nie uczyni – modlę się o szybkie jego odejście do Domu Ojca”, to nie tylko skandal liturgiczny, ale objaw choroby duchowej nie małej części polskiego kleru. Dotąd żaden duchowny w Polsce nie posunął się w krytyce pontyfikatu poza magiczną formułę „należy go przeczeć”. Teraz usłyszeliśmy wołanie o przyspieszenie tego momentu, bo były rektor krakowskiego seminarium przypisał sobie specjalny wgląd w Boską Opatrzność.

Reakcja metropolity krakowskiego abp. Marka Jędraszewskiego jest jasna: „Zapewniam, że w intencjach Ojca Świętego Franciszka modli się codziennie i żarliwie cały Kościół Krakowski, upraszając u Pana Boga tak konieczne dla Niego łaski w pełnieniu Urzędu Piotra w jednym, świętym, katolickim i apostołskim Kościele”. Sęk w tym, że ks. Staniek nie uważa, iż zrobił coś złego, tylko że jego krytycy nie kochają Kościoła tak mocno jak on. W tym samym mieście, nie tak dawno temu, inny znany kaznodzieja przyrównał Franciszka do Antychrysta i nikt nie reagował.

Obawiam się, że „osobista rozmowa” arcybiskupa z ks. Stańkiem to za mało, aby przekonać wiernych, iż księży odmawiający podczas mszy modlitwę za papieża nie kłamią przed Bogiem i ludem Bożym. To nie ks. Staniek wykonuje prorocze gesty i mówi prorocze słowa. Czyni to Franciszek, który idzie za Jezusem i wtedy jest jak skała. ©

Szlifowanie wytycznych w toku

CZY PRACE NAD WYTYCZNYMI ws. duszpasterstwa małżeństw, które od 10 miesięcy są „w ostatecznej redakcji”, dobiegają końca? Podczas posiedzenia KEP biskupi prowadzili nad nimi „pogłębioną dyskusję” – zapewnił bp Jan Wątroba. Dokument ma aplikować w Polsce adhortację „*Amoris laetitia*”, budzącą sprzeciw konserwatystów zapisami nt. komunii dla rozwiedzionych. Przewodniczący Rady ds. Rodziny KEP uspokajał, że „AL” nie zrywa z dotychczasowym nauczaniem Kościoła. Podkreślił, że dokument wyjaśni używane przez Franciszka pojęcie rozeznawania, bo dla większości księży „jest dość mgliste”. Jest to o tyle kluczowe, że „ostatecznie to spowiednik będzie decydować [o dopuszczeniu do komunii – red.]”. Terminu wydania wytycznych nie podano. ©© MAM

O debacie wokół wytycznych pisał Artur Sporniak: www.powszech.net/rozwodnicy



NOWE PRAWO ŁOWIECKIE po poprawkach Senatu zawiera zakaz udziału niepełnoletnich w polowaniach, a także szkolenia psów myśliwskich przy użyciu dzikich zwierząt oraz nakaz cyklicznych badań (także psychologicznych) myśliwych. Na zdjęciu Międzynarodowe Targi Łowieckie Expo Hunting, Sosnowiec, 16 marca 2018 r. ©



MICHAŁ FLUDRA / NURPHOTO / GETTY IMAGES

CO NAJMNIEJ 40 KM do przejścia w milczeniu w nocy, 100 tys. uczestników, blisko 640 tras w 20 krajach – wymyślona w 2009 r. przez ks. Jacka Stryczka Ekstremalna Droga Krzyżowa cieszy się coraz większą popularnością (w ubiegłym roku 60 tys. uczestników na ok. 450 trasach). Na zdjęciu odprawiona 10 marca na gdyńskiej plaży „zwyčajna” Droga Krzyżowa – choć także w ekstremalnych warunkach pogodowych. © P ASK

Trzy prawdy prałata Viganò

KSIĄDZ DARIO EDOARDO VIGANÒ, prefekt ds. komunikacji w Watykanie, pochwalił się na konferencji prasowej listem od Benedykta XVI. Papież emeryt wyraża radość z nowej serii wydawniczej pt. „Teologia Franciszka”, która ukazuje jego następcę jako „człowieka o głębokiej filozoficznej i teologicznej formacji” oraz dowodzi „wewnętrznej ciągłości między pontyfikatami”.

Krótki list wydrukowano i przekazano dziennikarzom wraz z fotografią pierwszej strony. Sensacyjna wiadomość – papież Benedykt przerywa milczenie! – obiegła świat. Szybko jednak dziennikarze zauważyli, że treść opublikowana w komunikacie jest krótsza od wersji czytanej na konferencji, a na zdjęciu fragment listu został komputerowo rozmazany, aby uniemożliwić jego odczytanie. Pojawiły się oskarżenia o cenzurę. Brakujący tekst odtworzono z nagrań. Wynika z niego, że Benedykt odmówił napisania recenzji do wspomnianej serii, tłumacząc, że „pisze i wypowiada się tylko o książkach, które przeczytał”.

Koronkowa akcja ks. Viganò – by grzeczną odmowę przekuć w tekst pochwalny – zakończyła się samobójczym golem, przynosząc wię-



L'OSSERVATORE ROMANO / EAST NEWS

cej wizerunkowych strat niż korzyści. A dziennikarze widząc, że prałat lubi dawkować prawdę po akapicie, poprosili Stolicę Apostolską o pełny tekst listu. I tak odnalazł się następny fragment, w którym emerytowany papież wyraża dezaprobatę wobec autora jednej z książek, znanego z „podważania autorytetu magisterium Kościoła”.

Biuro prasowe tłumaczy teraz, że nie opublikowało od razu całego listu, gdyż... papież Benedykt zastrzegł jego prywatność. Pokusa, by choć mały fragment wykorzystać dla marketingu, okazała się jednak silniejsza dla prałata Viganò, który bardzo się starał, by „cnotę zachować, a rubelka nie stracić”.

© P EDWARD AUGUSTYN

W SKRÓCIE

BIBLIA EKUMENICZNA.

Po 22 latach od rozpoczęcia pracy nad tłumaczeniem zaprezentowano pełne wydanie Biblii Ekumenicznej. W projekt prowadzony przez Towarzystwo Biblijne w Polsce zaangażowało się 11 Kościołów: rzymskokatolicki, prawosławny, ewangelicko-augsburski, ewangelicko-reformowany, ewangelicko-metodystyczny, polskokatolicki, Starokatolicki Mariawitów, Chrystusowy, Chrześcijańscy Baptystów, zielonoświątkowy oraz Kościół Adwentystów Dnia Siódmego. W prezentacji w warszawskim Muzeum Etnograficznym uczestniczyli m.in. nuncjusz abp Salvatore Pennacchio, kard. Kazimierz Nycz i jeden z tłumaczy – abp Stanisław Gądecki.

ŻYDZI O BISKUPACH. „Głęboko doceniamy komunikat z ostatniego spotkania Episkopatu, który mówi o konieczności kontynuowania dialogu i potępienia wszelkich form antysemityzmu. Podobnie my, rabin, będziemy nadal wypowiadać się przeciwko antypolskim zarzutom wśród Żydów” – napisali naczelny rabin Polski Michael Schudrich oraz Leśław Piszewski, przewodniczący Zarządu Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP w liście do abp. Gądeckiego. Biskupi w komunikacie przypomnieli, że „wszelkie formy antysemityzmu są sprzeczne z zasadami chrześcijańskiej miłości bliźniego”.

NOC KONFESJONAŁÓW. Już blisko 150 kościołów w całej Polsce zgłosiło się do tegorocznej edycji Nocy konfesjonałów. Papież udzielił błogosławieństwa wszystkim spowiednikom. Warunkiem uczestnictwa jest zorganizowanie spowiedzi w Wielkim Tygodniu trwającej przynajmniej do północy oraz zgłoszenie tego na portalu noc-konfesjonalow.pl.

PAPIEŻ U OJCA PIO. „Jak wyzdrowieję, przyjadę cię odwiedzić” – powiedziała 13-letnia dziewczynka chora na raka w rozmowie z Franciszkiem. „Czekam tylko na sygnał” – odpowiedział papież. Podczas jednodniowej pielgrzymki do San Giovanni Rotondo Franciszek spotkał się z dziećmi na oddziale onkologicznym oraz modlił się przy relikwii o. Pio.

Kraj szczęśliwych ludzi

KALINA BŁAŻEJOWSKA



FINLANDIA, NORWEGIA, DANIA, ISLANDIA, Szwajcaria – to pierwsza piątka najszczęśliwszych krajów świata według tegorocznego World Happiness Report. Ogłoszony 14 marca ranking powstał na podstawie danych z badania Gallupa za lata 2015–2017, w którym mieszkańcy 156 krajów szacowali swoje poczucie szczęścia w skali od 1 do 10 (wynik Finlandii: 7,632, wynik najsmutniejszego na liście Burundi: 2,905). W opracowaniu, przygotowanym przez grupę badaczy pod auspicjami ONZ, subiektywne oceny zestawiono z innymi wskaźnikami, jak dochód na mieszkańca, oczekiwana długość życia w zdrowiu, wsparcie społeczne, wolność, zaufanie i hojność. Zbadano też, w których krajach najlepiej czują się imigranci: i tutaj Finlandia zajęła pierwsze miejsce. Z raportu można ponadto wyczytać, że w ciągu ostatniej dekady najbardziej „uszczęśliwili się” Togijczycy, a unieszczęśliwili – Wenezuelczycy.

Jak to możliwe, że najbardziej zadowoleni ludzie żyją w kraju, w którym zima trwa pół roku, a lato tydzień? W którym źle widziane jest okazywanie emocji, a głośny śmiech to rodzaj nietaktu? I w którym alkohol, papierosy i słodczyce są tak wysoko opodatkowane, że trzeba je przywozić z Estonii?

Odpowiedzią może być sisu, czyli narodo-
wa cecha Finów, nieprzetłumaczalne połączenie wytrwałości, hartu i determinacji. A może sekret tkwi w witaminie D, którą w Finlandii dodaje się do nabiału – podstawy diety. Najpewniej jednak chodzi o wzorową, z ducha socjalistyczną politykę społeczną: Finlandia to państwo naprawdę równych szans. Ma doskonały system opieki nad dziećmi i edukacji, wysoki poziom uzwiązkowienia i równouprawnienia, a przy tym wyjątkowo niski odsetek osób żyjących w ryzyku ubóstwa i wykluczenia.

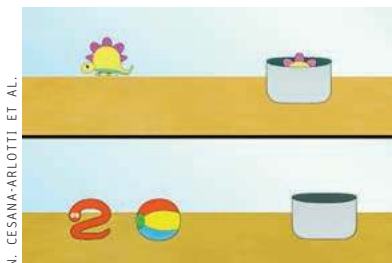
Autorzy raportu zachęcają do brania przykładu z Finów, pisząc: „Szczęście, w przeciwieństwie do złota, można stworzyć dla wszystkich i dzielić się nim bez obawy, że dla kogoś zabraknie. Więcej: szczęście rośnie poprzez podział”. To fragment na ośłodę dla mieszkańców krajów, którym daleko do pierwszej dziesiątki. Takich jak Polska: z wynikiem 6,123 zajęła 42. miejsce, między Nikaragwą a Bahrajnem.

Całość raportu: worldhappiness.report. ©



WOJTEK ROJEK / KBF

FESTIWAL CONRADA, współorganizowany przez Miasto Kraków, Fundację Tygodnika Powszechnego i Krakowskie Biuro Festiwalowe, znalazł się w finale przygotowanego przez Londyńskie Targi Książki konkursu na najlepszy festiwal literacki świata. Werdykt zostanie ogłoszony w kwietniu, inni nominowani to poetycki festiwal w Druskiennikach i festiwal literacki w malezyjskim George Town. Na zdjęciu: Dan Brown podczas Festiwalu Conrada w 2017 r. ©P



N. CESANA-ARLOTTI ET AL.

Logika niemowląt

Modus tollendo ponens to jedno z podstawowych praw logiki. Można je zapisać następująco: jeżeli A lub B i nie A to B. Codziennie spontanicznie się nim posługujemy – np. gdy uświadomimy sobie wychodząc ze sklepu, że albo portfel mamy w kieszeni (torebce), albo zostawiliśmy go w sklepie. Sprawdzamy przy sobie – portfela nie ma. Zatem trzeba wracać do sklepu.

Nicoló Cesana-Arlotti z Uniwersytetu Pompeu Fabry w Barcelonie wraz ze współpracownikami z Hiszpanii, Węgier i Polski postanowili sprawdzić, czy taką samą logiką potrafią kierować się dzieci w wieku przedjęzykowym.

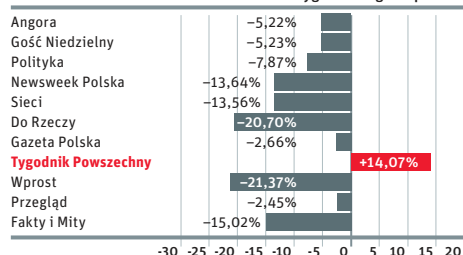
Badacze przygotowali zestaw animacji, na których pojawiały się obok siebie dwie rzeczy wyglądające identycznie w górnej części – np. dinozaur

i kwiatek albo piłka i wąż. 12-miesięczne niemowlęta obserwowały, jak obydwie przedmioty zostają zasłonięte, a jeden z nich (powiedzmy, że piłka) trafia do kubka, z którego wystaje tylko nieodróżnialna (identyczna dla piłki i węża) górna część. Następnie opada zasłona, zza której ukazuje się w całości drugi przedmiot (odpowiednio: wąż). Po chwili z kubka wypadnie pierwszy przedmiot. Ponieważ na scenie jest już wąż, można się spodziewać, że w kubku znajduje się piłka. Badacze interesowało to, czy dzieci okażą zaskoczenie, jeżeli z kubka wypadnie jednak (kolejny) wąż. Analiza zachowania dzieci ujawniła, że w takim przypadku faktycznie spodziewały się one w kubku piłki, a więc intuicyjnie potrafią kierować się logiczną alternatywą i wyciągać wnioski. ©P ŁK

RDC **MATEUSZ HALAWA**
będzie gościem Grzegorza Chłasty w środę 21 marca
o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie
– www.rdc.pl

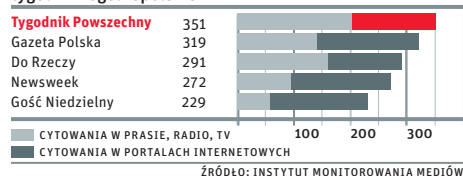
Suwerenni dzięki Wam, nadal rośniemy!

Wzrosty/spadki 2017/2016 SPRZEDAŻ OGÓŁEM Tygodniki ogólnopolskie



DANE ZKDP, WIRTUALNE MEDIA, 20 LUTEGO 2018

Najbardziej opiniotwórcze tygodniki ogólnopolskie styczeń 2018



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Mija kolejny rok, w którym coraz więcej Czytelniczek i Czytelników sięga po „Tygodnik Powszechny”. Ufamy, że ten wynik to nie tylko efekt docenienia przez Państwa niezależności oraz dbałości o obiektywizm i wiarygodność informacji w naszym piśmie, ale także tego, że zabiegamy o jakość debaty publicznej, nie angażując się bezpośrednio w spory partyjne.

ODPOWIEDZIALNE DZIENNIKARSTWO to także niedopuszczenie do degradacji więzi i relacji tworzących wspólnotę. Dlatego na naszych łamach nie stajemy po żadnej ze stron, lecz relacjonujemy fakty, opisujemy postawy i komentujemy poglądy. W działalności pozawydawniczej (festiwale Conrad i Copernicus, akcja społeczna Lekcje Czytania, debaty) staramy się łączyć, nie dzielić, poznawać różne punkty widzenia, dyskutować i poszerzać horyzonty, widząc w tym drogę do pełniejszego poznania świata i wyzbycia się lęku.

JESTEŚMY PRZEKONANI, że los odpowiedzialnego dziennikarstwa leży Państwu na sercu. Dlatego prosimy o przekazanie 1% podatku **FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO**. Jej najważniejszym zadaniem jest zachowanie dziedzictwa „Tygodnika”. Fundacja ponosi też właścicielską odpowiedzialność za suwerenny rozwój pisma. Festiwale kulturalne i akcje społeczne, które organizujemy, pozwalają wyjść z misją „TP” poza gazetowe łamy i przyciągnąć nowych czytelników.

SKALA I SKUTECZNOŚĆ działań Fundacji Tygodnika Powszechnego zależą od naszych Czytelników i Przyjaciół. Za wszelkie wsparcie: 1% podatku, darowizny pieniężne czy sponsoring naszych przedsięwzięć – jesteśmy Państwu ogromnie wdzięczni.



Fundacja Tygodnika Powszechnego posiada status OPP, co oznacza, że można, i że warto przeznaczyć na jej działalność 1 procent podatku, wpisując w rozliczeniu rocznym PIT w odpowiedniej rubryce nr KRS: **0000125605**

Darowizny na rzecz Fundacji prosimy wpłacać na konto: **31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**



Ks. Adam Boniecki
redaktor senior,
przewodniczący
Rady Fundacji TP



Aleksander Kardys
prezes zarządu
Fundacji TP



Edyta Płachta
członkini zarządu
Fundacji TP



Jacek Ślusarczyk
prezes zarządu „TP”



Maja Kuczińska
członkini zarządu „TP”



Piotr Mucharski
redaktor naczelny
„Tygodnika Powszechnego”

CYFROWY POST

Od wieków marzymy o tym, żeby choć na chwilę odłączyć się od społeczeństwa.
Dziś, gdy nasze urządzenia prawie wszędzie mają zasięg,
a nasze tożsamości są splecione z życiem online,
wydaje się to niemożliwe.

MATEUSZ HALAWA



W 1854 r. HENRY DAVID THOREAU opublikował „Waldena”, długą medytację o prostym życiu, w którym dojrzały człowiek w samotności może odnaleźć spokój, oddzielić to, co ważne, od tego, co nieważne, i stać się lepszy. Doświadczenia, które złożyły się na „Waldena”, zdobywał, mieszkając samotnie przez dwa lata w domu w lesie w Massachusetts. Eksperymentował z duchową i materialną samowystarczalnością (bez przesady jednak, pranie robiła mu matka, a na kolację mógł wpaść do zaprzyjaźnionego sąsiada). Poszukiwał prawdziwie świadomego życia w bliskiej relacji z rytmem natury.

Czytany dzisiaj – a jest czytany jak mało która z książek z połowy XIX w. – „Walden” zwraca uwagę aktualnością. Myśli Thoreau wędrują tymi samymi ścieżkami, którymi lata później podążać będą inni krytycy nowoczesnych społeczeństw. Mit życia w lesie, przestrzeni poza czasem i bez historii, gdzie życie jest prostsze, a wybory mają moralną klarowność, powraca zresztą nie tylko w filozoficznych traktatach. Wie to każdy zestresowany i przemęczony pracownik, któremu po kolejnym zwołanym przez Outlook bez-

sensownym spotkaniu i dniu spędzonym w rytm wibrujących smartfonów zdarzyło się westchnąć: „Może to wszystko rzucić i wyjechać w Bieszczady?”. Otwiera więc na Kindle’u „Waldena” i w marzeniu XIX-wiecznego transcendentalisty odnajduje swoje własne.

Żeby nie przesadzać tak z pracą, bo „pracując ludzie kierują się błędnym założeniem. W krótkim czasie lepsza część człowieka zostaje worana w ziemię i zamienia się w kompost”. Żeby znaleźć czas dla siebie i uciec od międzyludzkiego świata pozy, mody i lansu, bo czyż nie bywamy „bardziej samotni, kiedy wychodzimy między ludzi, niż kiedy zostajemy w domu”? Żeby pozbyć się rzeczy, nie myśleć o pieniądzach, wyłączyć się z konsumpcjonistycznego pędu, wszak „bogactwo człowieka proporcjonalne jest do liczby rzeczy, z których potrafi zrezygnować”.

Żeby budził nas świt, a nie budzik, żeby wreszcie zwolnić, zatrzymać się, żeby mieć dobre, proste życie i doświadczać w nim prostych przyjemności. „Trawimy życie na drobiazgach. Prostota, prostota i jeszcze raz prostota!”.

Strach przed przegapieniem

W 2013 r. dziennikarz „Wall Street Journal” Michael Hsu, który wrócił do „Waldena”, nawoływał: „uprość swoje życie z technologią”. Dzisiejszy 28-latek, sugerował Hsu, prawdopodobnie niepokoi się, że trawi życie na innych drobiazgach, niż mógł trawić je młody Thoreau, ale niepokój o zgubny wpływ współczesnej cywilizacji na człowieka i marzenie o odłączeniu pozostaje to samo. Charakterystyczna jest zmiana technologii, które stają się symbolem opresji. Piszący w czasach rewolucji przemysłowej Thoreau najmocniejsze słowa zarezerwował dla kolei żelaznej: wydaje nam się, że to my nią jeździmy, a to ona jeździ po nas, miażdżąc człowieczeństwo w imię postępu i szybkości. Hsu czyta „Waldena” w czasach rewolucji informacyjnej, więc pisze: wydaje nam się, że używamy Facebooka, a to Facebook używa nas, kolonizując umysł trywialnymi informacjami i czyniąc nas zakładnikami powiadomień i lajków.

Takich tekstów w ostatnich latach pojawiają się setki. Są one częścią rozległego kulturowego trendu, który można by nazwać „utopiami odłączenia”. To zarówno →



→ abstrakcyjne marzenia, jak i bardzo konkretne projekty czy praktyki nakierowane na wizję lepszego życia dzięki odłączeniu się od technologii. Co mówi o współczesności powracające marzenie o odłączeniu się od mediów?

Współczesne utopie odłączenia mają wiele nazw. „Cyfrowy detoks” sugeruje, że media stały się czymś w rodzaju uzależnienia, nad którym należy zapanować, tak jak robi się to w południowokoreańskich obozach leczących nastolatków z niepokojącymi symptomami odstawienia komputera. Niektórzy używają pojęć wprost odsyłających do religijnych praktyk powstrzymywania się, mamy więc rodziny „poszczące” i obchodzące „cyfrowy szabat”. Uczestnicy „tygodnia bez ekranów”, zachęcający innych, by „wyłączyli monitory i włączyli życie”, zwracają uwagę, że ekrany z rzeczy, które miały pokazywać nam świat, stają się rzeczami, które nam świat zasłaniają. Wszechobecność ekranów ma też inne konsekwencje: fizjodzy snu ostrzegają przed niebezpieczeństwami niebieskiego światła ekranów, a rodzice coraz częściej starają się ograniczać „czas ekranowy” swoich dzieci. Odłączenie wymaga jednak przełamania FOMO (*fear of missing out*), czyli wewnętrzny strachu przed przegapieniem czegoś ważnego.

W wydanej w Polsce w 2014 r. książce „E-migranci” również inspirująca się „Waldenem” Susan Maushart opowiada historię odłączenia się od technologii medialnej jej i trójki jej dzieci. Przechodząc przez fazy irytacji, frustracji i nudy, rodzina nabiera innego kształtu: relacje są bliższe, bardziej bezpośrednie, czas inaczej zorganizowany. „E-migranci” wyraźnie pokazują, że technologie uspołeczniają, tzn. przekształcają niezależne istnienie ludzi w istnienie dla innych. Media formatują relacje między nami. Wyłączyć je, to dać sobie zadanie ułożenia tych relacji na nowo.

Ostatecznie jednak Maushart wraca do świata, ale życiu po powrocie nie poświęca w swojej książce zbyt wiele uwagi. Inaczej niż dziennikarz „The Verge”, Paul Miller, który nie korzystał z sieci przez rok. Jego wniosek po powrocie jest zaskakujący: chciał funkcjonować w społeczeństwie inaczej niż poprzez sieć, ale właśnie to alternatywne uspołecznienie okazało się nieautentyczne: „Moim planem było wyjść z internetu i w ten sposób znaleźć »prawdziwego« Paula i znaleźć kontakt z »praw-

dziwym« światem, ale prawdziwy Paul i prawdziwy świat okazali się nierozzerwalnie powiązani z internetem. Nie chodzi więc o to, że moje życie nie było inne bez internetu, ale o to, że to nie było prawdziwe życie”. W swoim tekście Miller rozbija pozytywny mit samotnego pioniera. Rozrzuceni po Ameryce jego krewni i przyjaciele poczuli się po prostu opuszczeni, a jego pięcioletnia siostrzenica nie do końca jeszcze wiedziała, co to jest internet i dlaczego wypada się od niego odłączać w poszukiwaniu siebie, ale wydawała się za to bardzo tęsknić za wujkiem na Skypie.

150 razy dziennie

Nową sytuację rozpoznają designerzy. Projektanci studia Kovert Designs, szukający pomysłów na nowe rodzaje przedmiotów-mediów, które można by mieć ze sobą, nie czując się zawsze wpiętym w nerwowy rytm sieci, organizują odosobnienia w duchu technologicznego detoksu. W czasie jednego z takich wyjazdów, na pustyni w Maroku, obserwowani przez specjalistów uczestnicy zwrócili uwagę na to, że bez mediów rozmawiają inaczej, częściej patrzą sobie w oczy i doświadczają głębszej współobecności z drugą osobą. Co ciekawe, zmieniały się ich ciała, już nie pochylone nad ekranami (ortopedzi mówią już o zespole „smartfonowej szyi”), lecz nagle wyprostowane, emanujące spokojem i otwarte na doświadczenie. Kovert (teraz pod nazwą Vinaya) nie poprzestaje na tym. Tak jak Maushart i Miller szuka sposobu na to, żeby z detoksu mądrze wrócić do rzeczywistości. Stąd projekt „smart biżuterii”, ładowanych przez USB wisiorów i pierścionków, które łączą cyrkonię, technologię Bluetooth oraz alarm wibracyjny. W ukrytym na dnie torebki smartfonie aplikacja filtruje przychodzące komunikaty w zależności od nadawcy lub umówionego słowa klucza i tylko niektóre przepuszcza dalej, a wtedy ozdoba dyskretnie daje sygnał. W pracy dyplomowej na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu Agata Nowak zaproponowała stworzenie fotela-oazy w usieciowionym domu. Mebel otacza ciało klatką Faradaya i odcina zasięg telefonu.

Współczesne utopie odłączenia są również reakcją na wiele niepokojących, cielesnych symptomów. Napisałem to zdanie z pomocą aplikacji Freedom, która ma pomagać w skupieniu, wyłączając w moim laptopie dostęp do sieci (w nocy na końcu powieści „Londyn NW” Zadie Smith dzie-

kuje temu kawałkowi kodu za „stworzenie czasu” na pisanie). Ale i tak co chwilę machinalnie próbuję sprawdzać Facebooka, przez którego rozmawiam zresztą z redaktorem tekstu. Firma Kleiner Perkins Caufield & Byers policzyła, że użytkownicy smartfonów średnio odblokowują je nawet do 150 razy dziennie. Psycholodzy i neurologowie obserwują od jakiegoś czasu syndrom fantomowych wibracji. Użytkownikom smartfonów wydaje się, że ich urządzenie wibruje, ożywione esemesem lub powiadomieniem z aplikacji. To pokazuje, jak mocno media nie tylko wplotły się w życie codzienne, ale wręcz zrosły z naszymi ciałami. Socjolog Marek Krajewski uważa, że inaczej doświadczamy swoich ciał. „Ciało staje się częścią technologicznych sieci, nie tylko reaguje na impulsy z nich napływające, ale także samo je generuje. Jednostka istnieje i odczuwa tylko wtedy, gdy jej organizm (...) staje się aktywnym routerem, odbierającym informacje i przesyłającym je dalej”.

Czego nas uczą fantomowe wibracje, odczuwalna głęboko w ciele tęsknota za bodźcami z sieci? Przede wszystkim tego, że wciąż aktualne marzenia z „Waldena” prowadzą nas już nie do lasu czy w Bieszczady (tam wszak jest zasięg), lecz w głąb siebie. Jeśli wszędzie możemy być online, to może i wszędzie potrafilibyśmy być offline. Co jednak się stanie, jeśli naprawdę się odłączymy?

Jak bez ręki

Pracując ze studentami School of Form Uniwersytetu SWPS, czasami proponuję im i sobie eksperyment: spędźmy 24 godziny bez mediów elektronicznych, z wyłączonym telefonem, odcięty internetem, bez telewizora czy muzyki. Spotykamy się kilka dni później i zajęcia z reguły wyglądają jak sesja terapii grupowej. Jedna ze studentek opowiada, że przez cały dzień prześladowały ją myśli o tym, że jej bliscy zginęli, a ona pozostawała tego nieświadoma. Bez poczucia, że jest potencjalnie dostępna, uchwytana, że czuwa – czuła lęk. Inni się zgadzają: nie chodzi o konkretne nieobejrane zdjęcia i statusy, czy to ze świata, czy od znajomych. Chodzi raczej o to, że naładowany smartfon podłączony do sieci traktujemy jak amulet, który chroni nas od złego. No i może ktoś napisze z propozycją pracy?

W opowieściach odłączonych wracają metafory amputacji („jak bez ręki”) i nie-domagania („taka jestem upośledzona,

niepełna”). Inni czują się głupi bez podręcznego Google’a; zdani na własną pamięć i wiedzę popadają w bezradność. Regularne używanie wyszukiwarki sprawia, że ludzie znacznie przeceniają swoją faktyczną inteligencję.

Tego rodzaju objawy postanowili skatalogować badacze ze stanowego Uniwersytetu Iowa opisujący nomofobię, czyli strach przed znalezieniem się w sytuacji bez dostępu do telefonu. Stworzyli kwestionariusz, w którym możemy rozpoznać własne problemy w stwierdzeniach takich jak: „bez telefonu czułbym się oderwany od swojej tożsamości online” czy „bez telefonu czułbym się dziwnie, bo nie wiedziałbym, czym się zająć”. Prosty studencki eksperyment – „Walden”, edycja polska i współczesna – ujawnia w tym miejscu serię paradoksów, które lepiej pozwolą nam zrozumieć, dlaczego tak trudno się odłączyć.

Po pierwsze, chcemy znaleźć spokój i prostotę, bo nadmiar treści i szybkość transmisji nas przytłaczają, ale okazuje się, że odłączeni czujemy niepokój. To sieć jest naszym punktem zaczepienia w świecie i daje nam pewność osadzenia w relacjach z innymi, którą socjolog Anthony Giddens nazywa „bezpieczeństwem ontologicznym”. W miarę jak społeczeństwa stają się zbiorowościami jednostek doraźnie łączących się w zmieniające się sieci, a przestają być układami trwałych grup (np. rodzin), pewność płynąca z przynależności znajdujemy coraz częściej w komunikacji za pośrednictwem przez media. Żeby zrozumieć to zjawisko, socjolog Anthony Elliott i John Urry sięgają wręcz po psychoanalizę i twierdzą, że cyfrowe i mobilne media stają się dziś maszynami do poskramiania lęku egzystencjalnego. To on leży u podstaw nomofobii. Gdy jesteśmy w zasięgu, a baterię mamy naładowaną, nieświadomie rozładowujemy emocjonalne napięcia, bawiąc się smartfonem. Staje się on tym, czym kocyk lub przytulanka dla dziecka, pośredniczy między kruchym poczuciem „ja” a obcym światem. Projektanci i programiści dobrze o tym wiedzą, dlatego podkreślają znaczenie dotyku i tworzą interfejsy, które dają nam poczucie, że gadżet ożywa pod naszymi palcami, zna nasze potrzeby, przechowuje nasze wspomnienia i przywołuje kojące doświadczenia.

Maszyny tożsamościowe

Po drugie, podążając za Thoreau, chcemy poczuć się wolni i wyzwolić od świata



MONTAŻ „JP”

Te same urządzenia towarzyszą nam w miłości,

przyjaźni i wypoczynku,
co w pracy i konsumpcji.

Odłączenie jest tyleż
atrakcyjne, co niemożliwe,
bo ani partner, ani szef
nie lubi zbyt długo czekać
na odpowiedź.

przepracowania i konsumpcji, ale odłączeni tracimy sprawczość. Obecny etap życia z technologią ma dość przebiegłą cechę: rozmyły się w nim granice i zmienił rodzaj władzy, którą ma nad nami technologia. Robotnica w XIX-wiecznej fabryce odchodziła od maszyny do rzeczywistości zdecydowanie odmiennej. Wyraźnie odzielone w niej były czas pracy w fabryce, czas pracy w domu i czas wolny. Dziś te podziały upadają, szczególnie u tych, którzy pracują w branżach kreatywnych. Te same urządzenia towarzyszą nam w miłości, przyjaźni i wypoczynku, co w pracy i konsumpcji.

Odłączenie jest w tym przypadku tyleż atrakcyjne, co niemożliwe, bo ani partner, ani szef nie lubi zbyt długo czekać na odpowiedź. Zamiast mniej technologii, wybieramy więc więcej technologii: kolejne aplikacje, które odfiltrują pożądane komunikaty od niepożądanych; kolejne urządzenia, które pozwolą nam na odłożenie innych urządzeń, jak iWatch, który reklamowany był m.in. obietnicą, że dzięki niemu nie będziemy musieli tak często patrzeć w iPhone’a. Wszystkie te działania nakierowane są na odzyskanie podmiotowości, poczucia sprawstwa i wolności, a pomagają nam w nich już nie XX-wieczne, nieludzkie i kanciate maszyny, lecz przyjaźnie gaworzące

z nami i wsłuchane w nas obiekty. W ten sposób cyfrowe media obiecują rozwiązać problemy, które same współtworzą.

Po co się odłączać? Oczywiście, by poznać siebie, odpowiadamy za „Waldenem”, żyć świadomie, podążać za swoim rozumem i emocjami. Utopie odłączenia koncentrują się często właśnie na tym zadaniu. Pobrzmiwia w nim charakterystyczne dla indywidualistycznej kultury Zachodu przekonanie, że istnieje integralne, mocne „ja”, które można poznać, wyrazić i ulepszyć.

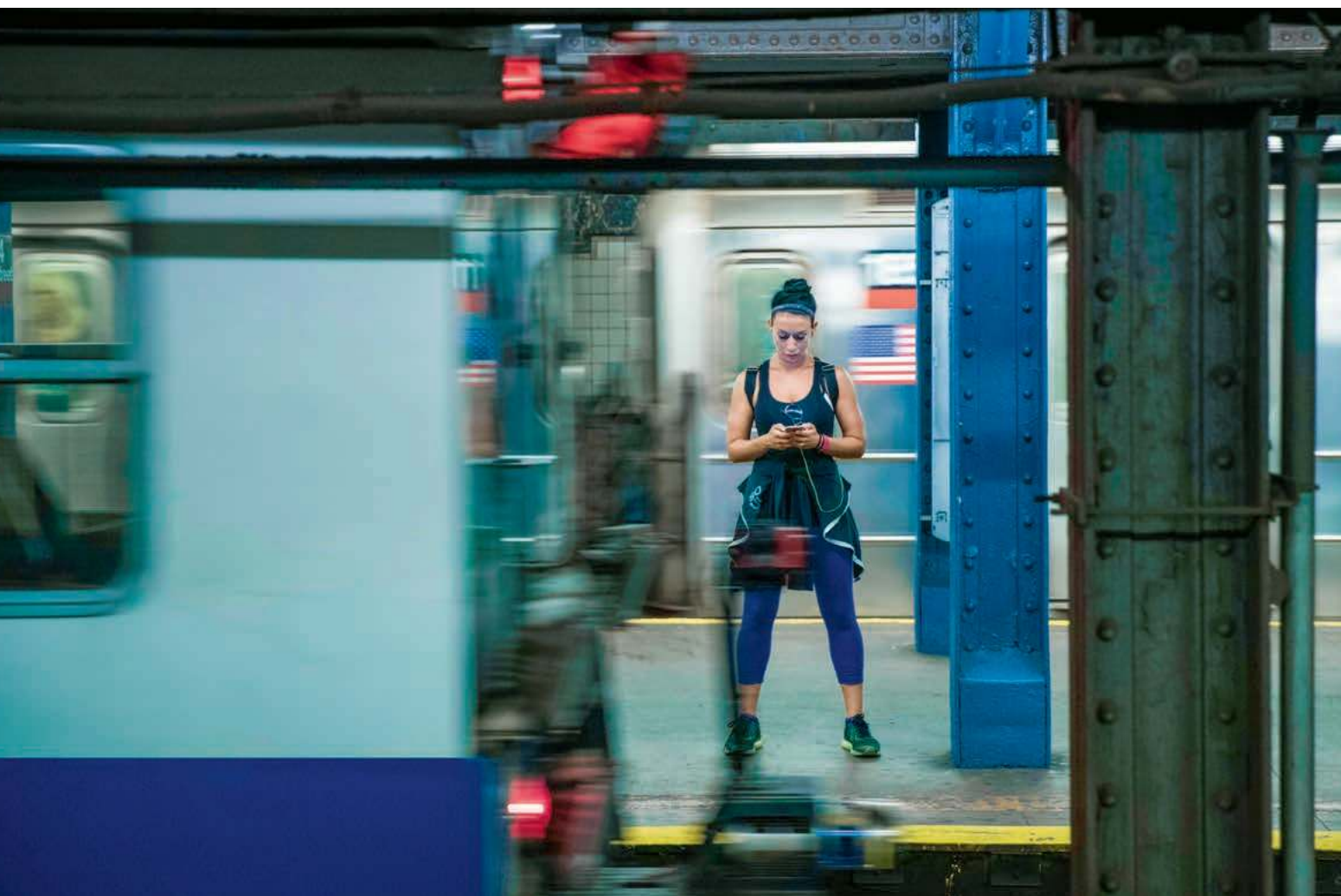
Trzecia i bodaj najważniejsza nauczka z prób odłączenia jest taka, że podejmujemy je, bo chcemy dostępu do tej prawdziwej tożsamości, ale jak widzieliśmy, odłączenie kończy się raczej tożsamościowym kryzysem. Nagle nie można na sobie polegać, trudno ze sobą wytrzymać, nie ma się komu zaprezentować. Bez baz danych, kontaktów i archiwów zdjęć; bez skalibrowanych do naszych gustów algorytmów Google’a i Facebooka, które filtrują nam rzeczywistość; bez zakładki i folderu „Moje Dokumenty”; bez nieustannego potwierdzania własnego istnienia przez reakcje innych i wykonywanie *selfie* – bez tego wszystkiego poczucie „ja” okazuje się zaskakująco słabe. Cyfrowy detoks zamiast oczyszczać prawdziwe „ja” z zakłóceń, ujawnia, że bez sieci jest ono często niepełne albo podatne na rozpad.

Nowe media są świadomie projektowane i używane jako maszyny tożsamościowe, narzędzia dla usieciowionych indywidualistów. Russell Belk pisze, że należy właściwie myśleć o „rozszerzonym ja”, w którym to, co o sobie wiemy, jest uwikłane w linki, tagi i profile. Innymi słowy, będąc online jestem w kontakcie nie tylko z innymi, ale przede wszystkim ze sobą samym w oczach innych. Sieć staje się rodzajem lustra. Etnograficzne badania użytkowników nowych mediów pokazują, że by poznać siebie i pracować nad sobą, raczej intensyfikują oni korzystanie z technologii, niż próbują się od niej odłączyć.

© MATEUSZ HALAWA

Cytaty z „Waldena” w tłumaczeniu
Hanny Cieplickiej.

Autor kieruje zespołem humanistyki i nauk społecznych School of Form Uniwersytetu SWPS i pracuje jako asystent w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk.



Uciec z sieci – ale dokąd?

PIOTR SIKORA

Zamiast snuć utopijne wizje o odłączeniu, trzeba się skupić na Najważniejszym.

PROBLEMY CZŁOWIEKA Z CYFROWĄ SIECIĄ, w którą został (sam przez siebie?) złowiony, mogą się wydać znakiem czasów najnowszych. Ci, którzy czerpią inspirację z dzieł autorów piszących w przedcyfrowej nowożytności, takich jak Thoreau, sugerują jednak, że są to problemy nieco szersze, wiążące się z rewolucją przemysłową i rozwojem każdej, także niecyfrowej technologii, której powszechne używanie oddala człowieka od naturalnego środowiska życia. Mimo to zaryzykował-

bym tezę, że problemy, które stoją u źródła „utopii odłączenia”, nie wynikają z przygodnych zmian zewnętrznego otoczenia, lecz leżą w głębi serca człowieka i są stare jak historia ludzkości – gatunku, który dąży do czegoś więcej niż biologiczne przetrwanie.

Aktualność starożytnych legend

W napisanym 2500 lat temu dziele Platon wkłada w usta swego mistrza, Sokratesa, legendę o tym, jak egipski bóg Teut

ofiarował królowi Tamuzowi wynalazek pisma – zachwalając go jako najlepszy środek przynoszący mądrość i zapewniający pamięć. Król Tamuz odrzucił jednak dar boga, stwierdzając, że przyniesie on skutki odwrotne: „sprowadzi na umysły tych, którzy się go nauczą, zapomnienie, gdyż zaniechają ćwiczenia pamięci: zdając się na zapis, będą przypominać sobie od zewnątrz pod wpływem obcych znaków, nie zaś wewnątrz siebie samych pod wpływem własnych”. Pismo przyniesie, zdaniem egipskiego króla, nie mądrość, lecz jej namiastkę – ci, którzy będą go używać, „staną się bowiem zbieraczami wielu wiadomości, niczego się nie ucząc, wydadzą się ludźmi o wielkiej wiedzy, choć na ogół staną się nieukami i trudnymi towarzyszami”.

Zdiagnozowane w platońskim dialogu skutki używania pisma przypominają negatywne zjawiska naszej cyfrowo-sieciorowej cywilizacji, takich jak poleganie na

rozmaitych formach zewnętrznych wobec podmiotu baz danych, co rzeczywiście wiedzie do osłabienia pamięci, czy powierzchowna percepcja wielu chaotycznych wiadomości, która nie prowadzi do wykształcenia spójnego, dogłębnego i uzasadnionego obrazu świata. Odpowiedź Tamuza współbrzmi także z dzisiejszym lamentem, iż ludzie pochłonięci surfowaniem nie potrafią nawiązywać i utrzymywać dobrych bezpośrednich relacji – są „trudnymi towarzyszami”.

Rozważając znaczenie dawnej legendy nie można zapomnieć, że mityczna historia została opowiedziana przez Sokratesa w kontekście rozważań o najgłębszych wymiarach kondycji ludzkiej – prawdziwej (choć powszechnie zapoznanej) naturze człowieka i jego ostatecznym celu: o tym, że dającym najgłębsze szczęście działaniem jest wznoszenie się ludzkiej duszy – jakby skrzydlatego rydwanu – ku wizji „najwyższej Istoty pozbawionej barw i kształtów”. I o tym, że w wyniku wewnętrznej dezintegracji i zewnętrznych konfliktów skrzydła duszy zostały połamane, a ona uwięziona w sferze zjawisk, które ją rozpraszają, wiążą i przesłaniają to, co Najważniejsze.

Paradoks „Fajdrosa” polega jednak na tym, że zasadniczo trafna ocena pisma została nam przekazana właśnie za pomocą tegoż pisma i to w jednym z najważniejszych tekstów naszej kultury. Innymi słowy: gdyby cytowany tu dialog nie został spisany, nasza kultura i życie duchowe byłyby o wiele uboższe.

Wiele prawdopodobne, że z utopią wylogowania się z internetu jest podobnie. Jej źródła tkwią w fundamentalnych pragnieniach, których spełnieniu wszechobecność sieci rzeczywiście często przeszkadza. Z drugiej strony są one nie tylko niemożliwe do zrealizowania. Ich realizacja po prostu nie przynosi spełnienia.

Kruchość „ja”

Jeśli u podłoża nomofobii (lęku przed byciem pozbawionym podłączonego do sieci komórkowych i internetu smartfona) leży – jak twierdzą badający zjawisko socjologowie – egzystencjalny lęk, to jest tak nie dlatego, że internet zajmuje za dużo miejsca w naszym życiu, lecz z głębszego powodu. Prawdziwym źródłem egzystencjalnego lęku jest fundamentalna kruchość naszego istnienia, nieabsolutność i relatywność naszej tożsamości: tego, co uwa-

żamy za własne – tak nam drogę – „ja”. Nie powinno dziwić, że, jak pokazują socjologiczne badania, np. Russell Belk, nastolatki szukają na portalach społecznościowych zasadniczo potwierdzenia ze strony rówieśników. Inni jako lustro, w których chcemy się odbijać, by potwierdzać, a właściwie uzyskiwać własną tożsamość, to znany topos kulturowy, przedstawiany w wielu dziełach światowej literatury. Zapewne można uznać, że taki właśnie sposób konstrukcji tożsamości jest naturalny dla określonego okresu rozwojowego. Gorzej, jeśli ktoś zatrzymuje się na tym etapie – a prawdopodobnie jest to przypadek wielu z nas.

Właśnie przywiązanie do własnego uwarunkowanego, przemijającego, krucho „ja” i potrzeba jego ugruntowania, wzmocnienia, zachowania przed nieuchronnym przemijaniem prowadzi do takiego sposobu funkcjonowania w cy-

frowej sieci, który jest źródłem niepokoju i egzystencjalnej frustracji – i który leży u korzeni utopii wylogowania. To samo jednak egocentryczne nastawienie było przez wieki – i jest nadal – przyczyną podobnego sposobu funkcjonowania w „realu”. Widać to wyraźnie na przykładzie przywołanego przez Mateusza Halawę dziennikarza, Paula Millera. Miller opisując swój rok poza siecią zauważa, że po pewnym czasie „wylogowanego” funkcjonowania znowu – choć tym razem w formie życia nieinternetowego – zaczęły się ujawniać jego „najgorsze strony”.

Oczywiste podobieństwo naszego uwiązania w świat cyfrowy do naszych więzi z zupełnie niecyfrowymi zjawiskami kulturowymi, takimi jak pismo czy rozmaite instytucje społeczne, wskazuje, że zasadniczy problem nie polega na tym, czy mamy dostęp do internetu, lecz na tym, co wnosimy w tę rzeczywistość i jaki →

Kilka rad,

których mógłby udzielić
Mistrz Eckhart ludziom
chcącym używać cyfrowej
sieci, a nie zaplatać się
w niej i nie dać się w nią
złowić.

1. NIE MÓW: „Nigdy mi się w życiu nie powiedzie, jeśli się nie znajdę tu lub tam, jeżeli nie zrobię tego lub tamtego. Muszę się wylogować, schronić się w jakiejś pustelni, radykalnie uprościć swoje życie przez ograniczenie kontaktów z innymi”. Otóż we wszystkim tym tkwi wyłącznie twoje „ja”, nic poza tym.

Ono jest źródłem wszelkiego rodzącego się w tobie niepokoju, choćbyś sobie tego nie uświadamiał. To nie komputer, smartfon, skrzynka mailowa i linki internetowe ponoszą winę, lecz ty sam(a), która/y w nich tkwisz i masz do nich nie-

właściwy stosunek. Jeśli nie uciekniesz najpierw od siebie, wtedy dokądkolwiek pobiegniesz, gdziekolwiek się znajdziesz, na jak długo się wylogujesz – zawsze natrafisz na przeszkody i niepokój. Dlatego skieruj wzrok na siebie, a gdziekolwiek siebie dostrzeżesz, tam siebie zostaw.

2. BĄDŹ ZAWSZE SKUPIONY na Najważniejszym. Kto jest na Nim prawdziwie skupiony, ten ma Go wszędzie, zarówno w internecie i na ulicy, jak w kościele, pustelni czy w samotności.

3. KONIECZNE są tu gorliwość i poświęcenie, uważne przyglądanie się własnemu wnętrzu – przesiaduj codziennie jakiś czas w ciszy, obserwując swoje myśli, uczucia, pragnienia: niech ci pokażą, do czego w życiu dążysz, przed czym uciekasz.

4. KONIECZNA JEST TEŻ TRZEŹWA, słuszną, rozsądną i trafną oceną tego, ku czemu teraz właśnie, pośród linków, rzeczy i ludzi zwraca się Twoje serce. Nie można się tego nauczyć przez ucieczkę z rzeczywistości. Jeśli twoje życie związane jest z internetem, to uznaj, że tak jest. Ale zanim zrobisz jakiś ruch w sieci, daj sobie kilka sekund na spokojne uświadomienie: po co to robię?

5. ĆWICZ UWAŻNOŚĆ na drugiego człowieka za każdym razem, gdy ktoś się do ciebie zwraca (niezależnie, czy robi to stojąc przed tobą, pisząc e-maila czy dzieląc się swoimi zdjęciami w jakimkolwiek miejscu w internecie). Jeśli przychodzi do ciebie z czymś ważnym, skup się tylko na nim jednym – zostawiając wszystko inne. Pamiętaj jednak, że najbardziej rozproszony będziesz, gdy nie zostawisz siebie. © P PS

→ mamy do niej stosunek. Ujawnia się tu szersze znaczenie słów Jezusa z Ewangelii Marka: „Nic nie wchodzi z zewnątrz w człowieka, co mogłoby uczynić go nieczystym; lecz co wychodzi z człowieka, to czyni człowieka nieczystym” (Mk 7, 15). W tym przypadku nie chodzi oczywiście o czystość rytualną, lecz o to, co w innym miejscu Ewangelii nazwane jest czystym sercem, które pozwala oglądać Boga (por. Mt 5, 8).

Innymi słowy, wszelka rzeczywistość staje się problemem, gdy przesłania Najważniejsze. Jeśli chcemy, by spełniły się najgłębsze pragnienia leżące u źródła „utopii odłączenia”, trzeba odpowiedzieć sobie, co jest tym Najważniejszym, po co odłączać się od sieci (lub po co w niej nadal tkwić). Prawdziwa okazuje się też intuicja, którą można odnaleźć w różnych duchowych tradycjach ludzkości: paradoksalnie egzystencjalny lęk o własne „ja” może zostać przezwyciężony jedynie wówczas, gdy przestaniemy o owo „ja” walczyć. Było to najważniejsze odkrycie Buddy, mówił o tym też Jezus: „Kto chce zachować swoje życie (dosł.: *psyche* – duszę, „ja”), straci je, a kto straci swe życie (*psyche*) z mego powodu, ten je zachowa” (por. Łk 9, 24). Przywiązanie do „ja”, pragnienie zachowania go, przesłania Najważniejsze. Spełnieniem człowieka, rozwiązującym wszystkie jego problemy, jest pozostawienie „ja” i skupienie na Najważniejszym.

Trud rozwoju

Nie można zatem zapominać, że sensowność działań takich jak czasowe „wylogowanie się” wiąże się ze znacznie szerszym – ostatecznie całościowym – procesem duchowego rozwoju. Utopia wylogowania ma swoje źródła m.in. w ludzkim poczuciu, że zostaliśmy opanowani przez zewnętrzną wobec nas sieć cyfrowych po-

Podobieństwo naszego
uwikłania w świat
cyfrowy do naszych więzi
z niecyfrowymi zjawiskami
kulturowymi wskazuje,
że zasadniczy problem
nie polega na tym, czy
mamy dostęp do internetu,
lecz na tym, co wnosimy
w tę rzeczywistość.

wiązań, że nie jesteśmy już wolni, gdyż nasze „ja” zostało jakby wchłonięte i pokawałkowane, że istniejemy w stanie rozproszenia, nie będąc już sobą (a kim – nie wiemy). Jest naturalne i słuszne, że chcemy wyjść z tej sytuacji, odzyskać wolność, wreszcie w pełni „być sobą”.

Platon w „Fajdrosie” – opisując proces odzyskiwania prawdziwej podmiotowości – używa metafory odrastania połamanych skrzydeł. Muszą się one przebić spod skóry na zewnątrz, co jest równie bolesne jak wyrzynanie się zębów. Utopia – w postaci, w jakiej rozpowszechnia się dziś w kulturze – nie bierze pod uwagę tego kluczowego prawa rozwoju. Napędzana jest bowiem także wspomnianym już egzystencjalnym lękiem o własne „ja”. Jej realizacja motywowana jest egocentrycznie, przybiera zatem egocentryczne formy.

Platońska metafora precyzyjnie wskazuje słaby punkt współczesnych postaci utopii odłączenia: mające źródło w trafnie oddającym rzeczywistość poczuciu nieautentyczności egzystencji, niezadowolenia

z uwikłanej w sieci formy życia – namawiają do „wylogowania się”, przedstawiając to jako wystarczające remedium i obiecując (niemal) natychmiastowe spełnienie pragnień egzystencji autentycznej, harmonijnej i pełnej wewnętrznego pokoju.

Jak bardzo to złudna obietnica, można uświadomić sobie, gdy weźmie się pod uwagę pełną treść obrazu: „cyfrowy detoks”. Metafora ta odwołuje się do pierwszej fazy wychodzenia z uzależnienia. Obiecując alkoholikowi, który ma dość swego uzależnienia, że detoks będzie przyjemnym doświadczeniem, to okrutnie go okłamywać. Innymi słowy, duchowy rozwój, który może czasem wymagać „cyfrowego postu”, wiąże się z egzystencjalnym lękiem. Duchowy rozwój wymaga jednak nie tyle zmiany takich, a nie innych form życia (np. wylogowania się z sieci), co przede wszystkim konfrontacji z tym lękiem, zmierzenia się z ciemną stroną swojej osoby i swojego życia. Konkretnie działania stają się potrzebne o tyle, o ile tę konfrontację umożliwiają.

Wyjście na pustynię, post, ograniczenie zewnętrznych bodźców i działań, przebywanie sam na sam ze sobą były przez wieki rozpoznawane jako niezbędne elementy duchowej podróży. Tym niemniej nigdy nie były traktowane jako cel sam w sobie. Było oczywiste, że Cel leży poza wszelkimi konkretnymi, uwarunkowanymi formami życia. Mistrzowie pustyni zawsze też zwracali uwagę, że najważniejsze jest przezwyciężenie egoizmu, bo to nasze ego najbardziej oddala od Celu. Dlatego podkreślali, że wrażliwość na innych, gościnność, dbanie o dobre relacje – jako przeciwieństwo egoizmu – najbardziej do Celu przybliżają albo nawet: już z Nim jednoczą. Dotyczy to i sfery wirtualnej, i przestrzeni, w której spotykamy się poprzez cielesny dotyk. © PIOTR SIKORA

TP

JUŻ ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU” DODATEK

Hospicjum to też życie

przygotowany wraz z Fundacją Hospicyjną – liderem organizacji zajmujących się promowaniem hospicyjnych idei, edukacją na temat kresu życia i rozwojem wolontariatu – która prowadzi gdańskie Hospicjum im. ks. E. Dutkiewicza SAC, od 35 lat realizujące wzorcowy model opieki domowej.

W dodatku m.in.: ■ Ks. Piotr Krakowiak o „hospicyjnym wzorcu metra” ■ Mariusz Sepioło o życiu w hospicjum.



**Fundacja
Hospicyjna**

TYLKO **300** ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!



Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat
– możesz kupić krajową, ekonomiczną
prenumeratę wydania papierowego „TP”
w ofercie **POKOLENIA** za 300 zł rocznie. ■

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją
zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu
opisanymi poniżej.

■ Zastrzegamy sobie jednak prawo skontaktowania się
z wybranymi osobami z prośbą o weryfikację prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12
w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez
stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl,
na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok

■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PAWEŁ

Śpiewak: Świętość góry



PSALM 24 OTWIERA NIEZWYKŁĄ PERSPEKTYWA kosmiczną. Świat powstał na wodach chaosu i trwa, póki Pan napelnia swoim duchem ziemię i tych, którzy na niej mieszkają. Chwała Boga przenika całość istnienia. Powraca tu obraz Świątyni i Jerozolimy, usytuowanych na

kamieniu węglanym porządku natury. Miejsce, z którego padają pytania, jest święte. Któż więc może zostać na górę dopuszczony? Przez jaki rodzaj sprawdzianu musi przejść człowiek, by stanął na szczycie? „Kto wstąpi na górę Pana?”

Nie wiemy, kto zadaje owe pytania. Kapłani, którzy nie zawsze słynęli z mądrości i etycznego postępowania? A może ci, którzy pragną dostąpić wtajemniczenia? Ale niezależnie, kto pyta, wiemy jedno: by dotrzeć na szczyt, trzeba spełnić najwyższe wymagania etyczne. Musi być to człowiek „niewinnych rąk i czystego serca”. Nie wolno mu przysięgać zdradliwie i skłaniać duszy ku marnościami.

Pytania te kierują się do całej zbiorowości, od której wymaga się szczególnego nastawienia ducha. Oczekuje się gotowości do szukania, wysiłku rozumienia, otwartości na szyfry transcendencji. Tylko gdy oddani Bogu staną się czysti niczym wody rzek, gdy przeniknie ich duch poszukiwań, tylko wtedy „podniosą się bramy wieczne! Aby wszedł król chwały... Pan zastępów” (9-10).

Czy oznacza to, że Bóg skrywa się tylko w Świątyni? Chyba nie, raczej można mówić o intensyfikacji Jego obecności w tym miejscu. A ta dokonuje się dzięki ludzkim wysiłkom. Przybliżenie Boga nie dokonano się, uczy psalmista, inaczej niż przez nasze postęпки. Może oznaczać to, że gdy się oczyścimy, gdy odzyskamy wzrok etyczny, dostrzeżemy na szczycie góry Syjon Pana i tam będzie lud mógł jemu służyć. Życie etyczne i kult religijny są tu ze sobą sprzęgnięte. Są dwiema częściami tego samego doświadczenia. Wejść na górę to tak, jakby się znaleźć w centrum świata i dostrzec okrąg ziemi.

Piękny to Psalm. Bardzo radykalny. Wyjątkowo wymagający wobec tych, którzy podejmują się służyć swemu Panu.

Bardzo podobny wydźwięk ma Psalm 15, którego początkiem jest pytanie skierowane do Boga: „Panie! któż będzie przebywał w przybytku twoim? Kto będzie mieszkał na świętej górze twojej” (1). Powracają wysokie wymagania wobec poszukującego: musi chodzić w niewinności i czynić sprawiedliwość, nie wolno mu nikogo obmawiać, czynić nic złego, pieniędzy dawać na lichwę...

Nic dodać, nic ująć. Życie etyczne jest tu postawione przed wymaganiami rytualnymi. Nie o czystość kultową chodzi, ale o czystość wewnętrzną. Etyczność jest spełnieniem życia religijnego, albo rzecz ujmując inaczej: w religii nie chodzi o nic innego niż bycie prawym, a prawość nie zależy od wieku, płci pochodzenia społecznego. Judaizm określa się w tym miejscu nie tyle jako religia świętości, ale postawa w życiu, jako dokonywanie przez całe życie właściwych wyborów tego, co dobre i sprawiedliwe. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Nieszczęście Boga



W NIEDZIELĘ PALMOWĄ W KOŚCIOŁACH czyta się opis Męki Pańskiej. Chcąc jednak uchwycić treść tego opisu, ani na chwilę nie można zapomnieć, że jest wyrazem samoświadomości pierwszego Kościoła. Stworzyli go ludzie, którzy

już wierzyli, a tym samym byli przekonani, że Jezus przeszedł przez śmierć, jak się przechodzi przez głęboką wodę, ale w niej nie utonął, nawet przez chwilę nie przestał istnieć. Piotr Apostoł mówi: „Bóg wskrzesił (Jezusa) i uwolnił od więzów śmierci”. Stało się tak, gdyż „Nie było możliwe, aby ona nad Nim panowała”. Według Pawła Apostoła śmierć, rozumiana jako unicestwienie, wobec Jezusa okazała się bezsilna, ponieważ „On, mając naturę Boga, nie uznał za stosowne korzystać ze swojej równości z Bogiem, lecz ogołocił siebie samego, przyjmując naturę sługi i stając się podobnym do ludzi. A z zewnętrznego wyglądu uznany za człowieka, uniżył siebie samego, stając się posłusznym aż do śmierci, i to śmierci na krzyżu”. Na czym to zbawienne posłuszeństwo polegało i w czym się wyraziło?

Niektórzy teologowie i kaznodzieje wciąż głoszą, że to Bóg zażądał śmierci Jezusa. Ludzie grzesząc, obrazili Boga w niewyobrażalny sposób, gdyż Obrażony jest niewyobrażalnie wielki. Musiał więc przyjść Ktoś równy Bogu, gdyż tylko On, za cenę ogromnych cierpień, mógł rozgniewanemu Bogu godnie zadośćuczynić za nasze grzechy i uśmierzyć Jego gniew. Tym kimś jest Syn Boży i jedynie On, składając siebie w krwawej ofierze, mógł w pełni Boga usatysfakcjonować.

Papież Franciszek w „*Laudato si*” napisał: „jeżeli przyjrzymy się różnym regionom naszej planety, zdamy sobie sprawę, że ludzkość zawiodła Boże oczekiwania”, ale Bóg z tego powodu nie zmienił swego nastawienia względem nas. Jak przed wiekami, tak i teraz posyła swojego Syna, żeby nas nauczyć Jego sposobu życia. I jak przed wiekami nasi ojcowie, tak i my teraz odrzucamy to Boże zaproszenie do nawrócenia, tzn. do zmiany naszej mentalności, sposobu patrzenia na świat. Rozczarowujemy Jezusa, ale On pozostaje nam wierny, wprost posłuszny. Zażądaliśmy dla Niego śmierci i Jezus spełnił to żądanie. Więc to nie Bóg, ale my, jego siostry i bracia, skazaliśmy Jezusa na śmierć. Jezus więc nie umierał, aby uśmierzyć gniew Boga na ludzi, ale gniew ludzi na Boga.

W Biblii czytamy: „Jeśli zobaczysz, że osioł twego brata albo wół jego upadł na drodze – nie odwrócisz się od nich, ale z nim razem je podniesiesz”. Chrystus pragnie rozbudzić w nas taką właśnie czułość względem całego świata, a zwłaszcza względem najciemniejszych jego stron, jako że dla Boga grzech to przede wszystkim nieszczęście, z którego trzeba człowieka podnieść. Nie gniew, ale miłość jest motywem działania Boga. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Najważniejsze spotkanie

Jedną z dróg
do duchowej trzeźwości
jest nieustanne
utrzymywanie serca
w głębokim milczeniu.

HEZYCHIUSZ Z SYNAJU



Ten, kto odnalazł
i przebudził swą duszę,
to jego ten świat
– zaprawdę, ten świat
jest jego.

UPANISZADA BRIHADARANYAKA



W DNIACH, KIEDY UKAZUJE SIĘ TEN NUMER „Tygodnika”, czytamy z młodymi, zebranymi w łódzkiej Atlas Arenie Ewangelie o rozmowie Jezusa z bogatym młodzieńcem. Korzystamy z zapisu św. Marka (Mk 10, 17-22). A to z racji kilku prawdziwych „okruchów”, jakie ten Ewangelista zanotował.

Szczegół pierwszy: „przybiegli”. „Gdy [Jezus] wybierał się w drogę, przybiegli pewien człowiek i upadłszy przed Nim na kolana, pytał Go: »Nauczycielu dobry, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?«. U Mateusza mamy „podszedł”, a u Łukasza: „zapytał Go”.

Relacja Marka oddaje natarczywość pytania. Pytanie, które ma w sobie, warte jest tego wysiłku. Oto widzi Tego, który zna zapewne odpowiedź; widzi także, iż On właśnie zbiera się do drogi. Za chwilę będzie już za późno. Biegnie więc do Niego i – tu kolejny szczegół odnotowany jedynie przez Marka – „upada [przed Nim] na kolana”.

Jak wcześniej trędotawy (Mk 1, 40), który na kolanach prosił Jezusa o oczyszczenie. Jak niedawno nieszczęśliwy ojciec epileptyka, który „padając przed Nim na kolana, prosił: Panie, zlituj się nad moim synem!” (Mt 17, 14). Tamci prosili o życie: swoje i swojego dziecka. On klęka... bo musi poznać odpowiedź.

Nikt nie klęka, by zadać pytanie akademickie. Na kolanach mogę prosić o odpowiedź na pytanie, od którego zależą moje życie i szczęście. Osobną kwestią pozostaje i to, kim musi być człowiek, przed którym gotów jestem zgnać kolana? Zatyłował Go

„Nauczycielem”. Miał jednak niewątpliwie przecucie, że ten tytuł nie jest wystarczający. Dodał więc: „dobry”. Jakie jest to pytanie, które każe mu biec i klękać?

„Co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?”. To jest moment, który musi obudzić naszą uwagę. Nie chodzi jedynie o to, czy zadane przez bogatego młodzieńca pytanie pozostaje również naszym pytaniem. Chodzi o to, czy jest ono w naszym życiu równie kardynalnym pytaniem. Czy wypowiadając je, mamy rzeczywiście przecucie, ile i co od niego zależy?

Rzecz wcale nie jest prosta, i nie sprowadza się jedynie do smutnych stwierdzeń na temat naszego pokolenia: że zatraciło poczucie wieczności, że żyjemy w „kulturze tymczasowości” czy „prowizorki”.

Przypomnijmy genialny fragment encykliki „*Spe salvi*”, w której Benedykt XVI – opierając się na tekstach Augustyna – z pokorą i niepokojem pisze: „pragniemy życia, tego prawdziwego, którego śmierć nie tknie; równocześnie jednak nie znamy tego, ku czemu zmierzamy. Nie możemy zaprzestać dążenia do tego, a równocześnie wiemy, że to wszystko, czego możemy doświadczyć albo co zrealizować, nie jest tym, czego pragniemy. Ta nieznaną »rzecz« jest prawdziwą »nadzieją«, która nas inspiruje (...) a jednocześnie przynosi nam więcej trudu niż zaspokojenia”.

Mamy więc kłopot. Nie wiemy. Nie mamy doświadczenia wieczności, a jednocześnie nie mamy alternatywnej nadziei. Nic innego nas nie zadowoli. I to jest pytanie naszej perykopy – nic nas po drodze nie zatrzymało? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (25 III – 1 IV)

Wybrał PIOTR SIKORA

Niedziela Palmowa: Iz 50, 4-7;
Ps 22; Flp 2, 6-11; Mk 14, 1 – 15, 47;

Wielki Poniedziałek: Iz 42, 1-7;
Ps 27; J 12, 1-11;

Wielki Wtorek: Iz 49, 1-6; Ps 71; J 13, 21-33. 36-38;

Wielka Środa: Iz 50, 4-9a; Ps 69; Mt 26, 14-25;

Wielki Czwartek: Wj 12, 1-8. 11-14;

Ps 116B; 1 Kor 11, 23-26; J 13, 1-15;

Wielki Piątek: Iz 52, 13 – 53, 12;

Ps 31; Hbr 4, 14-16 i 5, 7-9; J 18, 1 – 19, 42;

Wielka Sobota: Rdz 1, 1 – 2, 2; Ps 104; Rdz 22, 1-18; Ps

16; Wj 14, 15 – 15, 1a; Ps: Wj 15; Iz 54, 4a. 5-14; Ps 30;

Iz 55, 1-11; Ps: Iz 12; Ba 3, 9-15. 32 – 4, 4; Ps 19: Ez 36,

16-17a. 18-28; Ps 42; Rz 6, 3-11; Ps 118; Mt 28, 1-10;

Niedziela Wielkanocna: Dz 10, 34a. 37-43;

Ps 118; Kol 3, 1-4; J 20, 1-9.

POLITYKA ZACIŚNIĘTYCH ZĘBÓW

Zbliża się moment weryfikacji strategii przyjętej przez opozycję po 2015 r. Jesienią dowiemy się czegoś o zmianie preferencji politycznych ze źródła innego niż sondaże.

RAFAŁ MATYJA

STAWKA WYBORÓW SAMORZĄDOWYCH jest bardziej złożona niż widziane z perspektywy ogólnopolskiej wyniki sejmikowe i prezydenckie w największych miastach. Tym razem skutki rywalizacji między PiS a opozycją i wewnątrz opozycji będą bardzo istotne politycznie i poznawczo. Przede wszystkim ze względu na długi okres, w którym byliśmy pozbawieni danych o zachowaniach wyborczych Polaków. Wyniki jesienno-głosowania mogą wpłynąć na korektę strategii głównych sił przed wyborami parlamentarnymi, stworzyć przestrzeń dla pojawienia się nowych podmiotów i skonfigurować na nowo osie podziałów. Czy opozycja jest przygotowana na to wyzwanie?

Schetyna umie czekać

Jedną z najważniejszych diagnoz obecnej sytuacji została sformułowana przez Roberta Krasowskiego w książce „Czas Kaczyńskiego”, dotyczącej Polski w latach 2005-10. Cytat z niej jest ważny szczególnie w kontekście uprawiania polityki przez dzisiejszą opozycję: „Tusk pierwszy zrozumiał, że nastała epoka Kaczyńskiego, że lider PiS stał się dla polskiej polityki punktem odniesienia. I zamiast z tym faktem walczyć, lepiej go wykorzystać. Bo

w epoce Kaczyńskiego wcale nie musi rządzić Kaczyński”.

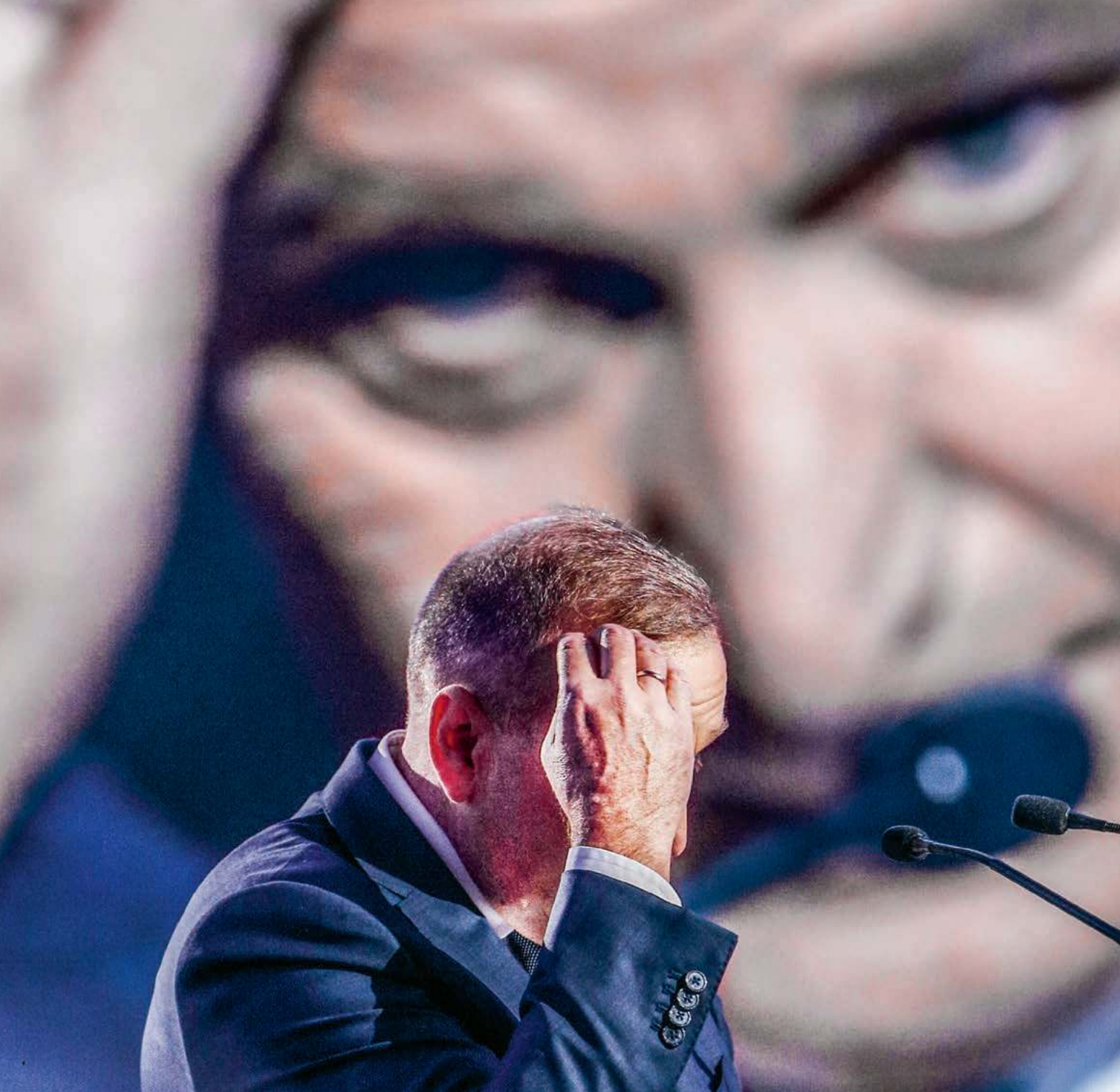
Fundamentalne pytanie, jakie należy zadać, dotyczy przede wszystkim tego, czy reguła ta działa także odwrotnie. To znaczy, czy „epoka Kaczyńskiego” może dobiec końca, nawet mimo faktu, że PiS nadal rządzi? Czy zdolność narzucania przez Jarosława Kaczyńskiego tematów, które dominują w debacie publicznej, może się wyczerpać jeszcze w czasie obecnej kadencji? Świadomie piszę o wyczerpaniu się, a nie o porażce w konkurencji z inną istotną narracją, stworzoną przez opozycję. Bo takiej narracji, nawet szczątkowej, opozycja nie zbudowała.

Skoncentrowanie się na hasle odsunięcia PiS od władzy – choć psychologicznie zrozumiałe – jest politycznie jałowe. Nie działa równie skutecznie jak przywoływane przez lata przez PO hasło „powstrzymania” partii Kaczyńskiego, sondaże ostatnich dwóch lat pokazują, że moc tego zaklęcia się wyczerpała. Problemem Platformy jest to, że nie skorzystała z czasu po wyborach, by przeprowadzić głębszą zmianę. Pierwsze trzy miesiące po przebranej były czasem, w którym ważyła się kwestia nowego przywódcy tej partii. Jednak od 26 stycznia 2016 r., daty przejścia

władzy przez Grzegorza Schetynę, zmieniło się już niewiele. PO nie dokonała istotnych zmian, choćby tylko wizerunkowych. Realnym programem Schetyny stało się nie hasło „totalnej opozycji”, ale przetrwania partii rządzącej. Przetrwania w możliwie najlepszej kondycji i zachowania tytułu głównej siły opozycyjnej, jedynej rzeczywistej alternatywy wobec PiS.

Trzeba oddać Schetynie honor: jest jednym z najbardziej wytrzymałych polityków, jacy funkcjonowali na szczytach władzy III RP. Udowodnił to nie tylko po 2015 r., ale przede wszystkim między rokiem 2011 a 2014. Przetrwał głęboką dekoniunkturę spowodowaną niechęcią ze strony Donalda Tuska i zachował zasoby polityczne, które umożliwiły mu powrót do rządu Ewy Kopacz, a następnie objęcie władzy w partii. Zyskał wówczas dowód, że polityka zaciśniętych zębów jest skuteczna i na dłuższą metę może przynieść sukces.

Sukces, który nie wymaga pomysłowości, wyrafinowanej strategii, ale umiejętności czekania – na moment, w którym przeciwnik popełni błąd, nie będzie potrafił znaleźć się w sytuacji kryzysowej, zacznie tracić poparcie. A publiczność zwróci się – jak członkowie PO jesienią



Grzegorz Schetyna na Radzie Krajowej PO, Warszawa, 24 lutego 2018 r.

2015 r. – w stronę najsilniejszego aktora na scenie politycznej, zapominając o wszelkich wcześniejszych zastrzeżeniach.

Przepis na teflon

Ta strategia wydaje się być dziś nieskuteczna, rodzi frustracje nie tylko w partiach bloku liberalnego, ale także w kręgu sympatyzujących z nimi mediów i komentatorów. Opozycja postrzega PiS jako ugrupowanie teflonowe. Wydają mu się nie szkodzić nie tylko błędy w polityce

zagranicznej, ale także wypłacanie członkom rządu ogromnych premii. To partia, której politycy mogą sobie pozwolić na każdą obelgę, na dowolnie ostre słowa. Prawda jest jednak taka, że to, co oburza przeciwników PiS, dla jego zwolenników jest albo obojętne, albo wręcz godne pochwały.

Nie to jednak jest źródłem poparcia dla rządzącej formacji. By je zrozumieć, trzeba zwrócić uwagę na to, jakie postawy obierało reprezentować Prawo i Sprawiedli-

wość. Po pierwsze, stało się partią, która podjęła się reprezentowania znaczącego nurtu polskiego katolicyzmu, którego wyrazicielem jest Radio Maryja, a którego wpływy w ostatniej dekadzie znacząco się rozszerzyły. Po drugie – PiS jest postrzegany jako znaczący przeciwnik „establishmentu III Rzeczypospolitej”, nieco zmitologizowanego, ale postrzeganego przez wyborców prawicy nie przez pryzmat realnych wpływów, lecz języka, który wyraża pogardę dla ich przekonań i postaw. ➔

→ Po trzecie wreszcie – PiS obiecał wyraźną korektę socjalną polityki państwa, a wprowadzając 500+, podwyżkę płacy minimalnej czy obniżając wiek emerytalny – potwierdził, że ma wolę wywiązywania się z tego typu obietnic. Elektorat motywowany katolickim tradycjonalizmem, wrogością wobec establishmentu i przemażdżanych elit czy nadzieją na socjalną korektę polityki państwa, nie ma powodów, by czuć się rozczarowany rządami partii Kaczyńskiego.

Po zwycięstwie odniesionym jesienią 2015 r. PiS utrzymał zdolność do reprezentowania tych trzech grup. Zapewne zdobył też nowych wyborców, strasząc napięciem uchodźców, łudząc perspektywą wymuszenia na Niemczech odszkodowań wojennych, sugerując obronę polskich interesów przed wrogiem naszemu krajowi polityką Unii Europejskiej. Uprawiana przez tę partię propaganda utożsamiania narodu z rządzącą ekipą trafiła w jakimś stopniu na podatny grunt.

„Teflonowość” może być oparta na prostym rachunku: skoro PiS nie zawiódł nas w sprawach, które uważamy za istotne, to nie zamierzamy zmienić swoich preferencji. Nawet wtedy, gdy ludzie „dobrej zmiany” nadużywają władzy, czerpią z niej nadmierne zyski. Przecież robili to także poprzednicy. Ci przynajmniej dbają też o nas.

Lokalne zasoby

W tym kontekście hasło zjednoczenia wszystkich sił opozycyjnych przeciwko PiS ma ograniczony sens. Wyborcom światopoglądowej lub socjalnej lewicy trudno będzie uwierzyć w to, że mogą być skutecznie reprezentowani przez polityków PO. Podobnie rzecz się ma w przypadku wiejskiego i małomiasteczkowego elektoratu PSL. Zławsza że doświadczenia fuzji wyborczych nie są zachęcające. Premia, jaką za zjednoczenie dostała Akcja Wyborcza Solidarność, to chyba ostatni taki przypadek. Ani blok PO-PiS w wyborach do sejmików w 2002 r., ani fuzje lewicowe (Lewica i Demokraci, Zjednoczona Lewica) nie potwierdzają tezy, że wyborcy doceniają porozumienia partii o podobnym profilu.

Latem ubiegłego roku partie liberalne i lewicowe nie zareagowały na sondażowy sygnał o zainteresowaniu ich wyborców nową inicjatywą i nowymi twarzami w polityce. Nie zdyskontowały lipcowych protestów, nie pokazały, że rozu-

Jeżeli opozycja będzie
reagować tylko na kolejne
działania PiS,
pogłębi dzisiejsze
rozczerowanie i wzmocni
popyt na nowe twarze
i nowe projekty.

mieją komunikat gromadzących się wówczas w obronie sądów – ale i w proteście przeciwko PiS – tłumów. Nie dostrzegły szansy, jaką był młodszy niż uprzednio wiek protestujących. Zachowały się trochę jak PiS: przeczekały tę burzę.

W ciągu pierwszych dwóch lat po wyborach opozycja antypisowska nie przeprowadziła więc ani znaczącej konsolidacji, ani nie sformułowała propozycji wykraczającej poza to, co głoszone w wyborach 2015 r. Co więcej: nie pojawiły się choćby pomysły korekt prezentowanych wtedy strategii, poza determinacją SLD, by pójść tym razem pod własnym szyldem. Taka polityka *splendid isolation* może zresztą wskazywać, że pomysł na sukces tej partii polega raczej na powrocie do dawnej tożsamości niż poszukiwaniu nowego pomysłu na lewicowość.

Do najważniejszej zmiany doszło całkiem niedawno. Polega ona na deklaracji uzgodnienia wspólnych list i wspólnych kandydatów PO i Nowoczesnej w wyborach samorządowych. Jakość tej nowej oferty będzie zależała od dziesiątków detali: wskazań personalnych, głównego tonu kampanii, unikania wzajemnych konfliktów i ostrej rywalizacji w obrębie list. Dla Platformy będzie to też okazja do sprawdzenia, w jakiej kondycji przetrwały jej struktury. Pamiętajmy, że wielu polityków tej formacji zachowało po 2015 r. swoje funkcje w samorządach regionalnych, miejskich i powiatowych. A zatem nie straciło cennych – w obecnym modelu rywalizacji – zasobów, pozwalających na zorganizowanie skutecznej kampanii. W wymiarze lokalnym PO i jej sojusznik PSL są nadal partiami władzy. Dla tych formacji niezwykle korzystny jest fakt, że długi cykl wyborczy zaczyna się właśnie od wyborów samorządowych, w których rywalizacja może być bardziej wyrównana niż w przypadku kampanii sejmowej.

Trampolina do Sejmu

Można zatem powiedzieć, że teraz strategia opozycji jest w decydującym stopniu określona przez kalendarz wyborczy. W szczególności dotyczy to tych partii, dla których kluczowym testem są wybory samorządowe.

Obok PiS i bloku PO-Nowoczesna do tej grupy należy z pewnością PSL. Jeżeli partia ta wejdzie do większości sejmików, to nawet słaby wynik w wyborach europejskich nie odbierze jej szans na utrzymanie się w Sejmie i odgrywanie istotnej roli na scenie politycznej. Jednak by mówić o sukcesie, PSL potrzebuje jesienią 2018 r. zdobyć wynik dwucyfrowy. By uniknąć porażki, musi okazać się skutecznym graczem przynajmniej w kilku regionach i uczestnikiem kilku koalicji rządzących. Najważniejsze dla tej formacji będą przy tym te województwa, w których mimo swej siły najprawdopodobniej utraci władzę na rzecz PiS.

Dla Platformy Obywatelskiej wynik wyborów samorządowych będzie sygnałem wymuszającym korektę kursu lub pozwalającym na podtrzymanie obecnej strategii. By możliwy był ten drugi wybór, partia musi utrzymać władzę przynajmniej w części sejmików oraz zdobyć – przy założeniu wspólnych list z Nowoczesną – poparcie ponad 20 proc. wyborców. Powinna też obsadzić fotele prezydenckie w kilku nastroju największych miastach.

W przypadku Prawa i Sprawiedliwości wynik dobry to przede wszystkim samodzielna większość w co najmniej sześciu województwach, poparcie powyżej 40 proc. wyborców i sukcesy w kilku dużych miastach. To potwierdziłoby poczucie, że PiS jest na fali wznoszącej i może zaważyć w 2019 r. o zwycięstwo jeszcze wyraźniejsze niż odniesione cztery lata wcześniej.

Lewica – zarówno SLD, jak i Partia Razem – mogą poczekać z zasadniczą weryfikacją swej siły do wyborów europejskich. W przypadku SLD stawka w grze może być także zdobycie pozycji koalicjanta PO w którymś z sejmików, ale nawet brak tak rozumianego sukcesu nie przekreśli jej szans w decydujących wyborach parlamentarnych.

Obie partie mogą liczyć bowiem na „odbicie się” w wyborach do Parlamentu Europejskiego, w których znacznie większy wpływ na wynik ma elektorat wielkomiejski. Warto jednak stwierdzić, że wybory te będą okazją do zaistnienia rów-

niez dla tych projektów, które mogą powstać dopiero jesienią 2018 r. i nabrać kształtów po wyborach samorządowych. W 2004 r. do PE trafili posłowie Socjaldemokracji Polskiej i Unii Wolności, którym nie udało się powtórzyć dobrego wyniku w wyborach parlamentarnych rok później. Tym razem jednak odstęp między wyborami jest mniejszy – wynosi niepełna pół roku, a to może okazać się dla mniejszych partii lub nowych projektów politycznych trampoliną do parlamentu.

Popyt na nowe projekty

Nowe twarze w wyborach 2015 r. pojawiły się niemal w ostatniej chwili. Wiosną 2014 r. nikt nie traktował Pawła Kukiza, Ryszarda Petru czy Adriana Zandberga jako liderów formacji, które mogą odegrać istotną rolę w polskiej polityce. Układ sił wydawał się stabilny. W tym sensie warto zadać dziś dwa pytania: „czy możliwe jest pojawienie się nowych – podobnych do tych z 2015 r. – aktorów przed wyborami samorządowymi?” oraz „czy wybory samorządowe mogą wpłynąć na przetasowanie sił w opozycji?”.

Odpowiedź zależy w dużej mierze od pracy, jaką wykonają w najbliższych miesiącach główne partie opozycyjne.

Jeżeli zmobilizują struktury do względnie niekonfliktowej pracy nad przygotowaniem kampanii i znajdą pomysły na mobilizację wyborców przy użyciu haseł innych niż „blokowanie PiS”, to nie pojawi się zachęta do ryzykowania przedwczesnego startu nowych inicjatyw. Jeżeli będą zachowywać się pasywnie, reagując tylko na kolejne działania PiS, pogłębią dzisiejsze rozczarowanie i wzmocnią popyt na nowe twarze i nowe projekty. Może wtedy dojść do próby wyprzedzającej inicjatywy, podjętej wtedy, gdy centrale partyjne będą jeszcze pochłonięte kampanią samorządową.

Co więcej, gdyby Platforma i Nowoczesna nie potrafiły uzyskać wyniku wyraźnie lepszego od ich dzisiejszych notowań, to stworzą stan niepewności we własnych szeregach. Taka niestabilność przed dwiema kolejnymi kampaniami jest dla tych formacji niezwykle groźna. Słaby wynik – zarówno w kontekście sukcesu PiS, jak i dobrego wyniku SLD czy PSL –

komplikowałby bardzo sytuację Grzegorza Schetyny i Katarzyny Lubnauer. Podobnie zresztą w przypadku PSL i Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Dla tych trzech ugrupowań zaczyna się zatem okres walki o status, o pozycję w blokach startowych do Sejmu. A dla ich przywódców o zdolność zachowania swoich pozycji w polityce. Stawka wyborów samorządowych dla opozycji jest tym razem znacznie większa niż poprzednio, porównywalna może tylko z rokiem 2006, gdy PO i PSL wyszły zwycięsko nie tylko z rywalizacji o samorządy, ale także jako partie nowej, niebranej wcześniej pod uwagę koalicji. Kluczem do sukcesu będzie przede wszystkim sformułowanie przesłania, które zmobilizuje do udziału w wyborach nie tylko dzisiejszych, ale też dawnych zwolenników tych partii.

© RAFAŁ MATYJA

Autor jest politologiem, wykłada w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie. Wydał ostatnio książkę „Wyjście awaryjne. O zmianie wyobraźni politycznej”.

REKLAMA

AN EVENING WITH
2CELLOS
THE SCORE TOUR
KONCERTY
18 MAJA 2018
ERGO ARENA GDAŃSK/SOPOT
19 MAJA 2018
TAURON ARENA KRAKÓW

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK



SCORE
COMING SOON

2CELLOS.COM



Prestige 10
MJM

15
Classic

Hilton
GDANSK

wprost
cgm.pl

trojmiasto.pl

Multikino

4 GOLD

empik

PERKUSISTA

pap

WV

ams



TOMASZ WASZCZUK / PAP

Bar Kebab Prince, przed którym w noc sylwestrową 2016 r. zginął 21-letni mieszkaniec Elku

Spokój w Ełku

BARTOSZ JÓZEPIAK

Miasto zdążyło już ochłonać po zabójstwie Daniela przed barem z kebabem. Po ponad roku zaczął się proces w tej sprawie.

DANIEL ZAMÓWIŁ DUŻĄ BARANINĘ, SOS mieszały. Darek podwójną porcję kurczaka, sos łagodny. Dalej ponoć było tak: gdy przyszło do płacenia, Daniel podał stużłotowy banknot i rzucił na ladę. Larbi, szef lokalu, powiedział: „W porządku, nie chcę awantur”. Ale Daniel wychodząc chwycił jeszcze dwie butelki coli. Larbi wyskoczył za nim, krzycząc: „Halo, pro-

szę pana!”. Wybiegł też Lassad, który dopiero co przyjechał do Ełku. Lassad i Daniel zaczęli się szarpać. Tunezyjczyk dostał w nos, ale to Daniel przegrał starcie. W tym czasie Darek w spokoju dojadł kebaba. Zdążył jeszcze wrzucić petardę do baru, prosto pod nogi klientów. A potem znalazł Daniela leżącego na ziemi. Martwego. Lassad miał w ręku nóż.

Była godzina 22, sylwestrowa noc. Co się działo w Ełku w nowym, 2017 roku, widziała cała Polska. Dwa dni rzucania kamieniami, płytami chodnikowymi i butelkami, demolowania witryn sklepowych i barów z kebabami. Policja z pałkami i gazem łzawiącym. 40 osób zatrzymanych. Ełk pomścił Daniela, który zginął z rąk islamistów.

Zginiesz za kratami

Lassada A. policjanci wprowadzają do sądu w kajdankach. Niewysoki, krótko ostrzyżony, w granatowym swetrze. Ma 27 lat. W Suwałkach właśnie ruszył jego proces.

Lassad czyta oświadczenie po polsku. Pamięta, jak mężczyźni krzykali: „ciapaci, Arabi, czarnuchy, brudasy, muzułmanie, macie przechłapanie”. A potem Darek zaczął: „Dawaj, k..., kasę”. W ręku miał pe-

tardę. Tunezyjczyk przestraszył się, chwycił nóż i wybiegł z lokalu.

Wpadł na swojego szefa oraz Daniela, który rzucił się na niego z furią, uderzył go w nos, zamroczył. Nie zamierzał używać noża. Nie wie, jak to się stało. Nie pamięta, jak uderzał. Nie jest mordercą. Przprasza matkę i siostrę zmarłego.

Oskarża policję, że wymusiła na nim przyznanie się do winy. Mundurowi po zatrzymaniu mieli mówić: „Wiesz, co się dzieje na dworze? Jeżeli nie zginiesz tutaj, to zginiesz za kratami. K... mać, już po tobie”. Odwołuje wcześniejsze zeznania. To wszystko, co ma do powiedzenia.

Lassad do Warszawy przyjechał w 2010 r. na studia. Zarządzania nie skończył, ale poznał przyszłą żonę. Pracował w barach. Gościnności Polaków doświadczył nie raz. Najbardziej gdy został pobity na dyskotekę. Do Elku wyjechał, bo brakowało mu pieniędzy na mieszkanie. Sylwester był jego pierwszym dniem w barze. Przed Elkiem karany był za drobną kradzież.

Obróńca Marcin Puszyński z kancelarii SCBP mówi mi: – Prokuratura zarzuca naszemu klientowi, że zabił z zamiarem ewentualnym. My stoimy na innym stanowisku. Możemy mieć do czynienia z przekroczeniem granicy obrony koniecznej bądź afektem. Na pewno nie było to tego typu zabójstwo.

Lassad przebywa w więzieniu w Białymstoku. Śledczy wysłali go aż tam, bo obawiali się o jego życie. W celi ma tylko obcokrajowców. Nadal uważa, że nie jest bezpieczny. Po wyroku najpewniej będzie prosił o przeniesienie do więzienia w Turcji.

U nas to nie przejdzie

W rocznicę śmierci przed niegdysiejszym barem z kebabami znów zapłonęły znicze. Elk pamięta o Danielu.

Taksówkarz Arek wzdycha: – Nie sposób zapomnieć. Gość wybiegł z mieczem, zasztyletował chłopaka za dwie butelki coli. To taki naród, taka religia. Od małego są uczeni, jak odciąć głowę.

Arek widział to w telewizji. A na YouTube ile jest filmików. Dla nich śmierć drugiego człowieka to nic. Oni nawet zbawienie za to mają, z tego co słyszał. Nie, nie chodzi o to, że miasto jest przeciwne uchodźcom. Ale mamy czasy takie, a nie inne, jeżeli chodzi o muzułmanów. W Belgii po zamachach malują kwiatki na chodnikach. W Niemczech na placu gwał-

cili kobiety, a faceci tylko się przyglądali. A Polacy jako jedyny naród zareagowali normalnie. Stąd te butelki i kamienie. Żeby dać sygnał: u nas takie rzeczy nie przejdą.

Sygnał dali też działacze ONR-u. W tydzień po zabójstwie Daniela zorganizowali pikietę „Elk wolny od dżihadu”. Przyszli rodzice z dziećmi, wielu chłopaków w bluzach z kapturem z Orzeszkowej. To w tej okolicy jest bar z kebabem i tu też mieszkał Daniel.

To ulica pełna komunalnych kamienic. Po drewnianej, odrapanej klatce prze-myka Krzysiek. Ma 22 lata. Daniela znał z widzenia. Żałuje, że nie mógł go pomścić. Zamieszki oglądał w telewizji w zakładzie karnym. Cztery miesiące siedział za kradzież. – Dobrze, że chłopaki wzięli się za robotę. Każdy chciał pomścić kolegę – mówi.

Krzysiek przez rok pracował w Niemczech na budowie. Pieniądze w porządku, ale mało znajomych. W Elku też robi w budowlance. Zimą tylko wykończeniówki. Dwa i pół tysiąca wyciągnie w miesiącu. Da się żyć.

A imigranci według Krzyska to powinni mieć zakaz wjazdu do Polski. Jego siostra pracuje przy produkcji kabli do samochodów. Większość pracowników: Ukraińcy, z czego połowa nielegalnie. Polakom zabierają robotę.

Radny: to prowokacja

Do obrony honoru Daniela ruszyła cała Orzeszkowa. Poszły szyby w barach z kebabami i sklepie Żabka. Zapłonęły drzwi mieszkania, w którym podobno mieszkał zabójca. Przed barem była też minuta ciszy i modlitwa „Ojciec nasz”. Policjanci ścigali posiłki z Olsztyna. Na początku głównie stali w hełmach i z tarczami, słuchając okrzyków „policja dla Polaków” i „wstyd”. Później zaczęli wciągać agresywnych do radiowozów.

Po forach kibicowskich poniosła się wieść: szturmem do Elku! Podobno policja na opłotkach miasta zatrzymała autobus kiboli z Białegostoku. Ktoś wrzucił zdjęcie adwokata, który reprezentował Algierczyka. Komentarz: „Za kilka dni kibole zniszczą kancelarię i spalą mieszkanie obrońcy. Czas chyba, aby pan Tomuś pakował walizki”. Groźby popłynęły też na skrzynkę mailową prawnika. Wycofał się z obrony.

Bohaterstwo Daniela zainspirowało artystów. Na forum Kibole.pl posłuchamy rapu: „wyjdzcie czterech tych ciapoli pier-

dolonych chłopie / pozbawi życia tylko dlatego, że mieli kosę przy sobie”.

Z zatrzymanych przez policję większość sama poddała się karze. Tłumaczyli: po alkoholu byliśmy, żałujemy. Metryki chłopaków podobne: 19, 22, 25 lat. Bezrobotny, wykształcenie gimnazjalne, wcześniej karany. Na ławie oskarżonych znalazł się też radny powiatowy Tomasz Bartnik. W lokalnym radiu opowiadał, że przed barem stał przez przypadek, a sprawa jest polityczna.

Europy już nie ma

Marek z Orzeszkowej to się takimi sprawami nie interesuje. Pracował w wojskowych zakładach, ale zamknęli je 20 lat temu. Teraz siedzi na rencie i myśli tak: Polacy też jeżdżą za granicę. Jak jego córka, co siedziała siedem lat w Anglii. I też nas mogą stamtąd zaraz zacząć wyganiać.

Tomasz prezentuje na rękę wielki tatuaż „Elk – złote miasto”. Na drugiej sprawi sobie napis „Mazury – cud natury”. Z kolegą się nie zgadza. Nie można być obojętnym. Widać, co się na Zachodzie dzieje. Zamachy, strach. Dobrze, że rząd nie wpuszcza obcych. Lepiej nie ryzykować. I dobrze, że nasze chłopaki zadziałali.

– A pamiętasz, jak zamordowali człowieka pod komendą? To wtedy jakoś nie było burdy – kontruje Marek.

Cezary na Orzeszkowej sprzedaje meble sprowadzane z Holandii. Kiedyś to był biznes, a teraz taniocza wypiera go z rynku. W Elku praca jest, tylko mało płatna. W strefie ekonomicznej z trzy tysiące zarobisz, ale co się naharujesz w weekendy, to twoje. Dlatego jeszcze trzyma swój biznes.

Cezary do Ukraińców i Białorusinów nie ma. To chrześcijanie, chcą pracować. Natomiast ci z Afryki chcą tylko socjału. Nie integrują się, bo jest różnica kultur. Tego się nie da pogodzić w żadnym wypadku, bo będzie bałagan. To, co się dzieje na Zachodzie, to jego zdaniem socjalizm. Muzułmanów cywilizacja rośnie, nasza się zwija. Dobrze, że Polska trzyma się jeszcze mocno.

Na miejscu baru z kebabem pojawił się sklep ze zdrową żywnością. Sprzedawcy nie narzekają na brak klientów. Wręcz przeciwnie. Zła sława przyciąga ciekawskich.

Polak buduje sam

Przed sądem w Suwałkach staje Mohammed, który pracował razem z Lassadem. Radek, kolega Daniela, często kupował →

u nich kebab. Kiedyś w Mohammeda rzucił butelką na ulicy. Mohammed Daniela nie znał. Zabójstwa nie widział. Po wszystkim wyjechał z Elku. Skradziono mu tam telewizor, ubrania, pieniądze. Nie chce mieć z tym miastem nic wspólnego.

Larbi A., właściciel baru, odmawia składania zeznań. Przeciwno niemu toczy się sprawa o nieudzielenie pomocy Danielowi. Prywatnie tłumaczy, że nie chciał walczyć z Danielem. Dopiero po wszystkim zobaczył, że Lassad miał nóż. Pytał: „Uderzyłeś go?”. Ale Lassad zapewniał: „Tylko w kurtkę”. A potem zobaczył leżącego Daniela, Radka krzyczącego: „Zabiliście go!”. Larbi dostał w głowę kebabem. Chciał dzwonić na pogotowie, ale nie miał telefonu. Mundurowi zapakowali go do radiowozu. Pierwsze 48 godzin w areszcie spał jak zabity. Był pewien, że zaraz wyjdzie. Przesiedział sześć miesięcy.

Do Polski przyjechał 14 lat temu. Wcześniej były Austria, Czechy, Francja, Holandia, Niemcy. W Warszawie na stadionie sprzedawał perfumy. Pracował w barach. Otworzył swój lokal na Pradze, ale interes szedł marnie. Panowie przychodzili po haracz, klientela nieciekawa, choć Larbi wie, jak rozmawiać z ludźmi. Wchodziło czterech takich, pijanych, krzyczeli, to Larbi dawał im ekstra mięso, darmową herbatę. A jak go na ulicy ktoś zaczepia, skąd jest, to odpowiada „Italia”. I ma spokój.

Na krótko wrócił do Algierii, poznał drugą żonę. Mają trójkę dzieci. Ale że w Algierii bez protekcji nie ma pracy, to wrócił. Pięć miesięcy remontował bar w Elku, nabrał kredytów. Teraz został z pożyczką do spłacenia. Nie może wyjechać, od roku nie widział dzieci. Koledzy w innych barach nie chcieli go zatrudniać. Leczy się z depresji. Lassad jemu także zniszczył życie.

Jeździ na Uberze. Od klientów dostaje zawsze pięć gwiazdek. Pytają go: „Co myślisz o Polakach?”.

A Larbi myśli, że są tacy, co krzyczą za nim „terrorysta”, ale są też normalni. Polaków ceni, bo są twardzi. Kto budował Niemcy? Przybysze z Turcji. Francję? Z Algierii. Holandię? Z Maroka. Anglię? Z Indii. A Polacy sami budowali swój kraj. Jak ktoś krzyczy: „Polska dla Polaków!”, to Larbi się nie obraża.

Obecne rządy Larbiemu się podobają. Walczą z korupcją. Dbają o porządek. Przywracają godność. Tylko o muzułmanach mogliby tak nie mówić.

Za jego znajomymi z Algierii sąsiedzi krzyczą „czarnuchu”, „Arabie”. Algierskie

Na miejscu baru pojawił się sklep ze zdrową żywnością.

Sprzedawcy nie narzekają na brak klientów.

Wręcz przeciwnie. **Zła sława przyciąga ciekawskich.**

dzieci z polskiego przedszkola wracają zapłakane. Prawie wszyscy znajomi Larbiego uciekli do Anglii.

Cześć i chwała bohaterom

Na przystanku w Słuczu zaparkowało bmw. Kręcą się chłopaki i dziewczyny. To rodzinna wieś Daniela.

Kazimierz i Jurek wspominają: pod sklepem z nami nie wystawał. Porządny chłopak. Sąsiedzi dodają: nie miał łatwego dzieciństwa. Ojciec miał 15 hektarów, piękny dom z białej cegły. Z żoną Jadwigą do zgody nie doszli. Sama wychowywała Daniela i piątkę rodzeństwa. Żyli z jej renciny. W okolicy pracy nie było. Kiedyś to działał PGR, w gorzelni pędzili spirytus z ziemniaków. A potem prywaciarze wszystko wzięli. Teraz co drugi dom w wiosce pusty.

Mariola pociera oczy, jak mówi o Danielu. Ile zdjęć, zniczy, wieńców do dzisiaj na cmentarzu leży. Chodził po wsi w wojskowym mundurze. Dostał się do akademii kadetów. Jak zaglądał do Słucza, to z synami Marioli spotykał się na przystanku. On przyjeżdżał z Elku, oni z Holandii.

Na cmentarzu świeczkę za pamięć Daniela zapala wujek Marian. Kreśli znak krzyża i odmawia modlitwę. Cześć i chwała bohaterom!

Marian to kapitan Związku Piłsudczyków. Namawiał Daniela na karierę wojskową. Rodzina walczyła w powstaniach i pod Monte Cassino. Ale w wojsku brakowało etatów. Daniel czekał na nabór do Obrony Terytorialnej. Byłby dobrym żołnierzem.

W Elku Daniel półtora roku mieszkał z siostrą, potem poszedł na swoje. Trochę pracował w drukarni, w ogrodach. Miał opinię takiego, co się znajdzie w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

– Jak zeznawałem dzień po jego śmierci, to się policjantka dziwiła: „Daniel? Przecież wczoraj zeznawał w sprawie o pobicie” – wspomina Kamil, świadek zabój-

stwa. Daniel stracił prawo jazdy za prowadzenie po alkoholu. Był karany za przestępstwa z użyciem przemocy. – Żaden święty – przyznaje prokuratura. Nieoficjalnie słychać, że w sylwestra był pod wpływem narkotyków.

Więcej mógłby opowiedzieć kolega Radek. Po śmierci Daniela na wezwanie policji przyszedł na wizję lokalną. Pokreślił się po barze, wyszedł tylnymi drzwiami i zniknął. Od tamtej pory nikt go nie widział. Podobno ukrywa się, bo ma swoje do odsiadki.

Matka Daniela w sądzie zaklina: – Syn piwko może wypić, ale pijakiem nie był. Siostra dodaje: – Nie był rasistą. Przecież siostrzeńca zabierał do barów z kebabami.

Kobiety nie przyjmują przeprosin Lassada. Żądają 70 tysięcy złotych odszkodowania. Tłumacząc: chodzi o sprawiedliwość.

Niech siedzą u siebie

Żona przynosi Kamilowi kanapki do sądu. Ile to jeszcze potrwa? Kamil ma robotę. Jest brygadzystą. Jak on siedzi w sądzie, to chłopaki nie pracują.

W sylwestrową noc z bratem znaleźli leżącego Daniela. Próbowali ratować, ale nie było szans. Cios prosto w serce. Dziura na dwa palce. Tunezyjczyk uderzył jak zawodowy żołnierz. Musiał wiedzieć, gdzie trafia.

Kamil oglądał to, co się działo po zabójstwie, ale sam kamieniami nie rzucał. Chłopaki jak ruszyli, to już na wszystkich. Rozwalili też drugi kebab, trochę niepotrzebnie.

Młodszy brat, który z Kamilem robi elewacje, poszedł na protest ONR-u. Polska dla Polaków, takie mają zdanie. Ciapaci jak Cyganie: biegną zawsze chmarą. Niech siedzą w swoim kraju, my w swoim.

Nie zamierza wyjeżdżać z Elku. Pensję poszły w górę, teraz wyciąga po trzy i pół tysiąca. Dobrze, że ten rząd podniósł stawki. W Elku jest robota, tylko rąk do pracy zaczyna brakować.

Po zabójstwie Daniela dwa tygodnie poszumiało i potem wszystko ucichło. Tak w mediach huczeli, co się nie będzie działo, a był spokój. Chodzą kolorowi po mieście i nikt im nic nie robi. No, może różnica jest taka, że teraz mieszkańcy wieczorami oglądają się za siebie. Nie wiadomo, czy noża taki nie wyciągnie i nie zadąga.

Chodzi też plotka, że jeden zgwałcił dziewczynę. Czy to prawda, nie wiadomo.

© BARTOSZ JÓZEFIAK

Zetknięcia nieuniknione

JUSTYNA MARCINKOWSKA

Chłopaki z Bródna kopią piłkę z drużynami z Etnoligi. Rasistowskie żarty na osiedlu sypały się gęsto. Ale pewnego razu jeden z chłopaków powiedział: mnie to już nie śmieszy.



ZDJĘCIE: JARYMOWICZ

Martyna i Richard podczas finału Etnoligi 14, Warszawa, 15 czerwca 2017 r.

NIGDY NIE WIADOMO, KIEDY CZŁOWIEKowi się przeleje. Mohammedowi stało się to dzisiaj. Bo co to niby ma znaczyć: „Patrzcie na tego Egipcjanina, zachowuje się jak dziecko?” – I to mówił Ashraf, z Arabii Saudyjskiej! Powinien postudiować historię: to my, Egipcjanie, zakładaliśmy szkoły i szpitale. To my zbudowaliśmy Arabię Saudyjską – powtarza Mohammed.

Spiesz się do szatni, spocony i zły. Powód jest istotny. Zawodnicy The Pros kłócą się o to, czy słuszna była zmiana zawodnika w drugiej połowie. Przegrali właśnie finał Etnoligi. Oprócz Mohammeda w drużynie grają Lukman i Emsy (Nigeria), Hossam (Sudan), Ashraf i Abdullah (Arabia Saudyjska), Hammod i Majeed (Oman), Tarek i Haitham (Egipt), Vitalij (Ukraina) oraz Ania (Polska).

O puchar tego międzykulturowego projektu piłkarskiego, organizowanego przez Fundację dla Wolności na warszawskiej Pradze-Północ, walczyli zawodnicy z 95 państw. Przedstawiciele wszystkich zawodów, obu płci, różnych wyznań. Barmani, studenci, robotnicy, handlarze, uchodźcy, biznesmeni. Ukraińcy, Niemcy, Żydzi, Arabowie, Kolumbijczycy. Kiedyś najwięcej widać było Wietnamczyków. Teraz – ze względu na wojnę w Donbasie i fakt, że turecka firma wygrała przetarg na budowę metra – najliczniejsi są Ukraińcy i Turcy.

Nic na siłę

Krzysztof Jarymowicz, twórca Etnoligi, ma zasadę: nie ingerować. Ludzie z ludźmi najlepiej układają się sami. Lgną do osób

z bliskich sobie kręgów kulturowych i nie ma sensu tego zmieniać. Turcy wezmą do drużyny Kazacha albo Azera. Irańczycy brali Afgańczyków, z którymi mogli dogadać się w staroperskim.

Zdaniem Krzysztofa nie ma też sensu dawać ludziom na siłę czegoś, czego nie chcą. – W Etnolidze grają osoby, które w życiu by nie poszły na warsztaty integracyjne czy wieczór pieśni perskich – mówi Krzysztof. – Bo to ich po prostu nie interesuje.

Latem grają na trawie, zimą w hali, raz na Pradze, raz na Ursynowie – żeby wychodzić do ludzi. Gdy zaczęli 15 lat temu, starali się angażować głównie uchodźców. Przychodzili Czecheni, Kazachowie. Z czasem dołączyli ich znajomi, potem znajomi znajomych. Teraz to w zasadzie piłka dla wszystkich.

Trzeci gol Nigeryjki

Mohammed wychodzi z szatni wyszykowany. Co rusz zbacza z drogi, raz po raz witając się z napotkanymi, zagadując i obejmując ramieniem. Gdy mija Anię, rozmawia z nią długo i poważnie. „Nasza najlepsza zawodniczka” – mówi. I to prawda. Strzeliła w tym sezonie 39 goli, tyle samo co Oleksandr z drużyny Turka. Mohammed wbił 14, ale może by miał więcej, gdyby Ashraf nie kazał mu zejść z boiska.

Mógł siedzieć w Port Said, jak jego brat, i przepuszczać statki pływające przez Kanał Sueski. Nie była to zła robota, choć po rewolucji było jej mniej. Mohammed usłyszał, że w Polsce można zrobić dobre interesy na arabskim jedzeniu. Ludzie dają mu pieniądze, a on daje ludziom kebab.

Znajomy, który pomógł znaleźć Mohammedowi knajpę, powiedział też o lidze. Był fanem Realu Madryt, jeździł do Hiszpanii kibicować. Pomyślał: „Czemu nie? Może uda się kogoś poznać”. Mohammed mówi sąsiadom „dzień dobry”, a oni zawsze się spieszą.

Na trybunach dziewczyny w hidżabach, przychodzą pooglądać swoich chłopaków. Ale też chłopaki przychodzą pooglądać swoje dziewczyny. Bo w Etnolidze piłka jest koedukacyjna. Na początku był z dziewczynami trochę problem. Ukraińcy prosili, żeby zrezygnować z tego pomysłu, bo to obniża poziom. Żarty skończyły się już w pierwszym turnieju, gdy Nigeryjka wbiła im trzeciego gola. Czecheni powiedzieli z kolei, że to wykluczone, bo oni nie mogą dotykać kobiet. Krzysztof niechętnie przystał na grę wyłącznie w męskim składzie. Ale zetknięcia i tak były nieuniknione.

W końcu wypadło z tabeli, że będą grać z Chrzęszczakami. Drużyna feministyczna, w składzie głównie kobiety, wiele z nich nie kryje, że woli własne towarzystwo i to nie tylko na boisku. Z jednej strony pobożni, konserwatywni muzułmanie, z drugiej feministki i lesbijki. I okazało się, że można.

Nie ma złej narodowości

Drużyna Oleksandra wyróżnia się na tle Etnoligi biało-czerwonymi koszulkami, do złudzenia podobnymi do strojów polskiej reprezentacji. Tylko zamiast „Polski” napis „Turka”. Firma produkująca tortille obiecała zespołowi wsparcie w zamian za ➔

→ umieszczenie logotypu na koszulkach. Poza Etnoligą trenują też jako FC Kebabita. Może znajdą nowego sponsora.

Ale w Turce najwięcej jest Ukraińców. Jest jeszcze Kazachstan, Egipt i Libia. Tylko dziewczyny są z Polski. Zdaniem Oleksandra Ukrainki nie nadają się do piłki.

Do Warszawy trafił z Czerkasów – na studia. Czy chciałby wrócić? Najpierw myślał, że tak, w końcu to jego kraj. Ale później ta sytuacja z wojną. Musiałby pójść do wojska, a nie chce.

– I wiesz co? – dodaje. – Nie chcę też w innym kraju mieszkać. W Anglii byłem, pracowałem. Ale to jest kraj, gdzie pojedziesz, zarobisz i wrócisz. Tutaj może dużo nie zarobisz, ale wszystko jest podobne. Tylko czasami wstyd mi za innych Ukraińców. Przyjeżdżasz do innego kraju, a zachowujesz się tak, jakby wszyscy musieli tobie pomóc. Tak samo jest z Polakami, co jadą do Londynu. Oczywiście nie wszyscy. Nie ma złej narodowości, są tylko źli ludzie.

Legion przeciw rasizmowi

Maksymiliana poznają na trybunach, ale spotykamy się w kawiarni. Jest elegancko ubrany, właśnie wyszedł z pracy. Zajmuje się franczyzą. I Legią.

Na starej „zylecie”, jak opowiada, nie było zamordyzmu. Przestał tam chodzić, gdy pojawiły się flagi organizacji White Legion z wilczym hakiem, szaliki z krzyżami celtyckimi i antysemickie hasła. Wybrał trybunę 202, gdzie legionieści nie dyscyplinują, gdy ktoś nie chce wykrzykiwać faszystowskich przysięwek.

Nie chciał też czytać bloga „Droga Legionisty” – instrukcji, co myśleć, jak chcesz być kibicem Legii. Założył stronę anty. I drużynę Green Legion, w kontrze do neonazistowskich zwolenników białej rasy. Akurat strona sportowa nie zawsze była atutem Green Legionu w tym całym przedsięwzięciu. A w Etnolidze poziom jest wysoki. To nie *happening* polityczny, tylko zawody sportowe. Na początku przychodziły dziewczyny nie po to, by grać w piłkę, ale ze względów światopoglądowych. Na boisku nie wiedziały, co robić. Schodziły obrażone.

Maksymilian z chłopakami zaprosili zagranicznych znajomych, a ci zaprosili swoich. Z tego zaciągu jest np. Volha, Białorusinka polecona przez Węgrów. Zaczęła się integracja. Zbierali się wspólnie na kibicowanie Legii i na imprezy.

No ale w Green Legionie piłka nie jest najważniejsza. Najważniejsza jest idea.

W Etnolidze grają osoby, które w życiu by nie poszły na warsztaty integracyjne czy wieczór pieśni perskich – mówi jej twórca Krzysztof Jarymowicz.

Chodzi o to, by pokazać: jest w Legii jakaś alternatywa.

Rozmowy o konkretnych ludziach

W pewnym momencie w Etnolidze zrobiły się małe mistrzostwa świata. Kolumbijczycy z Kolumbijczykami, Turcy z Turkami. Polacy na Arabów. Arabowie na Żydów. – Są ludzie, którzy świetnie się integrują, tworzą międzynarodowe paczki – mówi Maksymilian. – Ale równolegle toczy się turniej nacjonalizmu.

Żydowskiej drużynie Makabi arabski *team* nie chciał podać ręki. Antonio, mużulmański trener żydowskiej drużyny, rozumiał, co mówią Czeczeni pod adresem Makabi – i nie były to miłe słowa. W końcu poszło na ostro. Pobili Nigeryjczyka, złamali mu rękę, interweniowała policja. Był jeszcze Stadion Dziesięciolecia, gdzie chłopaki handlowali i mieli targi o rewir. No i do tego krzys krzys migracyjny. Stara gwardia uchodźców czuła się Polakami pełną gębą i burzyła się, żeby nowych nie przyjmować. Ludzie na Facebooku przeklejali różne rzeczy, „wyp*** Arabów z Polski” itd.

W końcu Mohammed poprosił o interwencję. – Usunąłem kolegę Polaka ze znajomych – mówi do Krzysztofa. Poszli we dwóch wyjaśnić sprawę. Krzysztof pyta: – Czemu chcesz wyrzucić Mohammeda z Polski? Winowajca zmieszał się i zaczął głupio tłumaczyć: że on nie miał tego na myśli, że on tak tylko napisał, przeklecił czyjś post, a akurat Mohammed może zostać. No ale jest jeszcze Ahmed, jest jeszcze Hussein, jest Abdullah. To wszystko są Arabowie. I co z nimi zrobimy?

– Doszedłem do wniosku – mówi Krzysztof – że takie rozmowy o konkretnych ludziach to najlepsza odtrutka na ksenofobię. Okazuje się, że on po prostu nie myślał. Może chciał tylko się tak wytłumaczyć, bo jest tutaj, w Etnolidze. Ale

przynajmniej ma teraz jakiś dysonans. Gdzieś w głowie musi to skonfrontować i zastanowić się, czy tak naprawdę chce wyrzucić Arabów z Polski.

Inny świat

Po tym incydencie było spotkanie z psychologiem sportu dla kapitanów drużyn. Zrobili też giełdę piłkarzy, przez co rekrutacja stała się bardziej podzielona. Teraz Etnoliga rozdysponowuje zawodników. Mówisz, OK, my przyjmujemy trzech. Dobra, to macie Niemca i dwóch Afgańczyków.

Krzysztof mówi, że jak jest 300 osób, to niemożliwe, żeby gdzieś w głowach nie było rasizmu. Bo w Etnolidze mniej więcej połowa zawodników to Polacy. Część nie ma żadnych kompetencji międzykulturowych. Może nie faszyci, ale zupełnie inaczej urządziłby świat niż Krzysztof i Etnoliga.

Magnesem jest to, że mogą pograć w piłkę za darmo. W innej lidze każdy musiałby wyłożyć ze 200 zł. Oczywiście, nikt nie przychodzi i nie mówi: „Cześć, jestem rasistą”. Ale takie sytuacje wychodzą podczas grania.

– Na Bródnie są naprawdę żyletowe chłopaki – opowiada Krzysztof. – Żarty z Żydów i Murzynów leciały non stop. W pewnym momencie jeden stwierdził: mnie to już nie śmieszy. I powiedział innym, żeby sobie tak nie żartowali, bo ma w drużynie czarnego kolegę i żeby się od niego odwalili. Wiem, że to nie wszyscy i nie od razu. Ale w życiu bym tego nie osiągnął, gdybym zrobił zajęcia pod tytułem „Uczymy się, co to są stereotypy”.

Finał

W pierwszej połowie finału The Pros radzą sobie dobrze, ale im dłużej trwa mecz, tym bardziej piłka przechodzi na ich połowę. Gdy wbijają wreszcie gola, zbijają się w radosne kłębowisko. Ale na trybunach to Turka ma doping. Ukraiński zaśpiew roznosi się po hali. Oleksander jest spokojny i pewny. Wbija gol za golem.

Po meczu nikt nie spieszy się do domu. Wieczorem w klubie ceremonia wręczenia nagród. Mohammed transmituje ją na Facebooku. Zmienia sobie zdjęcie profilowe na takie, gdzie widać go podczas meczu, objętego razem z Ashrafem i Hammodem. Pytam, jakie ma dalsze plany. No, dalej grać, żyć, zarabiać. Niedługo jedzie do Rosji na mundial, kibicować swojemu krajowi – Egipcjowi. I Polsce oczywiście też.

© JUSTYNA MARCINKOWSKA

ANNA

Dziewit-Meller: Podstawka pod dyktafon



W 2012 R. OPINIĄ PUBLICZNĄ WSTRZĄSNĄŁ film Joshuy Oppenheimera „Scena zbrodni”. Reżyser oddał w nim głos członkom brygad śmierci, które – przy cichym wsparciu rządu amerykańskiego – w latach 1965–66 zajmowały się likwidowaniem przeciwników wojskowego reżimu w Indonezji. Życie straciło wówczas ponad milion osób, większość zginęła zamordowana w bestialski sposób, jako podejrzani o komunizm, z którym rzecz jasna często nie mieli nic wspólnego. Oppenheimer pojechał do oprawców, postawił ich przed kamerą i pozwolił, by popłynęła ich opowieść, nieskazana żadnym poczuciem winy, refleksją nad ogromem zbrodni, czymkolwiek co mogłoby w oczach widza nadać im choć pozór człowieczeństwa. Ci psychopatyczni mordercy szalenie zadowoleni z siebie rekonstruuja swoje zbrodnie przed kamerą, co nadaje filmowi wymiar bez mała groteskowy. Zło jest tak pewne siebie, że aż staje się swoją własną karykaturą. Werner Herzog, współproducent filmu, orzekł, że to najbardziej surrealistyczny i przerażający obraz dokumentalny ostatniej dekady. Posypały się nagrody. Świat docenił dzieło i został poruszony siłą jego oddziaływania.

Podobnego zabiegu – oddania głosu bohaterom, którzy, rzecz można nieco eufemistycznie, nie z naszej są bajki – dokonali autorzy dokumentu filmowego o polskich nacjonalistkach przygotowanego dla brytyjskiego „Guardiana” – „*Pretty radical: a young woman's journey into the heart of Poland's far right*”. Jego bohaterką jest Paulina, 19-letnia członkini ONR, z którą autorzy dokumentu spotykają się przez pięć miesięcy. Paulina opowiada o swoim wstąpieniu do grupy, o poszukiwaniu miejsca dla siebie w trudnym świecie, a jej koledzy mówią do kamery rzeczy w rodzaju: „Nie mieszkamy faszyzmu z nazizmem, Żydzi są winni sami sobie”. Paulina tłumaczy dziennikarzom, jak rozumie swój nacjonalizm i jak widzi swoją rolę w pracy na rzecz Polski. Kiedy podczas obozu dziewczyna upija się wieczorem, rano dostaje karę od szefa organizacji – musi napisać esej o alkoholizmie. Chwilę później widzimy na ekranie łysych byczków

robiących karne pompki, w rytm wykrzykiwanych przez szefa słów: „Nie wyrzucę opakowań po czekoladzie na ziemię”.

„ONR to jest jedyna rzecz, na jakiej mi zależy. Moje życie straciłoby sens, gdybym miała odejść” – mówi Paulina. Kamera jedzie z nią do rodzinnego Włocławka, gdzie dziewczyna przygotowuje się do startu w wyborach samorządowych, my zaś poznamy opowieść o tym, jak ta młoda, sympatyczna i *last but not least* ładna dziewczyna nie znajduje zrozumienia u swoich rodziców, o tym, jak czuje się samotna, bo większość jej przyjaciół wyjechała z Polski do Wielkiej Brytanii. Reżyserka idzie wreszcie ze swoją bohaterką na Marsz Niepodległości. Pośród migawek z marszu, scen rzucania rac w stronę policji członkinie organizacji mówią, że to najpewniej prowokatorzy, wynajęci przez kogoś, kto źle życzy marszowi i narodowcom. Paulina ostatecznie nie wygrywa wyborów, jest rozczulona, ale przyznaje, że zgodziła się na to wszystko, bo chce budować wielką Polskę. W „rasistowskie hasła się nie miesza”. Po studiach zamierza iść do wojska. „Chcę być przygotowana na wszystko” – mówi.

W „Dużym Formacie” ukazał się niedawno tekst Magdaleny Ruty o dziewczynach należących do narodowych organizacji. Autorka oddała im głos, podobnie jak Oppenheimer powstrzymując się od komentarza. Patrzymy więc na świat ich oczami, zaskoczeni, jak gładka jest ich mowa, jak niespodziewane niektóre przemyślenia np. na pozycję kobiet w świecie, wreszcie – skąd wzięły się w ONR i co im on dał, czego nie mogliśmy dać symboliczni „my”. Ta wiedza naprawdę szokuje.

Na Rutę w dniu publikacji spada jednak fala bardzo mocnej krytyki: że wpuszcza na salony ludzi, z którymi nie powinniśmy mieć nic wspólnego. #Noplatfrom – piszą ludzie na Facebooku, nazywając Rutę „podstawką pod dyktafon”, która ułatwia narodowcom promowanie ich ideologii.

W obliczu opisanych przeze mnie powyżej dokumentów, kompletnie nie potrafię zrozumieć, dlaczego krytycy tekstu Ruty aż tak bardzo nie wierzą w mądrość czytelników „Dużego Formatu”. Tak jakby dziś każda informacja musiała być opatrzona komentarzem, jakby samodzielne myślenie było zarezerwowane dla tych, którzy coraz bardziej z dziennikarzy zmieniają się w aktywistów. Dajcie mi, proszę, samej ocenić wypowiedzi tych dziewcząt z reportażu, mam wrażenie, że nie potrzebuję komentarza reporterki.

Od udawania, że narodowcy to tylko tępe łyse pały, układające swastyki z wafelków, rzeczywistość nie stanie się inna. Dzięki Rucie dowiedziałam się, że w ONR są młode dziewczyny, które są dużo bardziej niebezpieczne od tych durni, co hajlują w lasach pod Wodzisławiem. Zmierzmy się z tą wiedzą, zamiast skupiać się na atakowaniu dziennikarzy, którzy nam ją przynoszą. ©

TP

Kluby „TP” zapraszają

KRAKÓW – piątek, 23 marca, godz. 18.00
Spotkanie z cyklu „Tischner czyta Katechizm”. Tytuł: „Wiara szuka

zrozumienia”. Instytut Myśli Józefa Tischnera (ul. Sławkowska 14).

SŁUPSK – środa, 21 marca, godz. 17.00
Spotkanie „Chrześcijańska odpowiedź na kryzys migracyjny”. Gościem będzie ks. bp Krzysztof Zadarko. Miejska

Biblioteka Publiczna (ul. Grodzka 3, czytelnia 1 piętro).

ZIELONA GÓRA – środa, 21 marca, godz. 18.00 Spotkanie „Seks, zbrodnia i kara”. Gościem będzie prof. Monika Płatek. Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

POKUSA RATUJE ŻYCIE

TOMASZ BUDZYŃSKI, MUZYK:

Dobra Nowina wszystko zmienia, bo skoro jesteś kochany, to sam możesz kochać.
Możesz przebaczyć swojemu wrogowi.



TOMASZ BUDZYŃSKI: To nie będzie prosta rozmowa, w ogóle nie wiem, co z tego wyjdzie.

BŁAŻEJ STRZELCZYK: Dlaczego?

No... żebym nie naopowiadał tylko jakiejś teorii o chrześcijaństwie.

A co to jest chrześcijaństwo?

Bardzo mi się spodobała ta definicja, którą usłyszałem od Benedykta XVI. Powiedział, że chrześcijaństwo to historia miłosna.

I co to właściwie znaczy?

Powiem tak. Urodziłem się w typowej polskiej, katolickiej rodzinie. Jestem ochrzczony, otrzymałem wszystkie sakra-

menty, a w szkole podstawowej chodziłem na naukę religii, która w tamtych czasach odbywała się na terenie parafii przy kościele. Byliśmy ubodzy, dzieciństwo spędziłem w ciasnym pokoju w hotelu robotniczym. Jako młody chłopak, już w szkole średniej, przestałem chodzić na religię, a niedzielne msze święte traktowałem wybiórczo. Co prawda bardzo lubiłem święta religijne, głównie ze względu na panujący wtedy nastrój, ale przeżywałem je w sposób płytki i sentymentalny. Miałem jako takie wyobrażenie o chrześcijaństwie, ale nie miałem żywej wiary.

A co z praktyką?

Można ją było wtedy nazwać „religijnością naturalną”, opartą na strachu przed Bogiem. Katecheza, którą słyszałem w domu i w kościele, była bardzo moralistyczna i skoncentrowana na grzechu. Nie słyszałem Dobrej Nowiny, jaką jest chrześcijaństwo, ani w swoim otoczeniu nie widziałem chrześcijan. Ja niemal przez całe dzieciństwo słyszałem, że mam być grzeczny, bo jak będę niegrzeczny, to pójdę do piekła i Bozia się na mnie obrazi, że „zrobię Bożi przykrość”, jak będę niegrzeczny. Ten kliwy, lukrowany Jezusek z obrazka będzie płakał. Cały czas myślałem, że trzeba wypełnić jakieś Prawo. Rozumiesz?

Rozumiem, też to słyszałem.

Wszyscy to niestety słyszeliśmy. To taki pierwszy obraz Boga, jaki się ma, i to jest właśnie Bozia. Tak, jakby nie można było dziecku po prostu powiedzieć Bóg. Jakby

dziecko było jakieś głupie! Bo jak dziecko ma misia, to musi też mieć taką małą Bożę. Niestety są tacy ludzie, którzy już nigdy z tej Bożi nie wyrastają. Najczęściej jest jednak tak, że ta Bozia przybiera później postać srogiego starca z białą brodą, który patrzy z góry i tylko czeka na twój grzech, żeby ci dowalić. To jest jakaś tragedia, bo w tym wszystkim gdzieś znikł Jezus Chrystus, który jest zbawicielem człowieka.

Jaki w takim razie Bóg jest naprawdę?

Bóg został zasłonięty przez moralizm i teologię, która nikogo nie zbawia. Żeby zostać chrześcijaninem, to najpierw trzeba w swoim życiu chrześcijanina spotkać. Trzeba skosztować soli, zobaczyć zmartwychwstanie na własne oczy. Doświadczyć tego, że śmierć została pokonana i można kochać drugiego. To są konkretne wydarzenia, bo chrześcijaństwo jest wydarzeniem! Bozia nikogo nie zbawia. Zbawia Chrystus, który nie jest ideą! Ale skąd mają ludzie to wiedzieć, jak nikt im o tym nie mówi, bo w rodzinie się o takich sprawach nie rozmawia?

Dlaczego się nie rozmawia?

Bo ludzie nie mają wiary, tylko „religijność naturalną” opartą na strachu. Trzeba koniecznie wypełnić Prawo i, jak mówi wielu księży, „zasłużyć” sobie na niebo – bądź grzeczny, będziesz w niebie. Jesteś niegrzeczny – wylądujesz w piekle. Ja pół życia słyszałem „złą nowinę”, że Bóg mnie skarże, bo byłem niegrzeczny. To już jest bardzo daleko od „historii miłosnej”.

Byłeś niegrzeczny!

Ciągle jestem niegrzeczny, ale co, mam ci teraz opowiedzieć wszystkie swoje grzechy? Bardzo proszę, tylko nie wiem, czy ci to wydrukują.

To co się stało w tej Twojej „historii miłosnej”?

Usłyszałem Dobrą Nowinę! Rozumiesz? Usłyszałem, że Bóg mnie kocha. Kocha grzesznika, kocha złego! Wychowano mnie tak, że złego nikt nie kocha, a na zbawienie trzeba sobie zasłużyć. Czym miałem sobie zasłużyć? Tymi grzechami, które jako nastolatek miałem wypisane na twarzy? Wydawało mi się wtedy, że Kościół jest tylko dla ludzi dobrych i w jakimś sensie wyselekcjonowanych. W rodzinnym domu nie widziałem przykładów życia chrześcijańskiego. Jako nastolatek byłem zbuntowany przeciwko ojcu, →

TOMASZ BUDZYŃSKI (ur. 1962) jest muzykiem rockowym, malarzem i poetą. Współzałożyciel nieistniejącego już punkrockowego zespołu Siekiera. Od 1984 r. wokalista zespołu Armia. W połowie lat 90. razem z innymi nawróconymi muzykami, m.in. Robertem Friedrichem i Dariuszem Malejonkiem, założył zespół 2Tm2,3 grający muzykę rockową z chrześcijańskim przesłaniem. Nazwa zespołu nawiązuje do fragmentu drugiego listu św. Pawła do Tymoteusza: „Bierz udział w trudach i przeciwnościach jako dobry żołnierz Chrystusa Jezusa”. Ma żonę i dwójkę dzieci. Mieszka w Poznaniu.

→ który nie był dla mnie autorytetem. Autorytetami dla mnie stali się w tamtych czasach muzycy rockowi i gwiazdy piłki nożnej. Młodość spędzałem na ulicy w towarzystwie podobnych sobie kolegów – najpierw hipisów, a później punków. W środowisku hipisów była moda na filozofię Wschodu i narkotyki. Zacząłem czytać z ciekawości różne książki i broszury dotyczące buddyzmu, hinduizmu i kultury *new age*. Pod wpływem wschodnich lektur ukształtowała się we mnie specyficzna „duchowość”, która była zlepkiem chrześcijaństwa, buddyzmu i gnozy opartej na Jungowskiej psychologii. Taka, wiesz, osobista, anarchistyczna religia, w której ja decydowałem, co jest dla mnie dobre, a co złe. O wszystkim decydował nastrój.

Opowiadając swoją historię, pozwólujesz się na zdanie z proroka Jeremiasza: „uwiodłeś mnie, Panie, a ja pozwoliłem Ci się uwieść”. Kiedy Pan Bóg zaczął Cię uwodzić?

Wychowywałem się w małym mieście, gdzie nie było zbyt wielu rozrywek. Pozostawało siedzenie z kolegami na murku. Zacząłem wtedy sięgać po alkohol i narkotyki. Razem z kolegami chodziliśmy latem na pola i kradliśmy niedojrzały mak. Potem w lesie koledzy wstrzykiwali sobie wspólną strzykawką mleczko makowe, zawierające opium. Bóg uratował mi wtedy życie, bo pomimo wielu okazji i namawiań ze strony kolegów nigdy nie wstrzyknąłem sobie tego do żyły. To był czas, kiedy lada moment wynaleziono kompot, czyli polską heroinę, i pojawił się AIDS. Koledzy, z którymi siedziałem na tym murku, już nie żyją. Wszyscy zaćpali się na śmierć. A ja żyję. Miałem wtedy może 17 lat, zero zdrowego rozsądku i filozofię życia: „Jestem nieśmiertelny”. I powiedz mi, czemu ja nie grzałem opium? Przecież to nie była moja racjonalna, samodzielna decyzja w stylu: „Wybaczenie, koledzy szanowni, ale nie będę sobie wstrzykiwał tego gówna w żyły”. Jestem na sto procent przekonany, że to była interwencja Boga w moje życie. Ja nie rozumiem tego. I nie pytaj mnie, dlaczego ja, a nie oni. Dlaczego ja mam teraz żonę, rodzinę, a oni nie żyją. Ja tego nie wiem.

Alle nawróciłeś się dopiero, gdy miałeś 30 lat.

To jest sprawa kluczowa: żeby usłyszeć Dobrą Nowinę! Dobra Nowina,

Różnica pomiędzy „nie wódź nas na pokuszenie” a „nie dopuść, byśmy ulegli pokusie” jest ogromna.

Jak Bóg wie
na pokuszenie? Przecież
codziennie robi to demon.

którą usłyszałem na katechezach w małej salce przy jednym z kościołów w Poznaniu, była taka, że Bóg kocha grzesznika! Kocha złego! Złego, czyli mnie! I że to wszystko jest za darmo. Nigdy wcześniej tego nie słyszałem, nikt mi tego nie mówił! To wszystko zmienia, bo skoro jesteś kochany, to sam możesz kochać. Możesz przebaczyć wrogowi. To tak, jakby w ciemności zabłyśło wielkie światło. Ja byłem wychowany w przekonaniu, że chrześcijaństwo jest tylko zmurszą tradycją odziedziczoną po przodkach, jakąś teorią, która w praktyce sprowadza się do moralizmu. Dziś staram się iść drogą, która prowadzi do nawrócenia, bo ja cały czas jestem zdolny do złych rzeczy.

Dlaczego jesteśmy zdolni do złych rzeczy?

Bo taka jest natura człowieka: chce dobrze, a wychodzi źle. Gdy przychodzi jakiś demon i nas kusi, to przedstawia nam zło jako dobro. Tak było z grzechem pierworodnym. Tak był kuszony Chrystus na pustyni. To jest też twoja i moja historia. Kiedy więc staję przed pokusą, to ona mi się jawi jako dobra rzecz, tylko że zakazana przez Prawo. Dlaczego masz tego nie zrobić? Kto ci powiedział, że to jest złe? Książdz?

Mówisz, że szatan kusi. Nie masz więc problemu ze zdaniem z modlitwy „Ojcze nasz”, w której prosimy Boga, żeby „nie wiodł nas na pokuszenie”?

Zawsze miałem z tym zdaniem problem. Co za dziwne sformułowanie... Co ciekawe, w Ewangelii są zupełnie inne słowa! To mi się nie mieści w głowie. Słyszałem, że mój ulubiony papież chce to zmienić.

Franciszek mówi tak: „To ja upadam, a nie On popycha mnie ku pokusie, aby zobaczyć potem, jak upadłem, bo żaden ojciec tak nie postępuje. Ojciec

pomaga, by podnieść się od razu.

Tym, kto wodzi cię na pokuszenie, jest szatan, to jego praca”.

I to jest zdanie, z którym się całkowicie zgadzam. Bo jak to w końcu jest? To Bóg wie mnie do grzechów, za które pójdę do piekła?

Widzisz różnicę między „pokusą” a „próbą”?

Ja jestem prosty człowiek i myślałem, że różnica jest taka, że pokusa prowadzi do zła, a próba zawsze do dobra. Ale Ojcowie Kościoła mówili tak: zabierz pokusy, a nikt nie będzie zbawiony. Człowiek musi jakoś poznać siebie samego, zobaczyć, co tak naprawdę jest w jego sercu. Gdyby zbawienie polegało na zasługach, to Chrystus nikomu nie byłby potrzebny. Ale okazuje się, że nikt tego Prawa nie wypełnia. Największa ciemność jest wtedy, gdy człowiek nie widzi własnego grzechu. Kiedy nie potrzebuje Zbawiciela. Bo po co? Przecież jest „dobry”.

W Ewangelii Matusza, gdy Jezus uczy modlitwy, jest taki fragment: „I nie dopuść, abyśmy ulegli pokusie”.

Różnica pomiędzy „nie wódź nas na pokuszenie” a „nie dopuść, byśmy ulegli pokusie” jest ogromna. Jak Bóg wie na pokuszenie? Przecież codziennie robi to demon. Wystarczy, że otworzysz oczy, a on już zaczyna ci interpretować życie.

A Bóg chce, żebyśmy ulegali pokusie? Nawet jeśli ustaliliśmy, że to nie On wie nas na pokuszenie, to może jednak czasem pozwala na to, żebyśmy tym pokusom ulegali?

Ja myślę, że Pan Bóg pozwala człowiekowi grzeszyć.

Ale dlaczego?

Bo Bóg szanuje człowieka. Rozumiesz to? To jest skandaliczne! Ale tak jest w słynnej przypowieści o synu marnotrawnym, gdzie ojciec pozwolił jednemu z synów opuścić dom i roztrwonić wszystko, co miał. Pozwolił mu na to! Może czasem potrzeba, żebyśmy zobaczyli prawdę o nas, że cierpimy głód z dala od domu ojca i zazdrościmy świniom ich pokarmu? Popatrz, dlaczego mamy jeść to, co świnię? Może opamiętajmy się i wróćmy do domu ojca?

Po co mi to? Ja się boję pokus, bo wiem, że niemal każdej ulegam.

Ale może w ten sposób zobaczę, że jestem taki sam biedaczek jak ten, którego codziennie osądzam, krytykuję jego styl życia, wytykam mu błędy i upadki. Nie mam absolutnie żadnego prawa oceniać twoich grzechów tylko dlatego, że wydaje mi się, iż moje grzechy są trochę lepsze.

Boję się takiego Boga. Jakim prawem On „wystawia mnie na próbę” albo chce mi coś udowodnić, używając do tego tak brutalnych metod?

Tylko że czasem okazuje się, że to, co z początku wydawało się nam złe i brutalne, uratowało nam życie.

Jeśli Pan Bóg chce mi coś udowodnić, pozwalając, żebym ulegał pokusom, to niech nie obrywają przy okazji ludzie, którzy są obok mnie. Wszystkie pokusy, którym ulegam, przy okazji ranią ludzi, z którymi żyję. To nie jest dobry Bóg.

To, co nas spotyka, te wszystkie wydarzenia, upadki i wzloty – są Słowem Boga dla nas. Wiesz, czym jest miecz obojętny? Słowo Boga działa jak miecz obojętny. Jedno ostrze rani i zadaje ból, a drugie uzdrawia.

Nie chcę ani miecza, ani ognia, ani bólu i gniewu, zwłaszcza u tych, których moje grzechy krzywdzą. Czy Pan Bóg nie może przychodzić „w lekkim powiewie”?

„Panie Jezu Chryste,
Synu Boży, zmiłuj się
nade mną, grzesznikiem”.

Pamiętam, że kiedyś się
tak modliłem, jakbym
wisiał nad przepaścią. **Bóg
wysłuchał mojego krzyku.**

Był taki moment w naszym małżeństwie, że powoli zaczęliśmy się nawracać i myśleć o tym, żeby mieć dzieci. Ale to nie jest tak, że od teraz zapanuje „wieczna szczęśliwość”. Przenieśliśmy się do Poznania i Natalia zaszła w ciążę. Zaraz po przeprowadzce zaczęły się poważne problemy z naszym dzieckiem. Coś nie było tak. Często wyjeżdżałem, bo kończyłem właśnie pracę nad filmem. Natalia dzwoniła i mówiła, że wyniki badań są złe. Nasze dziecko umarło. Natalia przeżyła to bardzo ciężko, była zrozpaczona i przez długi czas nie mogła dojść do siebie. Dlaczego Pan Bóg dopuszcza takie rzeczy? Nie wiem.

O tym się nie da spokojnie opowiadać. Ale jestem pewien, że Bóg dał nam tę próbę w doskonałym momencie. To mogła być pokusa – „nie chcę takiego Boga, który zabiera mi dziecko”. Rozumiesz? Dziś możemy dziękować Bogu za to do-

świadczenie. To jest darmowa łaska i nie ma w tym żadnej naszej zasługi.

Co się z Tobą dzieje, gdy stajesz przed pokusą?

Wołam o pomoc. „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem”. Głośno wołam „Ratunku!”. Pamiętam, że kiedyś się tak modliłem, jakbym wisiał nad przepaścią. Bóg wysłuchał mojego krzyku.

Bateś się.

Nikt nie chce ulegać pokusom. Przecież my tak w głębi serca nie chcemy grzeszyć. Kiedy czasem mój egoizm bierze górę i dokuczę mojej żonie, to nasz dom przemienia się w grób rodzinny. Rozumiesz? Ja nie mogę zbyt długo znieść takiej sytuacji, idę i proszę ją o przebaczenie. Ona robi to samo. To się dzieje publicznie, przy dzieciach, one to widzą i słyszą, bo grzech nigdy nie jest indywidualny, ma wymiar, że się tak wyrażę – społeczny, paraliżuje całe otoczenie i wszyscy wtedy cierpią. Ale ta śmierć zostaje zwyciężona. Można doświadczyć zmartwychwstania i wyjścia z tego grobu. To nie są jakieś teorie. Stoimy tak wszyscy we czworo w przedpo-koju i obejmujemy się.

Czyli Bóg wie, że nas na pokuszenie czy nie?

Bóg nas kocha.

© © Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK

Między próbą a pokusą

„TO JA UPADAM, a nie On popycha mnie ku pokusie, aby zobaczyć potem, jak upadłem, bo żaden ojciec tak nie postępuje. Ojciec pomaga, by podnieść się od razu. Tym, kto wodzi cię na pokuszenie, jest szatan, to jego praca” – powiedział pod koniec ubiegłego roku papież Franciszek i dodał, że szósta prośba modlitwy „Ojcze nasz”, która brzmi „i nie wódź nas na pokuszenie”, została źle przetłumaczona. Z tą frazą problem mają nie tylko teologowie i sami wierni. Wątpliwości wysuwają też egzegeci. Bo czy Bóg może chcieć naszego upadku, grzechu i nas do tego prowokować, kusząc do złego?

Francuski Episkopat już wniósł „poprawkę” do szóstej prośby Modlitwy Pańskiej. Od 3 grudnia tamtejsi wierni nie mówią już „Nie poddawaj nas pokusie”, tylko: „Ne nous laisse pas entrer en tentation » („Nie pozwól, abyśmy popadli w pokusę”). W Polskim Episkopacie nie powołano gremium, które miało by obradować nad ewentualną zmianą tej frazy. Dyskusja toczy się poza Episkopatem. Zdaniem ks. Wojciecha Węgrzyniaka, biblisty z Krakowa, który w kościele św. Anny wygłosił wykład na temat „wzrostu na pokuszenie”, zmiana jest niepotrzebna. Na swoim blogu wy-

mienia 10 argumentów przeciwko ewentualnej zmianie tej prośby i podsumowuje: „Nawprawdę, nie poprawiamy Chrystusowych słów, zwłaszcza, że mamy ich niewiele. Można by się ewentualnie zastanowić, czy nie zmienić »pokuszenie« na »próbę« (»nie wystawiaj nas na próbę«), ale ze względu na tradycję nie widzę konieczności. No, chyba że będziemy poprawiać w Biblii wszystko, co nam albo teologii systematycznej nie pasuje. Ale wtedy do poprawki będziemy mieli kilka tysięcy słówek i wyrażań”. Bp Guy de Kerimel, przewodniczący komisji ds. liturgii w Konferencji Biskupów Francji, tłumaczy, że „poprzednia

formuła nie była błędna z punktu widzenia egzegetycznego, ale często była źle rozumiana przez wiernych”. Aby odejść od tej dwuznaczności, tłumacze zaproponowali zastąpienie jej zdaniem „Nie pozwól, abyśmy popadli w pokusę”. Ordynariusz Grenoble wyjaśnił też, że te słowa pochodzące z Ewangelii wg św. Mateusza (6, 13) są bardzo trudne do przetłumaczenia. Egzegeci uważają, że grecki czasownik „εισφέρειν” (eisfero), oznaczający dosłownie „wnosić”, powinien być tłumaczony jako „Nie wprowadzaj nas w pokusę” albo właśnie „Nie pozwól, abyśmy popadli w pokusę”.

© © BS, KAI



Zuzanna Radzik przemawia na konferencji „Why Women Matter” (Dlaczego kobiety są ważne), Rzym, 8 marca 2018 r.

Pilnie potrzebna strategia dla kobiet

ZUZANNA RADZIK Z RZYMU

Głośne pytanie o rolę kobiet w Kościele nie jest tylko obsesją garstki katolickich feministek. To być albo nie być dla całego Kościoła.

KAPŁAŃSTWO, DIAKONAT, WŁADZA – TO tematy, które elektryzują, gdy mówimy o roli kobiet w Kościele. Nie mniej kontrowersji budzą inne zagadnienia: wpływ na kształt duszpasterstwa, posługi liturgiczne, tworzenie i nauczanie teologii. U podstaw tego wszystkiego stoi zasadnicze pytanie: jak dzisiejszy Kościół widzi rolę kobiet, czyli ponad połowy z 1,2 miliarda katolików na świecie? I czy jest w stanie wsłuchać się w ich głos? One same w swojej sprawie powiedziały już wiele. Niestety zabieranie przez kobiety głosu oraz słuchanie go w Kościele wciąż okazuje się głównym problemem, z którym nie możemy sobie poradzić.

Cenzura prewencyjna

Voices of Faith, organizacja, która od pięciu lat organizuje w Międzynarodowym Dniu Kobiet konferencję w Watykanie, głos ma nawet w nazwie. Symbolicznie stara się, by co roku opinie i opowieści kobiet wybrzmiały z serca Watykanu. Konferencja odbywała się w Casina Pio IV, położonej w ogrodach watykańskich rezydencji mieszczącej Papieską Akademię Nauk.

W tym roku pojawiła się jednak przeszkoda. Szef Dykasterii ds. Świeckich, Rodziny i Życia, kard. Kevin Farrell, poprosił o wgląd w listę zaproszonych i usunął z niej trzy nazwiska, odmawiając wyjaśnień. Wobec niemożliwości dialogu or-

ganizatorki postanowiły zaprosić jednak dwie z tych kobiet i przenieść spotkanie. Technicznie wciąż w Watykanie, ale odbyło się w auli kurii generalnej jezuitów. Jak tłumaczyła reporterowi NCR Chantal Götz, założycielka Voices of Faith: „Zależy nam na zapraszaniu głosów reprezentujących perspektywy często niesłyszane w Watykanie. Ostatecznie nie widzimy powodu, dla którego te kobiety miałyby podlegać »procesowi aprobaty« przez kogokolwiek”.

Próba cenzury odbiła się w mediach szerokim echem, bo pochodzący z Irlandii amerykański kardynał chciał ocenzurować udział m.in. Mary McAleese, prezydent Irlandii w latach 1997–2011. Arcybiskup Dublina Diarmuid Martin przyznał, że decyzja nie była z nim konsultowana. McAleese najpierw odmawiała komentarzy, czekając na odpowiedź Franciszka na swój list w tej sprawie. Do dziś się jej nie doczekała. Pytanie nasuwa się samo: kim trzeba być, żeby Watykan nie lekcewał cię i nie próbował uciszyć twojego głosu?

Jednoskrzydły gołąb

McAleese przemawiała w Rzymie nie jako polityk, ale jako katolicka kobieta przejęta sprawami swojego Kościoła. Czego się bali prewencyjni cenzorzy? Owszem, za-

prawiona w boju podczas 14-letniej prezydentury McAleese mówi, co myśli, czasem jak karabin maszynowy, a na konferencji prasowej karmi dziennikarzy mocnymi zdaniem. Jednak za najostrejszymi nawet opiniami kryje się troska. W wykładzie otwierającym konferencję mówiła: „Kobiety tłumnie odchodzą z Kościoła katolickiego, bo te, które mają kluczowy wpływ na formację wiary swoich dzieci, nie mają możliwości, by mieć taki wpływ na formację wiary katolickiej”. I przypominała, że cztery miesiące temu arcybiskup Dublina Diarmuid Martin powiedział, że „niska pozycja kobiety w Kościele jest najważniejszym powodem poczucia alienacji wobec Kościoła we współczesnej Irlandii”. McAleese wzywała papieża do przedstawienia wiarygodnej strategii dla kobiet w Kościele. Strategii z prawdziwego zdarzenia, z celami i wynikami, które będą regularnie i niezależnie oceniane.

Co ciekawe, zagadnięty przez dziennikarzy „Irish Times” abp Martin potwierdził, że zgadza się z diagnozą McAleese: „Jej wyzwanie rzucone wewnątrzkościelnej kulturze było brutalnie surowe. Niektórzy uważają je za nieprzyjemne lub niepożądane. Muszę zaakceptować to wyzwanie z pokorą tego, kto uznaje jej alienację”.

Na otwierającej wydarzenie konferencji prasowej McAleese zwróciła już uwagę, że jest zmęczona rozmową o kapłaństwie kobiet. Argumenty przeciw niemu nazwała nonsensem przebrany za teologię i stwierdziła, że trzeba poczekać, aż same się rozsypią. Jednocześnie odwróciła pytanie: nie możemy być księżmi, nie możemy o tym rozmawiać, to o czym możemy rozmawiać? W jaki sposób zamierzacie włączyć kobiety w podejmowanie decyzji? Gdzie indziej dodawała: „Kościół jest jak gołąb, który niezgrabnie macha jednym skrzydłem, podczas gdy Bóg dał mu dwa”.

Ostatecznie jednak troska była głównym tematem jej wypowiedzi. Troska o Kościół, by nie stał się „wielką i ogromnie nieistotną sektą” skazaną na bycie reliktem przeszłości, podczas gdy mógłby nieść światu miłość i uzdrowienie, których ten świat tak rozpaczliwie potrzebuje.

Pod karą więzienia

Mary McAleese przypuszczalnie okazała się w Watykanie *persona non grata*, gdyż w irlandzkim referendum w 2015 r. wraz z mężem deklarowała głosowanie za legalizowaniem związków osób LGBT. Dzięki temu ich syn Justin niedawno za-

warł związek małżeński. Na taki klucz cenzury wskazuje postać drugiej niechcianej na konferencji.

Ssenfuka Joanita Warry to katolicka działaczka LGBT z Ugandy, kraju w którym homoseksualizm jest karany wieloletnim więzieniem. Próba wyciszenia głosu tej dzielnej kobiety oburza jeszcze bardziej niż sprawa McAleese, kiedy pomyśli się o kontekście, w którym pracuje: w Ugandzie nie tylko akty homoseksualne są penalizowane, więzienie grozi także za wspieranie gejów i lesbijek. „Jestem lesbijką, katoliczką, obrończynią praw człowieka” – zaczęła swoje wystąpienie dyrektor zarządzająca organizacją Freedom and Roam Uganda, która działa na rzecz praw osób LGBT. Jak podkreślała w swoim wystąpieniu: „To, co boli, to postawa, jaką przywódcy religijni zajmują wobec takiej dyskryminacji. Stanie z boku i nierobienie niczego czyni z nich współwinnymi. Wszyscy ci przywódcy religijni poparli prawo delegalizujące homoseksualizm i jedynie odradzali karę śmierci”.

Warry ma gorzkie motto: dobry aktywista to żywy aktywista. W 2009 r. jedna z gazet ujawniła działaczy LGBT nawołując, by ich zabić. Jest jedną z osób, które przeżyły wywołaną publikacją czystkę, ale straciła znajomych, w tym bliskiego przyjaciela. „Prawdopodobnie zastanawiacie się, czemu jestem wciąż wierną katoliczką. Też się zastanawiam. Wierzę, że jest moja odpowiedzialnością, obowiązkiem i zadaniem zmieniać otaczającą mnie mentalność. Wierzę, że to misja dana przez Boga. Gdy zorientowałam się, że tak wielu z nas ucieka z Kościoła katolickiego, założyłam katolicki klub LGBT. Spotykamy się tam na modlitwie, by wychwalać Boga, modlić się razem, wspierać duchowo” – mówiła o swojej *de facto* duszpasterskiej działalności. „Chciałabym robić w Kościele dużo więcej, ale jestem ograniczona przez moją orientację seksualną i płeć, obie stworzone przez Boga. Wierzę, że sprawy mogą wyglądać inaczej, jest wiele ról, które kobiety mogłyby wykonywać w Kościele. Niech nikt nie staje na drodze Ducha Świętego”. A odwołując się do Biblii kierowała pytanie do Kościoła: „Czy mam swoje światło schować pod korcem, gdy Ewangelia wzywa mnie, bym oświecała nim innych?”.

Być sobą

Milczenie, zmuszanie do milczenia, siła, jaką daje zabranie głosu, solidarność, jaką buduje – nie umawiając się, wokół tych

tematów krążyły uczestniczki konferencji „Why Women Matter”. Amerykańska aktywistka i dziennikarka Nicole Sotelo przypominała badania psycholożki Carol Gilligan o tym, że dziewczynki w wieku 10-12 lat zaczynają milczeć, by dopasować się do patriarchalnego paradygmatu. Obserwując dorosłe kobiety, widzą, że one same siebie uciszają w ważnych tematach. Kobiety boją się odezwać i naruszyć relacje, bo mogą wówczas stracić niewielką władzę, jaką mają dzięki tym więzom. Wiele kobiet wybiera milczenie. „Ale dobra wiadomość jest taka – podkreślała Sotelo – że w USA i innych miejscach pojawiły się kościelne ruchy, które zachęcają kobiety i mężczyzn, by opowiadali swoje historie, a przez to dawali innym odwagę”. I podkreślała: „Najważniejsze jest, że młode dziewczyny w naszym Kościele są dziś w stanie zobaczyć nowe modele tego, jak być katolicką kobietą. Nie są zmuszane, by wybierać między pozostaniem w Kościele w milczeniu lub odejściem. Widzą, że mogą zostać w Kościele, być tym, kim są, mówić prawdę i pracować razem na rzecz bardziej kochającego i sprawiedliwego Kościoła, jakiego chciał sam Jezus”.

Jednak to, o czym mówi Nicole Sotelo, możliwe jest pod warunkiem, że wywalczy się w Kościele przestrzeń, w której można dzielić się doświadczeniem i opinią bez cenzury. I gdy są wzorce kobiet, które nie milczą.

Dla mnie samej jest to doświadczenie kluczowe. Potrzebuję świadomości, że gdzieś w świecie – w Londynie, Bombaju, Afryce Południowej czy Buenos Aires – są bliskie mi katolickie feministki, że czule wspierają moje działania, a ja im kibicuję. Nie mniej ważne jest jednak, że możemy się też skrzyknąć w warszawskiej kuchni Kasi i wyżalić, zwierzyć, policzyć i poczuć, że nie jesteśmy same.

Zakonnice są wściekłe

Marzec sprzyja przypomnianiu spraw kobiet. Z tej okazji skorzystał kobieciec dodatek do „L'Osservatore Romano” poświęcając numer niemal darmowej pracy zakonnic w instytucjach. Anonimowe siostry z różnych części świata przyznawały w nim, że czują się wykorzystywane. Ich praca odbywa się często bez wynagrodzenia lub za minimalną zapłatę, bez umowy i ubezpieczenia. Z kolei redaktor naczelna „Donne-Chiesa Mondo”, Lucetta Scaraffia mówiła w wywiadzie dla „CruX”: „Teraz jest to mocniejsze i bardziej oczywiste, bo

→ siostry przestają być pasywne – są bardziej świadome tego, co się dzieje, i chcą zmiany”. Zaznaczała, że to wewnętrzna rewolucja kulturowa, feminizm widzi właśnie wśród sióstr zakonnych, i że nie mówimy tylko o młodszych zakonnicach i innej formacji oraz oczekiwaniach wobec życia. „Spotkałam 80-, 90-letnie zakonnice, które są wściekle”.

Na rodzimym podwórku wywiadu w podobnym duchu udzieliła Radiu Plus s. Jolanta Olech, sekretarka generalna Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych w Polsce. Warto jej posłuchać, bo to rzadka okazja, gdy polska zakonnica dzieli się bolączkami polskich sióstr. Jedną z bulwersujących informacji jest, że od końca lat 90. siostry nie doprosiły się uregulowania kwestii umów dla zakonnic pracujących w kościelnych instytucjach. Prace trwają i ponoć zmierzają ku końcowi, ale jak to możliwe, że zajęło to 20 lat? Czyżby sprawa była lekceważona?

Dwa dni później biuro prasowe Episkopatu rozesłało jednak inny wywiad z s. Joanną Olech w zgoła odmiennym duchu. Można by pomyśleć, że jest super: zakonnice wykonują ważne społecznie zadania, są menadżerkami, wykładowczyniami, prowadzą 400 stron internetowych. Cały tekst podkreśla doniosłość ich pracy, której zresztą nikt nie kwestionuje. Jednak bliskość obu wypowiedzi każe zapytać, czy tekst rozesłany przez Episkopat nie miał przesłonić wywiadu, w którym słowa zakonnic rzucają wyzwanie polskim hierarchom? Znow, czy tak trudno posłuchać autentycznych słów kobiet i wziąć je sobie do serca, nawet gdy brzmią gorzko?

Zakony żeńskie od lat 60. były wsparciem dla ruchu kobiet w Kościele. Amerykańskie zakonnice doprowadziło to kilka lat temu do konfliktu z Watykanem. Przełożone zakonów żeńskich zadawały dwa lata temu na spotkaniu z papieżem trudne pytania, również o sprawiedliwe wynagrodzenia. Kobiet w życiu zakonnym jest na świecie więcej niż wszystkich zakonników i księży. Czym byłby Kościół bez ich pracy i posług? Czym byłby w Polsce? Powinny być słyszane. Ale żeby były słyszane, tak jak s. Olech czy siostra Małgorzata Borkowska w wydanej ostatnio książce „Oślica Balaama. Apel do duchownych panów”, muszą same zacząć mówić.

Kardynał na wystawie mody

Rola kobiet w Kościele to nie tylko obsesja garstki katolickich feministek. To *de facto* być lub nie być dla całego Kościoła. Stąd tak ważne jest, by nie zostawiać nas samych w rozmowie na ten temat – nie chcemy mówić same do siebie. Na watykańskim spotkaniu Voices of Faith nie pojawił się żaden biskup. Odpowiedzialny za kulturę kard. Gianfranco Ravasi znalazł ostatnio nawet czas na odwiedzenie wystawy mody w Nowym Jorku. Nie znalazł go dla nas. Nikt z tych, którzy potem ochoczo będą się wypowiadać o tym, kim kobiety są i co mogą, a co nie. „Jan Paweł II pisał o tajemnicy kobiety – mówiła Mary McAleese podczas konferencji. – Rozmawiajcie z nami jak z równymi, a przestaniemy być dla was tajemnicą!”.

W podobnym duchu Lucetta Scaraffia mówi w wywiadzie z „Crux” o dwóch akcjach papieża, które coś faktycznie zmieniły: podniesienie rangi wspomnienia

Marii Magdaleny do takiej, jaką mają dni wspominające innych apostołów, oraz umożliwienie każdemu kapłanowi odpuszczenia grzechu aborcji. „Reszta to słowa – puentowała gorzko. – To, czego naprawdę brakuje i czego papież jeszcze nie zaczął, to słuchanie kobiet i tego, co mają do powiedzenia”.

A jednak są tacy księża, którzy rozumieją wagę problemu. W końcu jezuita gościli nas w swojej auli i byli współorganizatorami, co udowodniły ciepłe słowa ks. Thomasa Smolicha, szefa Jesuit Refugee Service. Inny jezuita, ks. Luke Hansen, jako uczestnik konferencji mówił, jakim darem w jego drodze kapłaństwa były kobiety, z którymi studiował. Upominał się także o diakonat kobiet, przypominając, że wyniki pracy komisji oczekują na publikację. Głosu solidarnego z kobietami, jak słowa ks. Hansena, bardzo potrzeba. Również w Polsce.

Dla mnie samej wielkim wzruszeniem była wiadomość od przyjaciela, duszpasterza w jednym z europejskich miast: „Dziś z zakonnicami, u których odprawiam mszę, modliliśmy się za Was i powódzenie Waszej konferencji”. Bo przecież jest to sprawa całego Kościoła.

Czas na zmianę

Zmieniająca się rola kobiet to znak czasów, być może największa rewolucja, którą przechodzimy. Na Soborze Watykańskim II deklarowaliśmy jako Kościół, że będziemy te znaki czasów czytać. Czy je widzimy? „Milczące samozadowolenie się kończy, a księża nawet o tym nie wiedzą – powiedziała Scaraffia. – Nie wiedzą, że zaraz wszystko wybuchnie w ich rękach”.

Prawdziwe słuchanie będzie trudniejsze niż zatrudnienie tej czy innej kobiety w watykańskiej dykasterii. Feminizm katolicki dopomina się o głos od co najmniej 50 lat. To ruch globalny, na wszystkich kontynentach i we wszystkich kontekstach, w których pracuje Kościół. Już nie wymieniamy pisanych na maszynie listów, lecz korzystając z nowych narzędzi tworzymy grupy w mediach społecznościowych, które zrzeszają kobiety z całego świata, a rzymską konferencję można było obejrzeć przez internet w tłumaczeniu na cztery języki. To globalna siostrzana wspólnota katoliczek. Polifoniczna, różnorodna, ale zgodna z tym, że chcemy móc więcej dać naszemu Kościołowi. Czas na zmianę jest właśnie teraz.

© ZUZANNA RADZIK

8 marca 2018 roku umarła

ś.†P.

Jola Kłodecka

osoba wielkiej wiary i wielkiego serca.

Pielęgniarka, która całe swoje życie poświęciła chorym i umierającym. Była w gronie pomysłodawców Domowego Hospicjum Onkologicznego na Ursynowie w Warszawie i pracowała w nim od początku jego powstania aż do ostatnich dni swojego życia.

Kochaliśmy Ją.

SYN Z RODZINĄ ORAZ PRZYJACIELE Z DUNIKOWSKIEGO

Post od czterech kółek

DOROTA BIDZIŃSKA

Niektórzy niemieccy katolicy i ewangelicy w Wielkim Poście z własnych samochodów przesiadają się do publicznych środków transportu. Czy Polaków stać na podobny gest?

BARBARA SCHATZ z TREWIRU UWIELBIA jeździć samochodem. Auto to dla niej synonim wolności, swobody poruszania się, jak chce i kiedy chce. Na dłuższej trasie może się odprężyć i porozmyślać o ważnych sprawach. Podróż autobusem lub pociągiem to w jej odczuciu przeciwieństwo tego komfortu. Mimo to w tym roku po raz kolejny zamieniła samochód na bilet komunikacji publicznej.

– Podróż innymi środkami lokomocji niż auto to moja świadoma i czysto racjonalna decyzja. Wynika z wiedzy o szkodliwości dla środowiska i poczucia odpowiedzialności – wyjaśnia.

Barbara to jedna z uczestniczek akcji „Autofasten”, czyli postu od samochodu, organizowanej wspólnie przez katolickie diecezje Trewiru, Moguncji, Fuldy, archidiecezje Kolonii i Luksemburga, radę diecezjalną w Akwizgranie oraz wspólnoty ewangelickie z Nadrenii i Hesji-Nassau. To już 21. edycja akcji. Co roku przedstawiciele tych Kościołów zachęcają wiernych, by na czas Wielkiego Postu ograniczyli lub całkowicie zrezygnowali z jazdy samochodem, przesiadali się na rowery lub wybrali transport publiczny. Akcję wspierają regionalne przedsiębiorstwa komunikacyjne, które przyznają pulę darmowych biletów do dyspozycji uczestników i wprowadzają obniżki na przejazdy.

– To, ile miejsca architekt przeznaczy na poszczególne pokoje, jak wysoko znajduje się sufit, jakie farby i tapety wybierzemy do pomieszczeń – to wszystko wpływa na to, jak czujemy się w naszym mieszkaniu. Zamknięci i ograniczeni lub wolni i swobodni. Tak samo jest w domu Boga – napisał pastor Klaus Nagorni w kazaniu na temat „Autofasten” udostępnionym na stronie internetowej akcji. – On daje przestrzeń do życia tak samo małym stworzeniom, jak i dużym. Zaproszeni są do niego wszyscy. Domaga się On od mieszkańców tylko jednego: że będą dbali o przestrzeń dla innych.

Według pastora post od jazdy samochodem jest jednym z małych kroków pozwalającym respektować to Boże prawo.

– Kto jest szybszy, ten ma rację. Kto jest mocniej zmotoryzowany, ten ma więcej racji – opisuje panujące na drogach nastroje. Po czym dodaje, że szybkie i ciężkie samochody coraz częściej są zagrożeniem dla mniej uprzywilejowanych użytkowników dróg, jak rowerzyści i piesi, dla mieszkańców w okolicy zwierząt, a gęsta sieć autostrad niszczy naturalny krajobraz.

Według raportu Europejskiej Agencji Środowiska „Sygnały 2016. W kierunku czystej i inteligentnej mobilności” transport jest jednym z głównych i bardziej problematycznych czynników wpływających na zanieczyszczenie środowiska w Europie. To jedyny sektor gospodarki, w którym emisja gazów cieplarnianych nie maleje, a stale rośnie. Transport ma największy udział w emisji szkodliwych dla zdrowia i środowiska tlenków azotu. Jest on też największym źródłem, lekceważonego czasem, zagrożenia środowiska hałasem, który nie tylko wywołuje dyskomfort, ale znacząco wpływa na stan zdrowia mieszkańców.

Choć w Europie podejmowane są próby ograniczenia szkodliwego wpływu samochodów przez wprowadzanie surowych norm emisji spalin i rozwój niskoemisyjnych technologii, to, jak przekonuje Hans Bruyninckx, dyrektor wykonawczy Europejskiej Agencji Środowiska, nie wystarczy, by przełamać

uzależnienie sektora od paliw kopalnych i zneutralizować jego wpływ na środowisko. Konieczna jest zmiana zwyczajów konsumenckich, w tym także ograniczenie transportu samochodami osobowymi na rzecz alternatywnych środków lokomocji: rowerów lub komunikacji publicznej.

– Zanieczyszczenie środowiska wywołuje trwałe szkody. Kiedyś moje wnuki zapytają mnie, co zrobiłam, żeby temu przeciwdziałać – wyjaśnia swoje motywacje Monique Ruppert z Luksemburga, która zdecydowała się podjąć post od samochodu.

Problem przeciążenia transportem samochodowym nie dotyczy wyłącznie Niemiec. Wystarczy tylko przyrzeć się polskim drogom, w godzinach wyjazdu i powrotu z pracy, parkingom przy galeriach handlowych lub przy kościołach w porze niedzielnych mszy świętych.

Według danych ze specjalnego raportu Eurobarometru, dotyczącego podejścia Europejczyków do ruchu w mieście, codziennie z samochodu korzysta 54 proc. Niemców i 39 proc. Polaków. Czy polscy kierowcy byłiby skłonni zostawić samochody w garażach i na parkingach na 40 dni? I czy byłoby gotowi zrobić to z pobudek religijnych?

Tak naprawdę to pytania o to, jak wybrzmiały w naszym kraju słowa papieża Franciszka z encykliki „*Laudato si*” o „nawróceniu ekologicznym”, które „pociąga za sobą wdzięczność i bezinteresowność, to znaczy uznanie, że świat jest darem otrzymanym z miłości Ojca. Następnym tego są gotowość do bezinteresownego wyrzeczenia oraz wielkoduszne gesty, nawet jeśli nikt ich nie widzi i nie docenia”. Takim gestem mogłoby być na przykład odłożenie kluczyków do auta i sięgnięcie po bilet tramwajowy.

Więc kto wie? Może za rok?

©

Dziękuję Fundacji im. Heinricha Bölla za zorganizowanie spotkania z przedstawicielami archidiecezji Kolonii, współuczestnikami akcji „Autofasten”.

Sąd Rejonowy w Słubicach, w sprawie o sygn. akt I Ns 79/17, o stwierdzenie nabycia spadku po Władysławie Jerzmanowskim, zm. 20 maja 2014 r. w Gorzowie Wielkopolskim, ostatnio stale zamieszkałym w Kostrzynie nad Odrą – wyzywa, aby spadkobiercy zmarłego w ciągu 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili i udowodnili w Sądzie Rejonowym w Słubicach nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominęci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



Fra Angelico, fragment „Scen z życia Ojców Pustyni”, Galeria Uffizi, Florencja

nie (jego imię oznacza po prostu dobrego człowieka). Starał się wypełniać wszystkie przykazania (w języku Ojców oznacza to przede wszystkim wierność przykazaniu miłości), pracował, gościnnie przyjmował braci. Czyli zwykłe ludzkie życie... W sumie nie trzeba być mnichem, aby poczuć solidarność z dobrym abbat Agatonem.

Niemniej nadchodzi kres życia, czas ostatecznego rozliczenia. Trzy dni agonii mnicha to oczywiście aluzja do trzech dni Chrystusa w grobie, czas oczekiwania na zmartwychwstanie, czas Bożego sądu. Czy Agaton się boi? Zwróćmy uwagę, że tak sądzią jego uczniowie, on jest o wiele bardziej powściągliwy: nie odpowiada ani tak, ani nie, mówi raczej o tajemnicy Boga, odwołuje się do historii wybrania króla spośród synów Jessego – nikt tak naprawdę nie wie, kim jest Bóg... A gdy uczniowie nalegają, ucina dyskusję krótkim: „nie mam czasu”. On już go nie ma, już stoi na sądzie Bożym. Pamiętajmy, że grecki rzeczownik, który tłumaczymy jako „sąd” (*krisis*), może także oznaczać „podział”. Sąd Boży to chyba czas ostatecznego oddzielenia dobra od zła, moment rozszczępienia tego, co splątane, chwila prawdy o tym, kim w istocie rzeczy jesteśmy.

Czy ten sąd jest czymś, co abbat Agatona przeraza? Raczej wprowadza go w stan głębokiego skupienia, prawdziwej modlitwy, która ze swej natury jest przebywaniem z Bogiem w głębiej z Nim zażyłości. Oto nadszedł czas sądu, kruszenia ostatnich murów, które oddzielają go od Boga, moment wejścia do królestwa Bożego, gdzie są ci, którzy na nas czekają. W takim momencie czas traci jakiegokolwiek znaczenie.

Na koniec osobiste wspomnienie.

Kiedy prawie 20 lat temu wstąpiłem do Tyńca, zauważyłem, że jeden ze starszych współbraci modli się co wieczór po Kompletie przed ołtarzem św. Benedykta. Na pytanie, o co się tak wytrwale modli, zapytał: – Ile masz lat?

– Osiemnaście.

Machnął ręką i powiedział: – To nic nie zrozumiesz. No, może jak skończysz 30 lat, to coś do ciebie dotrze. Ja co wieczór się modlę o dobrą śmierć.

No właśnie, czy modlimy się o dobrą śmierć, czy prosimy Boga o dobre dla nas zmartwychwstanie? ©

O. SZYMON HIŻYCKI (ur. 1980) jest opatem klasztoru benedyktynów w Tyńcu, patrologiem i badaczem początków monastycyzmu.

Pomyśleć śmierć

SZYMON HIŻYCKI OSB

Czy mnisi i święci z początków Kościoła mogą czegoś nas nauczyć? Przeglądaliśmy się im w Wielkim Poście. Na koniec spotkanie z dobrym człowiekiem – abbat Agatonem.

Abba Beniamin przed śmiercią powiedział swoim synom: „To wypełnijcie, a będziecie mogli się zbawić: radujcie się zawsze, módlcie się bezustannie i za wszystko składajcie dzięki”.

Z APOFTEGMATÓW OJCÓW PUSTYNI

KIEDYŚ W ROZWAŻANIACH REKOLEKCYJNYCH ważnym elementem była medytacja na temat śmierci. Zbliżamy się do Niedzieli Zmartwychwstania, temat ostatniego spotkania narzuca się sam. Stajemy przed bramą, wcześniej czy później, wąską i ciasną. Jak przez nią przejść? Jak myśleć o śmierci?

„Opowiadano o abba Agatonie, że starał się wypełniać wszystkie przykazania. Kiedy jechał promem, pierwszy chwycił za wiosło; a kiedy odwiedzali go bracia, od razu po modlitwie brał się do zastawiania dla nich stołu, był bowiem pełen miłości Bożej. Kiedy już umierał, przez trzy dni leżał z oczami otwartymi, wpatrzonymi w jeden punkt; a bracia budzili go i mówili: »Abba Agatonie, gdzie jesteś?«. Od-

powiedział: »Stoję przed sądem Bożym«. Mówią mu: »To i ty boisz się, ojcze?«. On na to: »Wprawdzie robiłem, co mogłem, żeby zachować przykazania Boże, ale jestem człowiekiem: skąd mogę wiedzieć, czy mój trud podobał się Bogu?«. Mówią mu bracia: »A to nie ufasz swoim czynom, że były w Bogu dokonane?«. Odrzekł im starzec: »Nie będę miał pewności, dopóki nie spotkam Boga: bo inny jest sąd Boży, a inny ludzki«. A kiedy chcieli pytać go dalej, powiedział: »Zróbcie mi łaskę i więcej ze mną nie mówcie, bo nie mam czasu«. I umarł spokojnie, a widzieli go tak odchodzącego, jak ktoś, kto się wita z przyjaciółmi i najbliższymi. Odnaczał się on wielką czunością i mawiał: »Bez wielkiej czułości nie dojdzie człowiek do żadnej cnoty«.

Kiedy Ojcowie Pustyni mówią o śmierci, nie potrząsają trupią czaszką, nie zgrzytają łańcuchami; dla nich śmierć jest po prostu ostatnim zadaniem, czymś, na co człowiek szykuje się przez całe życie. Jak na egzamin. Tak też czytamy o abbie Agato-

SZYMON

Hołownia: O przyjmowaniu



RZECZ NIBY OCZYWISTA, ALE POWTARZANIE oczywistości pomaga porządkować rozbagłaniany świat. Znajomy ksiądz streszczał mi ostatnio debatę nad adhortacją „*Amoris laetitia*”. Bronił tezy, że podczas

gdy Franciszek zastanawia się w niej co parę akapitów, jak by tu na nowo włączyć do Bożego stada jak najwięcej pogubionych owiec, jego krytycy wydają się mieć w sercach odwrotną troskę: jak wyłączyć, utrzymać na dystans od ich świętej, czystej wspólnoty, kogo tylko się da.

„Włączanie” – ten termin wraca jak refren w publikacjach z okazji piątego roku Franciszkowego pontyfikatu. Emocjonalnie zawsze byłem „za”. Fajniej i bardziej ludzko jest, gdy się kogoś gdzieś przyjmuje, niż wyprasza. Powoli jednak do mnie dociera, że mówiąc o owym „włączaniu” rozmawiamy nie o kreowaniu sympatycznej atmosfery, lecz o samej istocie chrześcijańskiej wiary.

Po latach zwiedzania rosyjskich, greckich i polskich sklepów z ikonami niedawno po raz pierwszy trafiłem na przedstawienie Symeona przyjmującego w jerozolimskiej świątyni dziecko ubogiej galilejskiej rodziny. Pismo mówi, że ten człowiek przez całe życie wyczekiwał przyjścia Mesjasza, a gdy Józef z Marią i Jezusem pojawili się w świętym mieście, uznał, że sens jego życia się wypełnił, że spotkało go to, co nas spotka na końcu czasów (jego też zresztą spotka wtedy ponownie): tęsknota separacji roztopi się w euforii bycia przyjętym. Bo przecież w tej scenie nie tylko Symeon przyjmuje Jezusa, to Jezus – niemowlę i Bóg – przyjmuje swoje dziecko, Symeona.

Skąd bierze się największy z możliwych do wyobrażenia grzech, bogobójstwo? Stąd, że Słowo „Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli”. Gdyby Maria nie przyjęła anioła, a Józef – swojej żony i Syna, nadal pewnie wierzylibyśmy w Lelum i Polelum. Powołanie apostołów, nawrócenie Zacheusza, ustanowienie Eucharystii – to przecież ta sama historia: przyjmowanie kogoś do swojego życia i misji, do domu, do stołu i wspólnoty tak bliskiej, że staje się współuczestniczeniem w czymś ciele. Jasne, pilnowanie czystości doktryny jest ważne, doskonalenie nowych technik ewangelizacyjnych jest ważne, ale samym sednem, sercem, początkiem i końcem naszego życia (i wiary) jest to, że zostaliśmy i zostaniemy przyjęci. Nie mogę oderwać wzroku od tej ikony, bo na niej jest wszystko, czego brakuje mi do szczęścia, czego brakuje światu do tego, by znów – zgodnie z pomysłem Stwórcy – stał się bezpiecznym domem, a nie ubojnią ludzi, w której co minutę 21 dzieci poniżej piątego roku życia ginie z powodów, które dziś spokojnie można byłoby ogarnąć (malaria, dostęp do wody i żywności, brak higieny i powikłania w postaci zakażeń bakteryjnych, które można leczyc antybiotykami etc.).

Parę tygodni temu miałem wykład w moim rodzinnym Białymstoku, sto metrów od kościoła św. Rocha, w którym przed ponad trzema dekadami przyjąłem po raz pierwszy komunię św. Nie byłem w tym kościele ładnych parę lat, zajrzałem na sekundę. Nie jestem mistykiem, kontynenty dzielą mnie od ekstaz rzeźbionych dłutem Berniniego, ale teraz przeżyłem w tej świątyni wszystko, czego nie byłem w stanie pojąć wówczas, będąc pacholciem. Z tamtych dni pamiętałem głównie ćwiczebne spowiedzi (przyklęknięcie przy konfesjonale i wyznawanie grzechów „na sucho”, by ksiądz mógł sprawdzić u dziecka znajomość niezbędnych do kontaktowania się z Ojcem procedur), czytanie z Księgi Tobiasza i lęk, jak przejdą mi przez gardło słowa o jaskółczym gnoju, który spadł na oczy bohatera. Oraz – *last but not least* – wezwanie pocziwego księdza, by pieniądze, które podarują nam z tej okazji rodzice, przeznaczyć „na mleczko dla Murzynków” (dałem wtedy „Murzynkom” cały swój dziecienny majątek, ówczesne 500 zł). Tym razem nie było garniturków, recytacji i ceremonialnego rozgardiaszu, spłynęła na mnie jednak nagle tak nieprawdopodobna radość, jakby całe niebo chciało dać mi do zrozumienia, że wszyscy tam naprawdę, bez transcendentnej ściemy, czekali na ów dzień z utęsknieniem. Że odtąd – już w pełnej komunii z Kościołem – czekam tylko na to, aż On, który jest źródłem tej wspólnoty, wypełni do końca swoją obietnicę. Jakiej trzeba było ślepoty, by przez 30 lat kontemplując różne wymiary Eucharystii, nie dostrzegać jednego: pewności, że ktoś czeka na mnie w domu. Że ile bym z tego świata nie zeżarł – i tak do samej śmierci, do zmartwychwstania nie będę robił nic innego, jak tylko czekał na posiłek.

Każdy sakrament jest o przyjmowaniu. W ceremonii chrztu słyszymy: „Wspólnota przyjmuje cię z wielką radością”. W Eucharystii zostajesz przyjęty do komunii nieziemskiego stołu. W bierzmowaniu przyjmujesz dary Ducha, a On przyjmuje cię za swojaka. W namaszczeniu chorych Bóg bierze na siebie twoje jarzmo, a ty przyjmujesz Jego pocieszającą siłę. Małżeństwo to przyjęcie się nawzajem i przyjęcie owej nowej sumy części przez Boga. Kapłaństwo to przyjęcie ludzkiej słabości i wyposażenie jej przez Kościół w moc z wysoka opartą na wielkim zaufaniu. W każdym z sakramentów widać mechanikę Trójcy, w której Ojciec przyjmuje Syna, Syn Ojca, a obaj robią to w przyjmującym z kolei nas Duchu.

O nic innego nie chodzi w Betlejem i na Golgocie: my, ludzie, zajęci religią, polityką, biznesem, wykluczaliśmy Go z naszej społeczności, ale On szczęśliwie nas przyjął. To jest nie tylko przykład, ale i dług. Jak w przypowieści o słudze, któremu darowano dług wprost niewyobrażalny, ale on uznał za stosowne wycisnąć parę groszy, które był mu winien ktoś inny. Mając takiego Mesjasza, takiego Boga, wiedząc o tym wszystkim, co wydarzyło się dwa tysiące lat temu (i co za chwilę na rezurekcjach i przy sutych stołach będziemy świętować), powinniśmy nie spać po nocach, szukając sposobów na włączenie – koniecznie dziś – choćby jednego człowieka do wspólnoty tych, którzy mają na chleb, którzy mają prawo do nadziei, którzy mają prawo być razem z nami na ziemi, w Kościele. Którzy mają prawo, byśmy nie stawiali na ich drodze szlabanów, gdy idą doświadczyć Bożego prawa i sprawiedliwości. Czyli miłości i miłosierdzia. ©



Port przeładunkowy w Bostonie, USA, listopad 2016 r.

ROZCHWIANY PORZĄDEK

Decyzja Trumpa o cłach na import do USA stali i aluminium
nie oznacza wojny handlowej ze światem.
Ale pokazuje, że wolny handel – jeden z filarów liberalnego ładu globalnego
– jest tak samo zagrożony jak jego polityczny fundament.

OLAF OSICA



ISTOCK GETTY IMAGES

NA DOBRĄ SPRAWĘ TRUDNO TRAKTOWAĆ wolny handel i instytucje stojące na jego straży oddzielnie od systemu sojuszy i instytucji, które gwarantują bezpieczeństwo Zachodu. Światowa Organizacja Handlu (WTO) jest – obok Międzynarodowego Funduszu Walutowego – drugą stroną monety, której awerssem jest system Narodów Zjednoczonych. A w skali regionalnej – NATO, Unia Europejska czy amerykańskie sojusze polityczno-wojskowe w regionie Azji i Pacyfiku.

Mimo sieci powiązań, wykraczających poza sferę politycznego Zachodu, wszystkie te instytucje są (choć w różnym stopniu) produktem liberalnej wizji świata, czyli wizji opartej na prawie i współpracy. Jej praktyczna realizacja nie by-

łaby możliwa bez globalnej amerykańskiej potęgi po roku 1945, która wraz z końcem zimnej wojny w latach 1989-91 przerodziła się w dominację USA. Paradoxem dzisiejszej sytuacji jest więc amerykańskie wezwanie do zmiany reguł, których bronią obecnie Chiny. Oczywiście werbalnie, bo praktyka Pekinu wygląda inaczej.

Jak to się stało, że kryzys świata Zachodu, który odciska swe piętno na polityce w Europie i Stanach Zjednoczonych oraz na stosunkach euroatlantyckich, ominął do tej pory kwestie otwartych granic dla towarów i usług? Odpowiedź jest prosta: wcale nie ominął, lecz do czasu wyborów w 2016 r. w USA żaden ze światowych liderów nie włączył go do listy „spraw do załatwienia” – jak uczynił to Donald Trump. A słowa znaczą niekiedy więcej niż czyny.

Oblicza protekcjonizmu

Protekcjonizm nie tylko nigdy nie umarł, on zawsze był i jest nieodłącznym kompanem równoległego procesu znoszenia barier w handlu. I nie ma w tym żadnej sprzeczności.

Według sprawozdań Światowej Organizacji Handlu, która monitoruje przestrzeganie reguł handlu globalnego przez swoich członków, w okresie od połowy października 2016 do połowy października 2017 r. państwa zastosowały 108 nowych środków ograniczających handel, w tym nowe lub podwyższone taryfy celne, zmiany procedur celnych, ograniczenia ilościowe i środki dotyczące tzw. zawartości lokalnej (tj. procentowego udziału produkcji lokalnej w finalnym produkcie). Miesięcznie wprowadzano więc średnio dziewięć przepisów, których efektem był utrudniony dostęp do rynku – w porównaniu z 15 takimi działaniami podejmowanymi co miesiąc w poprzednim okresie (lata 2015-16).

Jednocześnie członkowie WTO wdrożyli 128 środków mających na celu ułatwienie handlu – w tym zniesienie lub obniżenie ceł oraz uproszczenie procedur celnych. Przy prawie 111 środkach miesięcznie mających ułatwić handel pozostaje to znacznie poniżej średniej miesięcznej, odnotowanej w poprzednim rocznym sprawozdaniu przeglądowym – było to wówczas 18 przepisów na miesiąc.

Co wynika z tej statystyki? W konkluzji raport Światowej Organizacji Handlu stwierdza: „Członkowie WTO nadal sto-

sują więcej środków ułatwiających handel niż środków ograniczających handel, co jest tendencją zaobserwowaną w ciągu ostatnich czterech lat”.

Choć poparty liczbami, optymizm nie powinien jednak uspokajać. Po pierwsze, wiele barier ma charakter ukryty i tym samym są one trudne do uchwycenia. Często przeszkodami wcale nie są wysokie cła albo kontyngenty (tj. odgórne limity towarów, które można w ciągu roku sprowadzić na jakiś rynek), lecz tzw. bariery pozataryfowe. To np. różnego rodzaju normy techniczne, które powodują, że prawie niemożliwe staje się otrzymanie zezwolenia na wprowadzenie towarów do jakiegokolwiek kraju. Rynek niemiecki, japoński czy amerykański są tu dobrymi przykładami. To samo dotyczy norm fitosanitarnych dla produktów rolno-spożywczych, które np. Rosja stosuje dla politycznego ukarania „wrogich” państw. Wśród tych karanych krajów czołowe miejsce tradycyjnie zajmowała Polska i Litwa.

Renesans tożsamości

Jest też drugi powód, dla którego statystyki nie powinny uspokajać. Żyjemy dziś w czasach renesansu narodowych tożsamości. Jednym z przejawów tego procesu jest patriotyzm gospodarczy, którego praktycznym przejawem jest hasło „kupuj swoje”.

Jego pojawienie się w państwach zajmujących marginalne pozycje na mapie światowego handlu, które do tej pory więcej importowały niż eksportowały, jest poniekąd zrozumiałe. Wynika nie tylko z potrzeby zaakcentowania własnej suwerenności, lecz jest również oznaką zdrowego rozsądku. Jeśli państwo więcej kupuje za granicą, niż sprzedaje innym, to środki na zakupy muszą być pozyskane w inny sposób – poprzez napływ inwestycji zagranicznych lub pożyczki w instytucjach finansowych. Na długofalową nierównowagę w tym względzie stać tylko nielicznych i potężnych, którzy – tak jak w USA – „wyeksportowali” swój dług na zewnątrz pod postacią globalnej waluty, która jest *de facto* amerykańskim produktem inwestycyjnym.

W większości państw problem polega na tym, że brak własnej produkcji i ubogi rynek są wynikiem bardziej lokalnych warunków: korupcji, braku wykształconej kadry lub po prostu niewydolnych instytucji państwowych, a nie „spisku” krajów zamożnych.

Puść sąsiada z torbami

→ Poważne problemy zaczynają się, gdy hasło „kupuj swoje” pojawia się w państwach (lub organizmach ponadpaństwowych) pełniących rolę globalnych punktów odniesienia – takich jak USA, Chiny czy Unia Europejska (która sama w sobie jest mocno podzielona także w sprawach dystrybucji korzyści płynących z jednolitego rynku). System światowego handlu jest bowiem jak naczynia połączone: zmiana w jednym miejscu powoduje przepływy w innych, a ich skalę i konsekwencje trudno przewidzieć.

Niedawna decyzja Donalda Trumpa o wprowadzeniu zaporowych cel na import wyrobów stalowych i aluminiowych do USA uderzy więc nie tylko w tych producentów, dla których rynek amerykański jest ważny – jak Niemcy, które eksportują np. rury dla amerykańskiego przemysłu naftowego. Jej skutki odczują wszyscy inni z branży, gdyż na rynku globalnym pojawi się nadmiar produktów, które producenci pozbawieni dostępu do rynku amerykańskiego będą chcieli umieścić w innych rynkach, aby uniknąć strat.

Irak, Afganistan i inne spory geopolityczne w świecie zachodnim nie przekładały się na miejsca pracy w Polsce. **Ten spór ma taki potencjał.**

ko rozlania się politycznych emocji jest duże. A jak uczy nas historia, wojny – również te celne – nie są wydarzeniami pojawiającymi się z nagle, lecz procesami, które narastają przez lata. Ich „zobaczenie” jest trudne dla współczesnych im obserwatorów, za to dla przyszłych pokoleń są (ponieważ) oczywistymi świadectwami ludzkiej głupoty.

Hasło nośne, ale...

Decyzja Trumpa jest zatem ryzykowna, ale – z dzisiejszego punktu widzenia – nie pozbawiona pewnych racji. Rzeczywiście, kryzys bankowo-finansowy, który zaczął się w 2008 r., pokazał dobitnie, że gospo-

amerykańskiej infrastruktury drogowej czy amerykańskich aut, które już dawno przegrały wyścig najpierw z Japonią, a następnie Niemcami.

Ilekrót piszący te słowa miał okazję podróżować między lotniskiem Dulles a Waszyngtonie a centrum stolicy USA, nie mógł wyjść z podziwu nad ślimaczącą się od dekady budową linii kolejowej. Przypominało to późny PRL. W efekcie jedynym dostępnym środkiem komunikacji były busy i taksówki, stojące w korkach na wiecznie remontowanej autostradzie.

Chiny to nie Unia

Drugie pytanie wiąże się z pomysłem wrzucania do jednego worka Chin i Unii Europejskiej. O ile rynek chiński jest dziś symbolem globalnego protekcjonizmu, który pasożytuje na otwartości innych rynków, o tyle rynek unijny jest dla produkcji amerykańskiej otwarty.

Nie jest to (i nigdy nie była) pełna otwartość, ale w drugą stronę jest podobnie. Gdyby ktoś chciał napisać historię współpracy gospodarczej Ameryki i Europy po 1990 r., to np. przemysł lotniczy i zbrojeniowy byłyby ciekawym studium przypadku, jak polityka, biznes i granie regułami prawnymi idą ręką w rękę, by zachować przewagę technologiczną nad sojusznikiem. Europa sprzedaje do Stanów dobra materialne, ale jesteśmy za to odbiorcami amerykańskich technologii. Ten rodzaj „współpracy przez rywalizację” jest obcy zarówno stosunkom amerykańsko-chińskim, jak i europejsko-chińskim.

Polityka Trumpa w sprawie wolnego handlu może być zatem albo wstępem do dyskusji nad nowym kształtem starej idei „rozdawania ról i korzyści” (może bardziej zrównoważonego), albo głośnym strzałem w powietrze. W najlepszym razie przemienie on bez większego echa, w najgorszym zadziała jak starter do biegu na długi dystans.

Brak głębszego planu i kapryśność administracji USA, która spod obostrzeń wyłączyła już Meksyk i Kanadę, sugerują niestety, że mamy do czynienia z drugą możliwością. W ten sposób szansa na „nowe porozumienie” – w rodzaju tych, które ukształtowały globalny ład po 1945 r. – zostanie pewnie zmarnowana. Chyba że pójdziemy w stronę kolejnego kryzysu, na końcu którego nie będzie innego wyboru niż wyznaczenie syndyka do zarządzania masą upadłościową po globalnej wojnie handlowej.



W obecności pracowników przemysłu stali i aluminium Donald Trump ustanawia cła zaporowe. Waszyngton, 8 marca 2018 r.

Tym samym albo wypchną lokalnych producentów, albo rządy innych krajów postanowią także zabezpieczyć własne rynki, na co sąsiedzi zareagują podobnie. Tylko że – w ramach retorsji – może to dotyczyć już nie tylko stali, ale i innych sektorów. Polityka *beggar-thy-neighbour* – czyli „puszczania z torbami swoich sąsiadów”, aby ratować siebie – była jedną z przyczyn pogłębiających wielki kryzys lat 1929-33. I zarazem lekcją, która legła u podstaw systemu wolnego handlu po 1945 r.

Czy tak będzie tym razem? Za wcześniej, aby o tym przesądzać. Bez wątpienia ryzy-

darki oparte na usługach mają tendencję do niezrównoważonego rozwoju, który najpierw wyklucza rzesze pracowników, a następnie uzależnia pozostałych od importu wszystkiego, co ma wymiar materialny, a nie wirtualny.

Ale pytanie dotyczy tego, czy rzeczywiście to import stali jest głównym problemem. Hasło reindustrializacji, którym posługuje się Trump, jest nośne, lecz budowa czy odbudowa przemysłu wymaga szkół zawodowych, rozwoju technologii i inwestycji lokalnych. Nie trzeba budować łańcuchów produkcyjnych – od hut do firm budowlanych – aby poprawić jakość

Nasza chata już nie z kraja

Kierunek ewolucji polityki USA w sprawie wolnego handlu powinien rodzić polityczną refleksję także w Polsce. Nie tylko dlatego, że odpryski tych sporów mogą uderzyć też w nas, naszych producentów i nasz rynek. Przede wszystkim powinniśmy zdać sobie sprawę, że jesteśmy częścią wielkiego europejskiego rynku, którego przyszłość zależy od wolnego handlu, a od którego przyszłości zależy z kolei nasz dobrobyt. Wbrew pozorom euroatlantycki wymiar współpracy gospodarczej jest równie ważny, co artykuł 5. traktatu waszyngtońskiego i stacjonowanie amerykańskich wojsk nad Wisłą.

Do tej pory nie mamy tego świadomości – co jest skutkiem nie tylko monotematyczności polskich dyskusji, ale też wygodnictwa. To, że Komisja Europejska odpowiada za politykę handlową, nie oznacza, że państwa nie mają tu nic do powiedzenia. To, czy Unia wprowadzi sankcje odwetowe, czy jednak postanowi bronić się na forum WTO (broniąc tym samym reguł, bez których nie przeżyje w starciu z gigantami), nie powinno być nam obojętne.

Jako kraj z dodatnim bilansem handlowym od kilku lat i naród eksporterów na dorobku, którzy odnoszą sukcesy na jednolitym rynku europejskim i coraz śmielej rozpychają się na zagranicznych rynkach, powinniśmy mocniej artykułować swoje opinie. Polski głos w tym sporze może być też dobrym kontrapunktem dla pata, w którym znajdują się nasze stosunki z instytucjami unijnymi. Tutaj też, jak chyba nigdzie indziej, Polska i Niemcy mają ten sam interes. Przegrana Angeli Merkel w sporze o przyszłość wolnego handlu z Donaldem Trumpem będzie także naszą przegraną.

A poza tym, lub może przede wszystkim: Irak, Afganistan i inne spory geopolityczne nie przekładały się na miejsca pracy i grubość portfeli. Ten spór ma taki potencjał. Warto o tym pamiętać.

© OLAF OSICA

Autor jest dyrektorem projektu „Rynki zagraniczne” w Polskim Towarzystwie Wspierania Przedsiębiorczości w Katowicach. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.



THARAKA BASNAKYA / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Zniszczenia w meczecie w mieście Kandy po starciach między buddystami i muzułmanami. Sri Lanka, 9 marca 2018 r.

Na styku cywilizacji

ROMAN HUSARSKI ZE SRI LANKI

O Sri Lance z czasu wojny domowej pisano, że to „wyspa obłądu”. Wojna się skończyła, ale szaleństwo nie zniknęło. Zmieniło tylko swoje oblicze.

TUTEJSZA HISTORIA POWTARZA SIĘ Z NIEpokojącą regularnością.

Także teraz, na początku marca, rząd Sri Lanki musiał ogłosić 10-dniowy stan wyjątkowy. Musiał, aby zapanować nad chaosem po antyislamskich zamieszkach w 120-tysięcznym mieście Kandy – stolicy Prowincji Centralnej, gdzie położona jest ważna dla wyznawców buddyzmu Świątynia Zęba (przechowywany ma być tam ząb Buddy).

W zamieszkach zginęło kilka osób, zniszczono kilkadziesiąt domów, spłonęło wiele aut. Buddyści uszkodzili też poważnie cztery meczety.

Starcia – czy też może: pogromy – zaczęły się po tym, jak muzułmańscy pasażerowie taksówki pobili buddyjskiego kierowcę. Mężczyzna zmarł potem w szpitalu. Podjudzony przez buddyjskich ekstremistów tłum postanowił wymierzyć sprawiedliwość – ale nie sprawcom pobić, lecz całej islamskiej społeczności.

Premier Ranil Wickremesinghe szybko potępił rasistowskie ataki i obiecał zrobić porządek. Zapewne w głębi ducha modlił się, by fala przemocy nie rozlała się na całe państwo. Już teraz wizerunek wyspy, tak ciężko odbudowywany, został naruszony – stanu wyjątkowego nie było tu od wojny z Tamilskimi Tygrysami, zakończonej w 2009 r. Turcyści, którzy w ostatnich latach upodobałi sobie Sri Lankę, musieli być w szoku. Skąd taka nienawiść wśród buddyjskich mieszkańców tej na pozór rajskiej krainy?

Jednak sami Lankijczycy inaczej niż turcyści postrzegają swoją wyspę: konflikt buddyjsko-islamski tli się tutaj nieustannie, wybuchając raz po raz – jak teraz.

30 milionów cegieł

W kanonie palijskim – zbiorze tekstów świętych dla buddystów – można odnaleźć legendę o wojowniku, który odwiedził Buddę, aby zapytać go, czy polegli ➔

→ w bitwie odrodzą się w raju. Oświecony milczał, więc żołnierz ponowił pytanie. Gdy Budda dalej pozostawał niewzruszony, wojownik zadał pytanie po raz trzeci. Dopiero wtedy Budda odpowiedział: ci, co zginęli w boju, nie mają szans na odrodzenie w niebiosach. Przeciwnie, z powodu niestabilności emocjonalnej w chwili śmierci i nienawiści w sercu czeka ich odrodzenie w piekle.

Z przypowieści tej można by wnioskować, że prawowierny buddysta powinien być emanacją pacyfizmu. Tymczasem jak bardzo wyobrażenie to rozmija się z realiami, można przekonać się właśnie na Sri Lance – w kraju, gdzie wojna domowa zakończyła się wprawdzie dziewięć lat temu, ale gdzie daleko jest do pokoju.

Żar z nieba sprawia, że nawet krótki spacer w południowej porze może przyprawić o zawrót głowy. Jednak na placu budowy pagody Sandahiru Seya, buddyjskiej budowli sakralnej, praca wrze. Przy gigantycznej konstrukcji, przypominającej w obecnym stanie górę z cegieł, ludzie krzątający się na jej szczycie wyglądają jak mrówki.

Ma być to największa pagoda na Sri Lance, finalnie osiągnąć ma aż 85 m wysokości. Przyćmi wielkością nawet słynne starożytne stupy Anuradhapury, w pobliżu których jest wznoszona. Po trzęsących się rusztowaniach wchodzą robotnicy w każdym wieku, kobiety i dzieci, dźwigając cegły wielkości łokcia.

Mija mnie grupa pielgrzymów. Przyjeżdżają z różnych stron kraju, by symbolicznie dołożyć choć jedną cegłę (ma być ich łącznie ponad 30 mln). Całej pracy doglądają mnisi – oraz wojsko, w imieniu którego pagoda jest wznoszona.

Świątynia ku czci armii

Budowę świątyni zainicjował Mahinda Rajapaksa, prezydent Sri Lanki w latach 2005–15, a więc w czasie, gdy wojna osiągnęła punkt zwrotny, a Tamiłskie Tygrysy zostały – dosłownie – wybite. Chciał

uczcić udział armii i policji w zakończeniu wojny, która trwała w latach 1983–2009 i pochłonęła ponad sto tysięcy ofiar.

Nowa stupa wpisuje się w jego ultranacjonalistyczną wizję kraju. Syngaleska prawica, związana z byłym już prezydentem (w 2015 r. Rajapakse na stanowisku lidera Partii Wolności Sri Lanki zastąpił konkurent Maithripala Sirisena, obecny prezydent), wierzy, że rajska wyspa jest miejscem wybranym przez samego Buddę, a jej mieszkańcy powołani są do bronienia czystości jego nauk. Uważają, że zagrożenie jest poważne: inne religie rosną w siłę i należy im się przeciwstawić. Przecież Afganistan, Indonezja czy Indie też kiedyś były krajami buddyjskimi... A dziś?

W średniowiecznej buddyjskiej tradycji ideałem władcy był *dhammaraja*, czyli król, który dbał i chronił buddyzm. Być może Rajapaksa chciał przejść do historii w takiej roli. W każdym razie zapowiedział budowę dziewięciu stup gigantów, wszystko na cześć armii. Aby jednak utrzymać wojskowo-buddyjską maszynę w ruchu, potrzebne jest zagrożenie. Tamiłskie Tygrysy zostały wprawdzie rozgromione, ale na horyzoncie nie brak innych wrogów.

Coraz częściej oskarżenia kierują się ku muzułmanom, a muzułmaninem jest mniej więcej co dziesiąty mieszkaniec wyspy. Jeśli większość Syngalezów buddystów, stanowiących 70 proc. ludności, uwierzy, że muzułmanie są zagrożeniem, będzie to oznaczało szybki powrót do władzy Rajapaksy – polityka znanego z nieustępliwości, który już raz zaprowadził porządek wśród „niewiernych”.

Mahomet w kraju Buddy

Mumtaz jest młodą nauczycielką i muzułmanką. Prosi o anonimowość, powiedzmy więc tyle, że żyje w jednym z najważniejszych miast dla buddyzmu. I w regionie, w którym poparcie dla organizacji Buddyjska Siła, założonej w 2012 r., jest najwyższe w kraju. Ugrupowanie to powstało z inspiracji birmańskiego Ruchu 969 i podobnie jak jego odpowiednik koncentruje swe działania na przeciwstawianiu się wpływowi islamu.

Islam wyznają tu głównie Maurowie, uważający się za potomków Arabów, a także Malajowie i Tamilowie – choć zdają się syngalescy konwertyci. Kaznodzieje Buddyjskiej Siły są przekonani, że liczba muzułmanów na wyspie drastycznie wzrasta.



Lankijscy żołnierze otrzymują buddyjskie pobłogosławione sznury modlitewne.
Anuradhapura, luty 2018 r.

W istocie sytuacja pod tym względem nie jest prosta. Według lankijskich danych statystycznych na przestrzeni lat 1981–2012 muzułmanie nieznacznie zwiększyli swój udział w społeczeństwie: z 7,17 do 9,66 proc. Bardziej niż dzietność wpłynęła na to masowa emigracja pochodzących z Indii Tamilów, którzy zostali zmuszeni do opuszczenia Sri Lanki. Również procent buddystów w tym czasie wzrósł: z 61 do 70 proc.

Ale szowinistyczna paranoja nie po raz pierwszy zbiera swoje żniwo. Tuż przed wizytą papieża Franciszka w 2014 r. doszło do rozruchów, podpalano sklepy i fabryki należące do muzułmanów oraz meczety (przynajmniej cztery osoby zginęły, setki straciły dobytek).

Wpływy organizacji Buddyjska Siła osłabły wraz z przegraną Rajapaksy z Sirisemem w wyborach prezydenckich w 2015 r. Sirisen był kiedyś doradcą Rajapaksy, ale jest znacznie bardziej od niego umiarkowany. Ostatnio jednak Rajapaksa znów czuje wiatr w plecy. Z powodów rozczarowań i licznych zarzutów o korupcję partia obecnego prezydenta przegrała lokalne wybory 10 lutego, a znaczne sukcesy odniosła w niej nowa partia Rajapaksy: Sri Lanka Podujana Peramuna (dosłownie: Wolność dla naszej Sri Lanki). Przeciwnicy Rajapaksy obawiają się nowej fali starć etnicznych.

W cieniu saudyjskiego islamu

Mumtaz przyjmuje mnie, obcego mężczyznę, w swym domu, gdzie mieszka jedynie z siostrą. Nie jest to typowe w obrębie kultury islamu, więc wiem, że mam do czynienia z osobą odważną. Jej zachowanie



ROMAN HUSARSKI będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w czwartek o godz. 15.40.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław

96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź

97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl

konstrastuje ze współlokatorką, która wita się, nie patrząc w oczy i szybko chowa się w kuchni.

Ubrana w elegancką kolorową chustę, Mumtaz przeprosza, że ma do zaproponowania tylko herbatę i arabskie słodczyce. Płynnym angielskim opowiada o swoich marzeniach (chciałaby studiować w Europie) i doświadczeniach (z pobytu w Bangladeszu). W lokalnej szkole uczy matematyki, fizyki i religii. Mówi, że każda grupa wyznaniowa ma osobne zajęcia z religii: są więc te dla małych buddystów, hindusów, muzułmanów i dla chrześcijan. Szybko uspokaja: – Ale potem wszyscy znów spotykają się na wspólnych lekcjach.

Mumtaz ma zdecydowane poglądy: – Nic nie jest ważniejsze niż przyjaźń. Wielu moich znajomych to buddyści. Życie towarzyskie daje szansę na zbliżenie. Wielu ludzi nie rozumie islamu, chciałoby może o coś spytać, ale nie ma okazji. Jeśli będziemy żyć w osobnych światach, nic dobrego z tego nie wyjdzie. Wiele problemów ma korzenie w różnicach kulturowych. Buddyści zawsze zdejmują nakrycie głowy w swoich świątyniach, podczas gdy dla nas to zasłanianie włosów jest znakiem szacunku. Łatwo w takich sytuacjach o konflikty.

Czy doświadcza uprzedzeń na co dzień? Mumtaz mówi, że czasem słyszy złe słowo, takie jak „marakaya”, obraźliwe określenie muzułmanina. Krytykuje złą wolę buddyjskich nacjonalistów, choć podkreśla, że widzi szansę na dialog.

Dziewczyna uważa, że czynnikiem destabilizującym mogą być wpływy Arabii Saudyjskiej. – Jeszcze kilkanaście lat temu nie spotkałbyś na Sri Lance kobiety w nikabie, całkowicie zasłoniętej – mówi. – Ale pojawili się nowi, bardziej konserwatywni nauczyciele. Niepokoją mnie ich wpływy. Także radykalna separacja płci jest czymś nowym na naszej wyspie.

Arabia Saudyjska to ważny tutaj punkt odniesienia. Jest celem migracji zarobkowej tutejszych muzułmanów. Niektórzy przywożą stamtąd nie tylko rupie, ale też jedynie słuszną wersję islamu.

Buddyjska Siła uważa, że Saudowie prowadzą globalne działania mające zniszczyć buddyzm. Na Sri Lance krąży szokująca historia lankijskiej kobiety, skazanej rzekomo w Arabii Saudyjskiej na śmierć za czczenie Buddy. Ciężko potwierdzić jej autentyczność, jedynymi źródłami są tu strony internetowe Buddyjskiej Siły (można za to usłyszeć, że zarzuty wobec kobiety mogły być pretekstem, aby pozbyć się osoby oskarżającej przełożonych o molestowanie seksualne).

Pewna historia miłosna

Aashiq, wychował się właśnie w Arabii Saudyjskiej, gdzie jego rodzina wyemigrowała w celach zarobkowych. Obecnie studiuje w Kandy – tu, gdzie znajduje się wspomniany na początku ząb Buddy największy lankijski skarb narodowy i relikwia. Tutejsze antyislamskie protesty, kilka dni po naszym spotkaniu, wstrząsnęły całym krajem.

Spotykamy się w kawiarni. Aashiq zaskakuje mnie, odmawiając napicia się herbaty, na którą się przecież umówiliśmy. – Jest poniedziałek, a to dzień, w którym pościł sam Mahomet – tłumaczy i dyplomatycznie proponuje, że mogą pić za dwóch, słuchając jego słów.

Gdy pada pytanie o relacje międzykulturowe, ze zdumieniem słucham, jak mężczyzna bagatelizuje problem. Większy widzi w samej lokalnej społeczności muzułmańskiej, która – jak twierdzi – nie praktykuje islamu jak należy.

Gdy już wydaje mi się, że wiem, czym Aashiq się w życiu kieruje, on zdumiewa po raz kolejny, opowiadając historię miłosną. W historii tej mężczyzna (przyjaciół Aashiq) jest buddystą, a jego wybranka muzułmanką. Romeo mówi, że ją kocha, ale Julia stawia mu warunek: musi nawrócić się na islam.

– To jest pewien problem religijny – wzdycha Aashiq. – Uważam, że każdy powinien mieć prawo praktykować swoje wyznanie, nie wchodząc innym w drogę. Mój przyjaciel grozi, że zrobi sobie coś strasznego, jeśli ona nie zgodzi się związać z nim bez warunku zmiany religii.

Widząc moją minę, dodaje: – No nie, nie zabije się... Ale zostanie mnichem w klasztorze.

Gdy pytam, czy są jakieś szanse, aby ona zmieniła zdanie, w charakterystyczny dla Lankijczyków sposób Aashiq kręci „ósemki” głową. Gest ten może oznaczać zarówno „tak”, jak i chwilę na zastanowienie. Po czym mówi: – Nie, nie ma żadnych. ➔

pomoc doraźna rehabilitacja aktywizacja zawodowa **opieka** nad dziećmi wsparcie specjalistów dożywianie dzieci i dorosłych

przekaż 1% podatku

KRS 0000 274785
www.caritas.lodz.pl / caritas.lodz

Materiał promocyjny sfinansowany ze środków finansowych z 1% podatku dochodowego od osób fizycznych.

REKLAMA



ARCHIDIECEZJA ŁÓDZKIEJ

Rozszczepiona wyspa

→ W słynnym tekście „*The Clash of Civilizations?*” („Zderzenie cywilizacji?”), opublikowanym w 1993 r. na łamach „*Foreign Affairs*”, amerykański politolog Samuel Huntington zaliczył Sri Lankę do tzw. krajów rozszczepionych. Czyli takich, w których przebiegają linie podziałów międzycywilizacyjnych, a które charakteryzują się większym ryzykiem niestabilności. Inni badacze wskazują na rolę brytyjskich rządów kolonialnych: Brytyjczycy prowadzili tu politykę „dziel i rządź”, burząc tradycyjne układy i wprowadzając masowo tamilskich pracowników z Indii – głównie na plantacje herbaty, z której słynie kraj. Musiało to prowadzić do napięć.

Mimo wszystko są też tacy, co patrzą optymistycznie w przyszłość.

Dwóch młodych pracowników korporacji z Colombo, Lahiru i Suresh, entuzjastycznie opisuje mi przemiany na wyspie. Na ulicach nie ma już dzieci-bomb, które zbierały krwawe żniwo w czasie wojny. Wszędzie powstają wieżowce, modernizuje się drogi, a liczba turystów stale rośnie – w 2017 r. było ich już ponad 4 mln.

Ale czy ta historia sukcesu nie dotyczy tylko Syngalezów? Zaprzeczają. – Wiele osób oskarża o wszystko Brytyjczyków. Ale w tej chwili to dziedzictwo kolonialne pomaga nam w jednoczeniu się. Gdy spotykamy się z Tamilami, używamy do komunikowania się angielskiego – twierdzi Suresh. Choć nie dodaje, że zamiast promować angielski, rząd zmusza Tamilów do nauki syngaleskiego w szkołach.

Lahiru i Suresh próbują marginalizować wpływ Buddyjskiej Siły na życie polityczne. Przywódca tej organizacji, mnich Galagoda Aththe Gnanasara [wywiad z nim opublikowaliśmy w „TP” 44/2017 – red.], już raz bez powodzenia próbował dostać się do parlamentu. Nic nie wskazuje, by miał na to szanse w przyszłości. Ale ekstremiści mają poparcie na

provincji, gdzie o konflikty łatwo. Do ataków na meczety i incydentów dochodzi notorycznie.

– Każdy z nas ma przyjaciół wśród muzułmanów czy chrześcijan, także internet odgrywa pozytywną rolę – zapewnia Suresh. Z jednej strony wypada się z nim zgodzić. Strona internetowa przeciwników Buddyjskiej Siły na Facebooku ma pięć razy więcej „polubień” niż strona tej organizacji. Z drugiej, to właśnie w sieci znaleźć można liczne komentarze pełne nienawiści.

Moi rozmówcy mocno odcinają się od radykalizmu. Choć mają swoje zastrzeżenia wobec islamskiej mniejszości. – Może nie jestem jakoś bardzo praktykującym buddystą, ale ciężko mi zgodzić się z zasadami uboju *halal*. Żyjemy w XXI stuleciu, jeśli ktoś musi już jeść mięso, może pozytywnie jest w bardziej humanitarny sposób – mówi Lahiru.

Buddyjska Siła wie, jak uderzyć w czułe punkty. W 2013 r. prowadziła kampanię właśnie przeciw ubojowi *halal*, a jednym z powracających argumentów jest właśnie ten o mordowaniu krów przez muzułmanów. Tymczasem wielu buddystów na Sri Lance uważa to zwierzę za święte.

Na terenie Colombo ubój cieląt jest nielegalny. Pewien mężczyzna przekonywał mnie, że niedopuszczalne jest, że muzułmanie dokonują uboju krów także na terenach starożytnych miast, uważanych przez buddystów za święte.

Innym tematem zapalnym jest prawne przyzwolenie dla muzułmanów na związki poligamiczne. Dla Buddyjskiej Siły oznacza to prawo szariatu w ich własnym kraju.

Buddyści kontra chrześcijanie

Na rozmowę umawiam się także z lokalnym katolikiem.

Uwzględniając łącznie wszystkie wyznania, chrześcijanie stanowią ok. 7 proc.

populacji kraju. Przedstawiciele tej mniejszości zamieszkują głównie zachodnie wybrzeże – właśnie tą częścią Sri Lanki zarządzali przez ponad 50 lat Portugalczycy.

Nishel ma 24 lata i jest dziennikarzem, zajmuje się ekonomią. Przypomina mi, że członkowie Buddyjskiej Siły dopuszczają się ataków również na chrześcijan. I tak, w 2014 r. tłum buddystów kierowany przez mnichów napadł na pastora i jego żonę w ich własnym domu, żądając, aby zaprzestał działalności.

Nishel uważa, że ci ludzie są manipulowani przez polityków, którzy chcą skłócić mieszkańców Sri Lanki i zyskać tym sposobem kapitał wyborczy.

– Te wszystkie buddyjskie bojówki to przybudówka polityczna Rajapaksy. To człowiek blisko związany z wojskiem i wiecznie szukający wrogów. Jeżeli Lankijczycy uwierzą w jego narrację o zagrożeniu, to powróci on do politycznej gry. Przecież jest kojarzony jako pogromca Tamilskich Tygrysów.

Sklep z pamiątkami

Oczywiście Buddyjska Siła nie jest jedynym głosem tej społeczności. Buddyjscy nauczyciele z całego kraju często odcinają się od ich metod – choć niektórzy otrzymywali w odpowiedzi pogróżki.

Jednak Buddyjska Siła ma dużo większe znaczenie polityczne, niż wielu Syngalezów jest skłonnych przyznać. Dlatego paląca stała się kwestia przebywających na wyspie muzułmanów Rohinga, którzy – szukając schronienia – dotarli z Birmy aż tutaj. Wiele buddystów żąda wydalenia ich z kraju, a ich obozy są celem ataków.

Włoski dziennikarz Tiziano Terzani, który sporo podróżował po Azji, szukając duchowej harmonii, pisał o Sri Lance z okresu wojny jako o „wyspie obłędu”. Wojna się skończyła, ale szaleństwo nie bierze się znikąd.

Słuchając przez wiele dni o Buddyjskiej Siłie, postanowiłem ich odwiedzić i zadać im kilka pytań. Siedziba główna organizacji znajduje się w sercu Colombo. Napotkałem jednak zatrzaśnięte drzwi.

W pobliskim sklepie z buddyjskimi dewocjonaliami zapytałem, co się stało. Sprzedawca zareagował z wyraźnym złością. – Oni wyjechali, wyjechali daleko stąd! – odpowiedział szybko.

Tak jakby chciał odegnać od siebie ludzi, którzy próbują zburzyć kruchy spokój na Sri Lance.

© ROMAN HUSARSKI

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 122/17 postępowanie z wniosku wierzyciela spadkodawcy – Getin Noble Bank S.A. o stwierdzenie nabycia spadku po Jadwidze Żwawiak, zm. 10 lutego 2015 r., ostatnio zamieszkałej w Cielczy. Skład spadku po zmarłej jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie 6 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



DWAYNE SENIOR / EAST NEWS

Mieszkańcy Kapsztadu w kolejce po wodę, 31 stycznia 2018 r.

Dzień zero w Kapsztadzie

AGATA KASPROLEWICZ

Metropolia Południowej Afryki może być pierwszym dużym miastem świata, w którym wkrótce zabraknie wody. Kto jest winny temu kryzysowi: pogoda, politycy czy historia RPA?

BURMISTRZ KAPSZTADU, PATRICIA DE Lille, nie mogła dotrzymać obietnicy, jaką złożyła zaledwie kilka miesięcy temu. Wtedy zapowiadała: „Nie pozwolimy, aby w dobrze zarządzanym mieście zabrakło wody”. Tymczasem niedawno w sześciu miejskich zbiornikach poziom wody spadł do 26 proc. I władze Kapsztadu ogłosiły, że mieszkańcy muszą przygotować się na „Dzień Zero”: moment, gdy miejskie rurociągi wyschną, a ludzie będą stać w kolejkach po dzienny przydział (25 litrów na głowę) pod okiem wojska.

Trudno wyobrazić sobie takie sceny w mieście, które cztery lata temu „New York Times” okrzyknął najlepszym miejscem na wakacje...

Zresztą do uroków Kapsztadu nie trzeba było przekonywać półtora miliona turystów, którzy co roku odwiedzają stolicę Republiki Południowej Afryki, by rozkoszować się plażami, widokiem na Górę Stołową, a także miejskim luksusem, pięciogwiazdkowymi hotelami i światowej klasy restauracjami, serwującymi produkty z pobliskich winnic.

Trudno też wyobrazić sobie mieszkańców bogatych przedmieść, właścicieli rezydencji z basenami, jak dźwigają w kanistrach dzienny przydział wody. A jednak. Ostatnie szacunki mówią, że „Dniem Zero” może być 15 czerwca. Wtedy Kapsztad stałby się pierwszym dużym nowoczesnym miastem na świecie, w którym skończyła się woda.

Trzy suche zimy

Powodów kryzysu jest kilka. Nie we wszystkie mieszkańcy Kapsztadu chcą wierzyć. Są też tacy, którzy w ogóle wątpią w jego istnienie.

– Niektórzy twierdzą, że kryzys wody został zaplanowany przez polityków, aby w ostatniej chwili mogli zatriumfować, ratując miasto z opresji. Inni mówią, że kryzys jest wymyślony, a zbiorniki pełne wody. Ostatnio powtarzana jest plotka, że woda w Kapsztadzie jest zatruta – Claire Pengelly z miejscowego Uniwersytetu wymienia teorie spiskowe, jakie krążą po mediach społecznościowych w Republice Południowej Afryki.

W kryzys można nie wierzyć. Nie sposób za to zaprzeczyć, że takiej suszy jak obecnie w Kapsztadzie nie było od dawna. Jedni mówią, że od 400 lat, inni, że od ponad 600. W każdym razie Kapsztad nie był tak spragniony deszczu od czasów, gdy nie nosił jeszcze swojej nazwy, a do Przylądka Dobrej Nadziei wraz z sześcioma statkami przyplął Jan van Riebeeck – człowiek, który zbudował pierwsze fortyfikacje u stóp Góry Stołowej i założył tu pierwsze miasto.

Riebeeck zachwylił się obficie spływającymi po zboczach Góry Stołowej strumieniami. Na urodzajnej glebie Kapsztadu powstawały bujne ogrody i słynne winnice. W czasach apartheidu, gdy na pobliskiej, oddalonej od Kapsztadu o kilka kilometrów Robben Island Nelson Mandela odsiadywał 18 z 27 lat, jakie w sumie spędził w więzieniu – produkcja wina została zahamowana.

Rozkwitła na nowo po obaleniu dominacji białych. Pierwszym włodarzem wolnego Kapsztadu był zwycięski Afrykański Kongres Narodowy (ANC). W 2006 r. władzę w mieście przejęła opozycja.

Mijały lata, dawni więźniowie stawali się prezydentami, a niedysyjsi bohaterowie przemieniali się w skorumpowanych złodziei [patrz opowieść Wojciecha Jagielskiego o ostatnim ćwierćwieczu RPA, „TP” 10/2018 – red.]. Ale jedno w Kapsztadzie się nie zmieniło: pogoda. Latem świeciło słońce, zimą padał deszcz.

Niestety – do czasu. Trzy ostatnie zimy były naderwyczej suche. Według pomiarów stacji meteorologicznej na międzynarodowym lotnisku w Kapsztadzie od 1977 r. średnia roczna suma opadów deszczu w mieście wynosiła 508 mm. Tymczasem w ciągu ostatnich trzech lat w mieście spadło o połowę mniej deszczu.

Katastrofa zapowiadana

To zmiana katastrofalna – biorąc pod uwagę, że system zarządzania wodą w Kapsztadzie oparty jest na przewidywalności zjawisk meteorologicznych.

Poziom w sześciu zbiornikach, które są jedynym źródłem wody dla miasta, uzależniony jest od pogody: aby się napełniły, musi padać. Dopóki zimy były deszczowe, wszystko działało.

– Z powodu zmian klimatycznych nie sposób już planować przyszłości na podstawie projekcji z przeszłości. System zarządzania wodą, oparty na zasadzie powtarzalności zjawisk pogodowych, przestał ➔

→ działać – mówi profesor Geoff Dabelko, dyrektor wydziału badań nad środowiskiem w amerykańskim Centrum Wilsona.

Czy władze miasta mogły dać się zaskoczyć? Przecież na rok przed rozpoczęciem trzyletniej suszy, w 2014 r., Kapsztad dostał wyróżnienie za sprawne zarządzanie wodą od organizacji C40 (w imieniu największych metropolii świata działającej na rzecz ochrony klimatu). Czy zmiany klimatyczne rzeczywiście przyszły tak nagle, że Patricia de Lille musiała wycofać się z obietnicy, iż nie zabraknie wody? Kto zawinił? Pogoda czy polityka?

Pierwsze ostrzeżenia pojawiły się jeszcze w roku 1990 – tym samym, w którym Mandela opuścił Robben Island i wyszedł na wolność. Pierwsza poważna susza nadeszła 15 lat później: poziom w największym miejskim zbiorniku Theewaterskloof Dam, z którego pochodzi połowa wody w Kapsztadzie, spadł wtedy do 30 proc. (dziś wynosi 12 proc.).

To był ostatni rok, gdy miastem rządził jeszcze Afrykański Kongres Narodowy. Władze zdążyły zrobić plan siedmiu odwiertów, które pozwoliłyby czerpać ze złóż pod Górą Stołową, kryjących 100 tys. km² wody. Ale plany nie zostały zrealizowane. Rok później władzę w mieście przejęła opozycja: Sojusz Demokratyczny. W 2007 r. ukazał się raport mówiący, że miasto będzie potrzebować innych źródeł wody niż z sześciu zbiorników; zalecano zwiększenie wydobycia wody gruntowej i rozwijanie metod odsalania.

Woda i polityka

– Winni kryzysu wody w mieście są politycy – mówi bez wahania prof. Anthony Turton z Kapsztadu.

Jedni uważają, że to władze centralne (a więc Afrykański Kongres Narodowy) sabotowały prace nad usprawnieniem sys-

temu, aby obnażyć niekompetencję Sojuszu Demokratycznego. Inni twierdzą, że to Sojusz chciał w ten sposób zbuntować ludzi przeciw trzymającemu władzę Kongresowi w czasie, kiedy partia ta zadawała ostateczny cios byłemu już prezydentowi Jacobowi Zumie.

Dla profesora Turtona nie ma znaczenia, która strona ma rację. Jego zdaniem Kongres i Sojusz są sobie warte. Turton obarcza taką samą odpowiedzialnością polityków z obu partii. Bo, jak twierdzi, wszyscy upolitycznili problem wody.

Rzeczywiście, polityczne ciosy zadawane były z obu stron. Pani minister ds. wody i systemu sanitarnego Nomvula Mokonyane z ramienia ANC oskarżała polityków Sojuszu, że wymyślili sobie „Dzień Zero”, aby siać wśród ludzi panikę.

Z kolei Ratusz, kierowany dziś przez polityków Sojuszu Demokratycznego, narzeka na brak wsparcia ze strony władz centralnych w realizacji drogiego projektu antykryzysowego – jak odsalanie, wydobycie wód gruntowych czy recykling. Władze miasta policzyły, że akcja ratująca Kapsztad przed wysuszeniem spowodowała już teraz dziurę budżetową w wysokości 140 mln dolarów.

Kevin Winter z Uniwersytetu w Kapsztadzie wskazuje jeszcze jednego winnego: niedawną historię RPA. Tłumaczy, że dla południowoafrykańskich polityków woda nie była priorytetem, gdyż po latach apartheidu najważniejszym celem była odbudowa państwa, które musiało zmierzyć się z takimi wyzwaniami jak bieda i nierówności.

Rzecz w tym, iż problem z wodą w Kapsztadzie boleśnie przypominał, że ani jedna, ani druga patologia nie została złagodzona. – Obecny kryzys jeszcze bardziej uwypuklił nierówności w naszym mieście. Bo to właśnie dostęp do wody dramatycznie dzieli nasze społeczeństwo – mówi prof. Harro von Blottnitz z Wy-

działu Technologii Chemicznej Uniwersytetu w Kapsztadzie.

Co zawita najpierw

Mieszkają tu prawie 4 mln ludzi, w tym co czwarty w slumsach. Oni nie wiedzą, co to bieżąca woda. Noszą ją w plastikowych baniakach do swych prowizorycznych domków. W tym czasie mieszkańcy zielonych przedmieść budują domy z basenami wypełnionymi wodą, nie zastanawiając się nad jej wartością. W czasie suszy przepaść między nędzą a dobrobytem się pogłębia.

Dr Kristy Carden z Wydziału Zarządzania Wodą Uniwersytetu w Kapsztadzie ubolewa, że jako przykład marnotrawienia wody w RPA media najczęściej pokazują przeciekające rury w slumsach, podczas gdy milion ubogich zużywa ledwie 4,5 proc. wody. Zatem to styl życia bogatych jest jedną z przyczyn kryzysu. A to biedni najbardziej na nim cierpią.

Prof. Geoff Dabelko z Centrum Wilsona: – Bogaci mają pieniądze, by poradzić sobie w sytuacji kryzysowej. Gromadzą zapasy wody, inwestują w prywatne odwierty. Jeśli kryzys się pogłębi, mogą wyjechać. To nic nowego w historii. Ludzie od zawsze migrowali z miejsc, które wysychały. Nazywam to „strategią bogatych na przetrwanie”. A biedni zostają.

Dlatego to na bogatych mieszkańcach spoczywa odpowiedzialność ograniczenia zużycia wody. O to apelują władze miasta, w nadziei, że narzucenie dziennych limitów odroczy „Dzień Zero” i zanim trzeba będzie zakręcić kurki, spadnie deszcz.

Historia uczy jednak, że czasem biedni tracą cierpliwość. – Tak było w Boliwii 20 lat temu, gdy prywatyzacja wody spowodowała tak raptowny wzrost jej ceny, że biedota została od wody odcięta. Ludzie wyszli wtedy na ulice, hasła szybko przybrały charakter antyrządowy – mówi prof. Dabelko i nie ma wątpliwości, że politycy w RPA mają świadomość, iż kryzys może stać się zarzewiem protestów na skalę ogólnokrajową.

Jeszcze do niedawna po południowoafrykańskim internecie krążyły żartobliwe memy, przedstawiające roześmianą twarz prezydenta Zuma z podpisem: „Podam się do dymisji, jeśli w Kapsztadzie spadnie deszcz”. Dziś skorumpowany Jacob Zuma nie jest już prezydentem, został zmuszony do ustąpienia. A pytanie brzmi, co pierwsze zawita w Kapsztadzie: deszcz czy „Dzień Zero”?

© AGATA KASPROLEWICZ

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygn. I Ns 107/17 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Stanisławie Zduńcyku, zm. 29 kwietnia 2016 r. w Wołominie, ostatnio stale zamieszkałym w miejscowości Olesin, gm. Dębe Wielkie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy (szczególnie Jacek Marek Zduńczyk) w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WOJCIECH

Bonowicz:

Wyznanie ostrożnej wiary



KIEDY WYDAJE SIĘ, ŻE ŚMIESZNIEJ, STRASZNIEJ lub głupiej być nie może, że doszliśmy już do granicy, zawsze znajdzie się ktoś, kto pokaze, że jednak nie, że można, że o, proszę bardzo, on potrafi... Przykre, kiedy jest to głowa państwa, ale trudno, chyba trzeba się do tego przyzwyczaić, że obecny prezydent musi co jakiś czas rozpedzić się i z całych sił wałęsować głową w kubeł. Będą kolejne wybory, może w końcu uda się wybrać kogoś, kto nie będzie się ośmieszał. Siebie, a więc i nas.

Nie pisałbym tak ostro, bo to nie w moim stylu, ale – wstyd, wstyd. Niestety, ogłaszając kres polityki wstydu, wpełniłem nas wszystkich we wstyd permanentny. Przyjaciółka z Francji pisze: „Co się stało z Polakami, których miałam za najrozsądniejszych ludzi w Europie?”. Co mam jej odpowiedzieć? Przyszły takie czasy, że u nas kompromitację nagradza się kwiatami, oklaskami i cmokaniem. Przegrasz 27:1? Kwiaty. Ba, żeby tam kwiaty – premia, no bo przegrana była naprawdę w wielkim stylu. Proponuję w podobny sposób motywować naszych zawodników: jeśliby, nie daj Boże, przegrali jakiś mecz na mundialu, zapłacić podwójnie. A jak wynik dwucyfrowy, to potrójnie. No co, nie stać nas?

W domu rodzinnym i w szkole powtarzano: ucz się od innych. Nasłuchuj, co mówią, podpatruj, co robią, nie powtarzaj ich błędów, czerp natchnienie z ich sukcesów. Doświadczenie Solidarności niosło ze sobą inną jeszcze naukę: współpracuj. Nie

jestes na tym świecie sam – ani jako jednostka, ani jako naród czy społeczeństwo. Szukaj tego, co cię z innymi łączy, słabszym pomagaj, silniejszych namów, żeby pomogli tobie. Jeśli mamy przetrwać, to tylko zjednoczeni. Po przełomie 1989 r. garmiliśmy się do świata: jedni z ciekawości, inni – żeby szybko zarobić, jeszcze inni i, żeby zobaczyć, jak tam jest i jak może być u nas. Kiedy staliśmy się częścią Unii Europejskiej, nawet najwięksi malkontenci musieli przyznać, że zyski przeważają nad stratami. Teraz głowie państwa nasza obecność w Unii kojarzy się z zaborami. Powtórzę, co już kiedyś tu napisałem: są czasy postmodernizmu i każdemu wolno kojarzyć wszystko ze wszystkim. Tylko po co?

Dziś karierę robi polityka oparta na założeniu, że najlepiej całemu światu pokazać wałę. Wyjść i wykrzyknąć innym w twarz, że ma się gdzieś, co o nas myślą. Ważne przecież, co my sami o sobie myślimy. Niech myśłą o nas po naszej myśli, a jak nie, to trudno, ich sprawa.

W tym wszystkim mamy szczęście, że taka polityka nie jest tylko naszą specjalnością. Kiedy dopada mnie wstyd z powodu tego, co słyszę w swojej ojczyźnie, natychmiast odzywa się głosik przypominający: „A Amerykanie? Tym dopiero musi być niewyraźnie”. Kraj, który co roku wydaje przynajmniej jednego noblistę, światowa potęga w dziedzinie nauk i technologii, ojczyzna wybitnych pisarzy, malarzy i filmowców, z klasą polityczną wykształconą na najlepszych uniwersytetach... I co? Internet ma nieustającą bekę. Ameryka na pierwszym miejscu. Nami na szczęście nikt się aż tak nie interesuje.

„Ważne jest świadectwo hańby, które człowiek sobie sam wystawia”, pisał Lec. Święte słowa, tyle że od jakiegoś czasu nie lubię rzeczownika „hańba” ani przymiotnika „haniebny”. Nadużywane, straciły swoją moc. Są tacy, którym wciąż sprawiają wyraźną przyjemność, ale nie mnie. Wolę pozostać przy „śmieszności” i „głupocie”, wolę myśleć, że kompromitacja nie jest na zawsze, że można się jeszcze podnieść, otrześć, poprawić marynarkę i krawat. Wierzę – no tak, robię się coraz starszy – w głos sumienia, który w końcu każe się zatrzymać i zawrócić, ugryźć w język, zasięgnąć opinii mądrzejszych. Moja wiara jest, jak w znanym wierszu, ślepa i właściwie bez podstaw. Ale innej nie mam, więc trzymam się takiej. ©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Zapraszamy
na „Lekcje
czytania”



**O poezji po dwakroć na gdańskim
festiwalu Europejski Poeta Wolności**

23 marca w bibliotece American Corner odbędą się dwie lekcje czytania, w których wezmą udział m.in. uczniowie II LO w Gdańsku. O godz. 10.00 KRYSZYNA DĄBROWSKA będzie rozmawiać o „Rybie” Elizabeth Bishop, a o godz. 12.00 z licealistami spotka się PIOTR ŚLIWIŃSKI, by dyskutować o wierszu „Do prostego człowieka” Juliana Tuwima. Program festiwalu dostępny na europejskipoetawolnosc.pl

**„Lekcje czytania” na V Festiwalu Literatury
„Przeczytani” w Bydgoszczy**

26 marca w VI LO odbędą się dwa spotkania:
o godz. 12.00 z GABRIELEM BOROWSKIM uczestnicy będą rozmawiać o „Kukle Kokoschki” Afonso Cruza,
a o godz. 14.00 odbędzie się spotkanie z MICHAŁEM MIZERĄ i interpretacjami „Wesela” Wyspiańskiego. Więcej o Festiwalu na [@przeczytani](https://www.facebook.com/przeczytani)

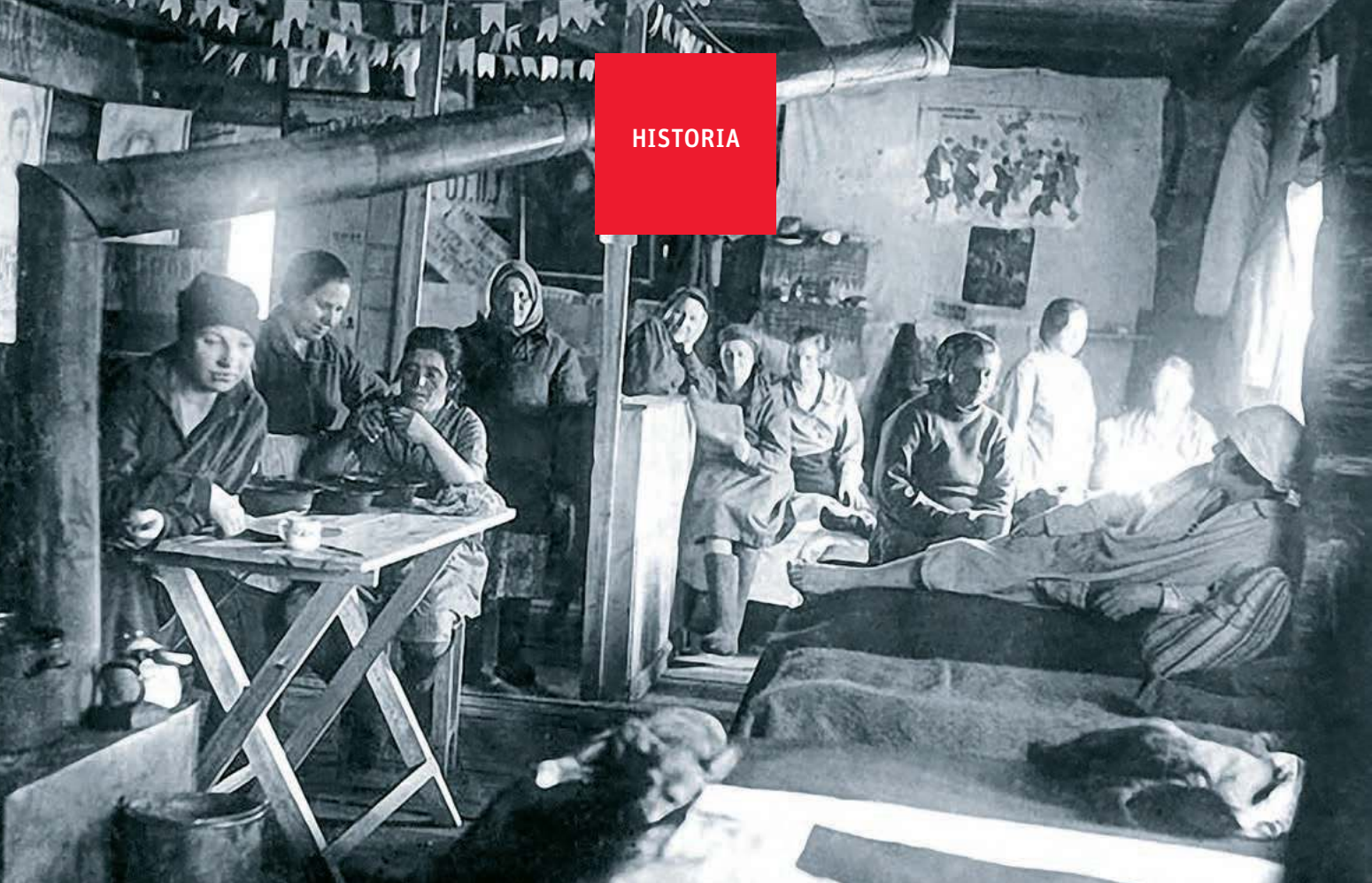
■ Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania”
– napisz: lekjeczytania@tygodnik.com.pl



Operator Programu
Europejskie Miasto Literatury UNESCO



Projekt powstaje na zlecenie Krakowskiego Biura Festiwalowego w związku z realizacją programu Kraków Miasto Literatury UNESCO



Workuta za kołem podbiegunowym, rok 1945. W latach 1938-60 w obozach więziono tam m.in. zesłanych Estończyków, Łotyszów i Litwinów.

OPERACJA „PRZYBÓJ”

Choć była to jedna z największych akcji deportacyjnych po II wojnie światowej, to poza krajami bałtyckimi – których narody dotknęła – jest dziś niemal nieznana.

JOANNA HYTREK-HRYCIUK

GDYBY NIE OKOLICZNOŚCI, GDYBY NIE ludzki dramat i cierpienie, można by powiedzieć, że było to wyjątkowe osiągnięcie logistyczne. W ciągu zaledwie trzech dni, między 25 a 28 marca 1949 r., w głąb Związku Sowieckiego wywieziono 90 tys. mieszkańców krajów bałtyckich, zajętych na nowo przez Armię Czerwoną. Głównie kobiety i dzieci. Zważywszy na to, że Estończyków było niespełna półtora miliona, Łotyszy niecałe dwa miliony, a Litwinów kilka milionów – była to liczba bardzo duża.

Dziś, 69 lat po tych wydarzeniach, wspomnienie o ofiarach deportacji wciąż jest

obecne w polityce, sztuce i pamięci zbiorowej tych trzech narodów.

Cel: złamać opór

Bezpośrednim powodem wydania rozkazu o deportacji była chęć złamania oporu przeciw reformie rolnej i likwidacja prywatnych gospodarstw. Jednocześnie władze sowieckie chciały pozbawić zaplecza „leśnych braci” – tak nazywano antykomunistyczne oddziały partyzanckie, działające w tym regionie. Akcja była wreszcie elementem sowietyzacji regionu. Rok wcześniej członek KC KPZR, Andriej Żdanow, raportował do Józefa Stalina, że

„kolektywizacja Pribaltyki jest utrudniana przez burżuazyjnych nacjonalistów i ich uzbrojone bandy”.

Przygotowania rozpoczęto w styczniu 1949 r. Na podstawie dokumentów NKWD powstały listy „antysowieckich” działaczy, rodzin „kułaków” (tj. chłopów uważanych za zamożniejszych), a także osób spokrewnionych z ujętymi lub straconymi żołnierzami podziemia. W celu zachowania pozorów funkcjonariusze chodzili od wsi do wsi i nakazywali „identyfikację” elementów „wrogich ludowi”. Członkini Komsomołu wspominała: „Sekretarz partii lub przewodniczący komi-

tetu wykonawczego przychodził i mówił nam: »napiszcie teraz list, że taka a taka rodzina to kulacy«. Niektórzy z nas byli chętni i skłonni do napisania, inni jednak protestowali (...). Moim zdaniem lista była już sporządzona i nasze listy miały jedynie poprzeć jej autentyczność».

Deportacja obejmowała zwykle całe rodziny. Pod eskortą funkcjonariuszy NKWD, w bydlęcych wagonach miały jechać do Omska, Irkucka, Krasnojarska czy Nowosybirsk. Choć akcja była skoordynowana z lokalnymi władzami, liczone się z koniecznością użycia siły. Zmobilizowano więc dodatkowo oddziały wojskowe i aktywistów partyjnych.

Na mrozie i we łzach

Operacja, której nadano kryptonim „Przybój” (ros. „Прибой” – nazwa, oznaczająca załamywanie się fal o brzeg, miała zapewne kojarzyć się z Morzem Bałtyckim), zaczęła się wczesnym rankiem 25 marca.

Dwie godziny, jakie deportowani otrzymali na spakowanie rzeczy osobistych, niekiedy skracano do 10 minut. Wszystko zależało od eskorty. Bywało i tak, że eskortujący dawali wysiedlanym rady, co zabrać, żeby przetrwać „na nieludzkiej ziemi”. Inni z kolei spisywali majątek należący do wysiedlanych, przy okazji kradnąc cenniejsze rzeczy.

„Widziałem płaczące dzieci i ja też kiedyś tak płakałem, że łzy po prostu tryskały” – wspominał już po latach zaangażowany w deportację partyjny aktywista. W jednym z gospodarstw enkawudziści trafili na stypę po śmierci gospodarza. Zgromadzoną rodzinę i przyjaciół zapakowano na sanie. Na wszelki wypadek bagnietem przebito trupa, aby upewnić się, czy nie udaje. W innym obejściu gospodarz podpalił stodołę i dom, zabił zwierzęta, a na końcu popełnił samobójstwo.

Niektórym udało się zbiec. Wśród nich była Taimi Kreitsberg. Kobieta przez kilka miesięcy ukrywała się w lesie, aż wyczerpana, zrezygnowana i pozbawiona pomocy sama zgłosiła się na posterunek bezpieczeństwa. „Przez jakiś miesiąc włóczyli mnie po lasach i gospodarstwach krewnych »leśnych braci«, posyłając mnie do nich jako prowokatorkę, bym prosiła o jedzenie i schronienie, podczas gdy na zewnątrz czaili się cekiści” – wspominała. – „Zawsze mówiłam ludziom: »Przegrajcie mnie, bezpieka zmusiła mnie, bym tu przysłała«. Wreszcie [enkawudziści] zorientowali się, że na nic się nie przydam, i od-



RAIGO PAJULA / AFP / EAST NEWS

Estończy obchodzą kolejną rocznicę wielkiej deportacji na Syberię. Tallin, marzec 2011 r.

dali mnie jakimś rosyjskim żołnierzom, by mnie zgwałcili. Nie miałam wtedy jeszcze szesnastu lat”.

Niemal dokładnie cztery lata później, w marcu 1953 r., po dwugodzinnej wymianie ognia bezpieka zlikwidowała ostatni estoński oddział partyzancki. Wśród ośmiu zabitych były trzy kobiety, które uciekły przed deportacją, i od tego czasu ukrywały się w lesie.

Byli też tacy, którzy mieli szczęście. Z powodu problemów ze znalezieniem sprawnych łodzi nie przeprowadzono wywózek na dwóch bałtyckich wyspach, Abruce i Vilsandi, co uratowało przed deportacją 60 osób.

Na nieludzkiej ziemi

Na pierwszym etapie deportowanych transportowano, najczęściej saniami, do stacji kolejowych. Dalsza droga odbywała się eskortowanymi pociągami (konwojenci mieli zapobiegać ucieczkom). Wywożeni byli w drodze szpiegowani, podsłuchiowano np. rozmowy w trakcie rozdzielania żywności czy dłuższych postojów. Szczególnie przyglądano się tym, którzy próbowali wysłać wiadomości. Mimo to 12 osobom udało się uciec. Prze-

chwycono też blisko sto listów, w których deportowani skarżyli się na tragiczne warunki podróży (brak ogrzewania i wody) i żegnali z bliskimi.

Zgodnie z planem operacja „Przybój” trwała trzy dni. Ostatnie pociągi odjechały rankiem 29 marca. W głąb państwa sowieckiego wysłano łącznie ponad 40 tys. kobiet, ponad 24 tys. mężczyzn oraz 25 tys. dzieci (jak odnotowano skrupulatnie w aktach, najmłodsze miało trzy tygodnie, nie przeżyło podróży).

Wśród deportowanych było ponad 20 tys. Estończyków, 25 tys. Litwinów i ponad 39 tys. Łotyszów. Osiedleni na Syberii, pracowali głównie w kołchozach i sowchozach. Gnieźdźdźli się w ziemiankach i barakach, wegetując w prymitywnych warunkach. Największe szanse przeżycia miały te rodziny, w których pracowali wszyscy, także dzieci. Najmniejsze – liczne grono osób starszych, które w warunkach zesłania umierały zwykle w ciągu pierwszego roku.

W sierpniu 1949 r. funkcjonariusze i żołnierze biorący udział w operacji zostali odznaczani za wzorową służbę w trakcie przedsięwzięcia. Ale z punktu widzenia Moskwy deportacja okazała się połowicznym sukcesem. Wprawdzie opór wobec

→ kolektywizacji został złamany i liczba kolchozów rosła, ale „leśni bracia” pozostali aktywni aż do 1953 r.

Wysiedleni z krajów bałtyckich mogli wrócić do domów dopiero w 1956 r. Ale zwolnienie z zesłania nie następowało automatycznie i było obciążone biurokratyczną mitręgą. Ostatni deportowani powrócili do domów dopiero w 1965 r.

Pamięć ciała

„W 1949 r. coś pękło w duszy narodu” – tak podsumował deportacje w swej książce o dziejach Estonii w latach 1944-56 Mart Laar, po 1991 r. dwukrotny premier niepodległego już kraju i założyciel Towarzystwa Dziedzictwa Narodowego. Mart Laar, z wykształcenia historyk, jeszcze w latach 80. XX w. wraz z grupą przyjaciół zbierał relacje Estończyków, którzy po 1945 r. byli zaangażowani w opór wobec władz sowieckich.

Problem narodowej traumy i konieczności upamiętnienia tej „wojny po wojnie” wrócił w 2005 r., gdy estoński prezydent Arnold Rüütel oświadczył, że nie pojedzie do Moskwy na obchody 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej, gdyż w 1945 r. odniesiono owszem zwycięstwo nad faszyzmem, ale narzucono też Estończykom sowiecki reżim totalitarny. Odmowa prezydenta miała praktyczne skutki: dzień po moskiewskich uroczystościach Estonia miała podpisać układ o ostatecznym ustaleniu granicy z Rosją. Prezydent postawił jednak na swoim – choć do Moskwy nie pojechał, układ i tak podpisano, tylko miesiąc później.

Tematem zainteresowali się również artyści. W 2011 r. Ūlp Pikkov nakręcił 10-minutowy film animowany „Pamięć ciała” („*Keha mälu*”). Niezwykle poruszająca w treści i formie produkcja nie tylko upamiętnia deportacje z 1949 r. W sposób metaforyczny pokazuje także, że nasze ciała pamiętają więcej, niż nam się wydaje, również traumę przodków.

Tragedię deportacji, w której ich kraj stracił trzy procent ludności, co roku upamiętniają zwykli Estończycy, na głównych placach miast stawiając białe świece. © JOANNA HYTREK-HRYCIUK

Cytowane wspomnienia pochodzą z książki Marta Laara „Wojna w lesie. Walka Estończyków o przetrwanie 1944–1956” (wyd. pol. 2008). Dane liczbowe za: Aigi Rahi-Tamm, Andres Kahar „The Deportation Operation Priboi in 1949”.

Warto dzielić włos na czworo

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Czy Polska okupowała Ukrainę? A jeśli tak, to kiedy? Wbrew pozorom nie jest to pytanie tylko dla historyków. Ono dziś powraca w dyskusji politycznej.

IM BARDZIEJ ZAOSTRZA SIĘ POLSKO-UKRAIŃSKI spór o historię XX stulecia, tym częściej na Ukrainie określa się przynależność Galicji Wschodniej i Wołynia do II Rzeczypospolitej mianem „polskiej okupacji”. Nie tylko w mediach – w 2017 r. znalazło to wyraz m.in. w napisie na pomniku ku czci bojowników Sicz Karpackiej (próby utworzenia ukraińskiego państwa na terenie obecnego ukraińskiego Zakarpacia wiosną 1939 r.), rzekomo zamordowanych przez „polskich i węgierskich okupantów”. Zdarza się też, że za okupację uznaje się także wcześniejsze panowanie Korony Polskiej (od XIV stulecia!), a potem I Rzeczypospolitej na ziemiach uznawanych za etnicznie ukraińskie.

Poglądy te wywołują u nas sprzeciw i oburzenie. Czy jednak do końca słusznie? Z pewnością nie można mówić o tym, aby w okresie dwudziestolecia międzywojennego władza Warszawy na Kresach miała charakter okupacyjny. Jednak przez krótki wojenny okres Polska rzeczywiście okupowała te ziemie.

Okupacja nie musi być krwawa

Myśląc w Polsce o okupacji, siłą rzeczy przywołujemy wspomnienie niemieckiej okupacji z lat 1939-45: brutalnej, zbrodniczej, będącej jednym z najgorszych doświadczeń w dziejach narodu. Ale okupacja nie musi być brutalna ani zbrodnicza. Niemiecko-austriacka okupacja ziem zdobytych na imperium carskim – centralnej Polski, części obecnej Białorusi i Ukrainy – w latach 1915-18 taką nie była. O tym, czy mamy do czynienia z okupacją, czy też nie, decyduje formalne uzasadnienie władzy nad danym terytorium, a nie sposób jej wykonywania.

Po II wojnie światowej terytorium Rzeszy Niemieckiej (która, podpisując bezwarunkową kapitulację, rzekła się suwerenności) było okupowane do czasu ustanowienia przez okupantów suwerennych państw na tym terytorium: dwóch państw niemieckich w 1949 r. i Austrii w 1955 r.; z kolei okupacja zachodniej części Berlina trwała aż do 1989 r. Ta okupacja przynajmniej w strefach mocarstw zachodnich nie była zbrodnicza (choć bywała brutalna). Tak na marginesie: w wykonywaniu władzy okupacyjnej w Niemczech my także przez pewien czas braliśmy udział – jako żołnierze Ludowego Wojska Polskiego w strefie sowieckiej i w ramach Polskiej Siły Zbrojnej na Zachodzie – w strefie brytyjskiej.

Psucie języka i myślenia

W ostatnim okresie w mediach coraz częściej spotyka się utożsamianie okupacji z aneksją czy też zaborem, tj. narzuceniem siłą obcego panowania. Stąd wskazane na wstępie mówienie o „wielowiekowej okupacji” Rusi Czerwonej przez Polskę czy ziem Rzeczypospolitej, zagarniętych podczas rozbiorów przez Rosję itd. To mylne pojęcie szerzy się tak w Polsce, jak i na Ukrainie głównie pod wpływem angielskiego słowa „*occupation*”, które ma znacznie szersze znaczenie (oznacza m.in. legalne posiadanie nieruchomości, a nawet „zajęcie” w znaczeniu „zawodu”). Tymczasem okupacja w rozpatrywanym tu znaczeniu to po angielsku „*military occupation*”.

Tego rodzaju generalizacje (bo jest ich multum), uproszczenia, zacieranie źrónicowań to nie tylko psucie języka, ale też psucie myślenia. Utrudniają one, a nawet uniemożliwiają właściwy opis zjawisk.





Protest przed ambasadą polską przeciwko nowej ustawie o IPN. Napis na plakacie głosi: „Okupanci Zachodniej Ukrainy z lat 1918-39 pod sąd”. Kijów, 5 lutego 2018 r.

Okupacja nie jest aneksją (zaborem), czyli włączeniem zagarniętego terytorium do własnego państwa, poddaniem go własnemu prawu. Jest to z założenia tymczasowa zwierzchność państwa nad terytorium państwa obcego, zajętego podczas działań wojennych, trwająca do ustanowienia formalnego pokoju (choć często dłuższy czas po ustaniu działań wojennych). Jeśli na mocy porozumienia pokojowego terytorium okupowane przechodzi pod suwerenną władzę dotychczasowego okupanta, okupacja się kończy. Określa to konwencja haska z 1907 r., w której po raz pierwszy zdefiniowano pojęcie okupacji.

Sto lat temu

Nikt nie kwestionuje tego, że w latach 1918-20 Wojsko Polskie zajęło zbrojnie część terytorium byłego Imperium Rosyjskiego (poza granicami Królestwa Polskiego), a także część monarchii austro-węgierskiej, na której w listopadzie 1918 r. ukonstytuowała się Zachodnioukraińska Republika Ludowa (ukraiński skrót: ZUNR). Nie ma też wątpliwości, że władza wprowadzana na tych terenach zaraz po ich zajęciu miała charakter tymczasowy, prowizoryczny, czyli właśnie okupacyjny – nawet jeśli Warszawa traktowała te tereny jako przyszłą część Rzeczypospolitej.

Na terenach dawnego zaboru rosyjskiego powstał Tymczasowy Zarząd Ziem Wschodnich, będący w świetle prawa międzynarodowego władzą okupacyjną. Podobnie w Galicji Wschodniej, bezpo-

średnio po jej zajęciu wiosną 1919 r., administracja polska miała charakter tymczasowy, a jej pełnomocnictwa wynikały z decyzji Ententy (mocarstw zwycięskich w I wojnie światowej) z czerwca 1919 r., gdyż to jej Cesarstwo Austrii (negocjacje pokojowe z Węgrami toczyły się odrębnie) przekazało władzę suwerenną nad większością swego terytorium.

Stan okupacji Wołynia i ziem białoruskich zakończył traktat ryski, w którym bolszewicka Rosja i bolszewicka Ukraina (Związek Sowiecki jeszcze nie istniał) scedowały je na rzecz państwa polskiego. Rzeczpospolita miała więc prawo – i powinność! – zaprowadzić na tych terytoriach swą władzę suwerenną i porządek prawny. Z punktu widzenia ówczesnego prawa międzynarodowego taka aneksja była w pełni legalna.

Z Galicją Wschodnią było inaczej. Ententa najpierw próbowała przekształcić ten region w polskie terytorium mandatowe (podobnie jak poniemieckie terytoria kolonialne), na którym po 25 latach miał się odbyć plebiscyt rozstrzygający o jego przyszłości. Dała się jednak przekonać dyplomacji polskiej o niecelowości takiego rozwiązania i w marcu 1923 r. przekazała Polsce prawa suwerenne do Galicji Wschodniej, co formalnie zakończyło okres okupacji.

Ta decyzja Ententy także była w pełni legalna. Uznał ją zresztą także rząd ZUNR, rezydujący w tym czasie w Wiedniu, rozwiązując się w dniu jej ogłoszenia. Nie uznały jej natomiast elity ukraińskie Gali-

cji Wschodniej, które przez cały okres międzywojenny kwestionowały legalność polskiej władzy. Miało to znaczenie polityczne, ale nie miało znaczenia prawnego.

Warto też przypomnieć, że ZUNR w styczniu 1919 r. zjednoczyła się z nadnieprzańską Ukraińską Republiką Ludową, ta zaś wiosną 1920 r. scedowała Galicję Wschodnią na rzecz Polski. I choć tamto porozumienie nie nabrało mocy prawnej (nie zostało ratyfikowane przez parlament żadnej ze stron), dla Ententy nie była to okoliczność bez znaczenia.

Państwo prawa (także międzynarodowego)

Ktoś może powiedzieć, że to prawnicze dywagacje, dzielenie włosa na czworo itd. Ale na tym właśnie (oczywiście: tylko między innymi) polega życie w państwie prawa. Na tym mianowicie, że normy prawne i oparte na nich decyzje traktujemy nie tylko z powagą, ale przede wszystkim – z należnym rozumieniem. Że nie zastępujemy formalnego języka prawa potocznym językiem publicystyki i sporów internetowych. Tym bardziej że ten drugi ewoluuje coraz szybciej, a prawo potrzebuje języka stabilnego, w którym znaczenie terminów nie zmienia się z roku na rok.

Można zatem uznać, że z ukraińskiego punktu widzenia Galicja Wschodnia i Wołyń pozostawały w dwudziestolecu w polskiej niewoli czy pod polskim zaborem. Podobnie jak my mamy prawo uważać, że w tym samym czasie w niemieckiej niewoli (pod niemieckim zaborem) pozostawały Śląsk Opolski i Mazury. Nie można natomiast mówić, że były to terytoria okupowane. Bo o tym decyduje nie nasze (polskie, ukraińskie, czyjekolwiek) widziśnię, lecz prawo międzynarodowe. ©

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI jest emerytowanym analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. M. Karpią w Warszawie. Autor książek, m.in. „Historia Ukrainy w XX wieku”, „Trud niepodległości. Ukraina na przełomie tysiącleci”.

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM
| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

NAJSMUTNIEJSZY PISARZ ŚWIATA

Chłopiec z powieści Coetzeego ma zbawić wyprany z transcendencji świat.
Ale ten świat wcale nie chce być zbawiony.

MICHAŁ SOWIŃSKI

JOHAN MAXWELL COETZEE TO JEDEN Z NAJBARDZIEJ SKRYTYCH I CENIĄCYCH SOBIE PRYWATNOŚĆ PISARZY WSPÓŁCZESNYCH. W 2003 r. otrzymał literackiego Nobla, wcześniej dwukrotnie Nagrodę Bookera (w 1983 r. za „Życie i czasy Michaela K.”, w 1999 r. za „Hańbę”). W Sztokholmie się pojawił, ale już żadnego z Bookerów nie odebrał osobiście. „Nie jestem sobie w stanie wyobrazić niczego, co byłoby bardziej obliczone na uczynienie mnie nie-szczęśliwym” – tłumaczył. Unika wywiadów i spotkań z czytelnikami. Jeden z jego przyjaciół powiedział, że przez dekadę znajomości tylko raz widział uśmiech na twarzy pisarza.

Nic więc dziwnego, że wydana w 2014 r. obszerna biografia „*J. M. Coetzee: A Life in Writing*” autorstwa J.C. Kannemeyera budzi zainteresowanie. Noblista po raz pierwszy opowiedział o swoim życiu – także o sprawach najtrudniejszych, jak śmierć syna, choroba córki czy rozpad małżeństwa. Odmówił tylko rozmowy o swoich księżkach.

Ślady autora

Urodził się w 1940 r. w Kapsztadzie. Jego afrykanerskie nazwisko jest mylące – rodzice należeli do anglojęzycznej mniejszości. Problem tożsamości (a właściwie braku przywiązania do niej) zawsze odgrywał ogromną rolę w jego życiu. Gdy po Noblu prasa afrykanerska zaczęła go nazywać „swoim” pisarzem, stwierdził tylko, że skoro tego chcą, to im nie zabroni.

Wychowywał się w typowej rodzinie z klasy średniej. Wbrew woli ojca utrzymywał kontakty z dziećmi innych nardowości. Studiował jednocześnie literaturę angielską i matematykę na uniwersytecie w Kapsztadzie – obie skończył z wyróżnieniem. W 1962 r. zaczął pracować w londyńskiej siedzibie IBM jako programista. Po latach wspominał to doświadczenie jako najważniejszą lekcję stylistycznej pokory: cały dzień pracy i w najlepszym razie pięć nowych linijek komputerowego kodu. Kilka lat później wyjechał do USA. Tam obronił doktorat poświęcony Samuelowi Beckettowi. Co ciekawe, była to analiza stylu irlandzkiego pisarza dokonana przy pomocy komputera (przypomnijmy, że działo się to w końcówce lat 60.). Wykładał na uniwersytecie w Buffalo, angażował się tam w protesty przeciwko wojnie w Wietnamie. W 1971 r. wrócił do RPA z prawie skończoną pierwszą powieścią, czyli „Ciemnym krajem”. W ojczyźnie kontynuował pracę wykładowcy, szybko doczekał się tytułu profesora. W 2002 r. zdecydował się opuścić RPA (między innymi z powodów politycznych) i przeprowadził się do Adelajdy w Australii, gdzie mieszka do dziś.

Coetzee wielokrotnie powtarzał, że każda opowieść jest formą autobiografii, tak samo jak każda autobiografia jest formą opowieści. Ta banalna fraza nabiera w jego przypadku nowego znaczenia. Całą prozę poprzedzał bowiem wątkami osobistymi, nie tylko trzyczęściowy

cykl wprost autobiograficzny („Chłopięce lata”, „Młodość”, „Lato”). W ostatniej części cyklu uczynił siebie jedną z postaci, którą ostatecznie uśmierca – jednak większa część opowiedzianej historii pokrywa się z ustaleniami biografa.

Niezwykle poruszający jest w tym kontekście „Mistrz z Petersburga”, napisany przez Coetzeego dwa lata po tragicznej śmierci syna, który wypadł z 11 piętra. W powieści do Petersburga przybywa zrozpaczony Fiodor Michajłowicz, by wyjaśnić okoliczności śmierci swojego pasierba, który również spadł z dużej wysokości. Elementem dodatkowo komplikującym autobiograficzną grę jest postać Elizabeth Costello, pisarki i akademicki. Coetzee często wykorzystuje ją jako swoje *porte-parole* i dzieli z nią niemalże wszystkie cechy poza płcią.

Świat i opowieści

Gdyby więc spojrzeć na pisarstwo Coetzeego z tej perspektywy, okaże się, że nie jest on wcale autorem zamkniętym i skrytym. Można u niego dostrzec nawet rodzaj ekshibicjonizmu, który nakazuje niemal każde życiowe doświadczenie przekuć w opowieść. Dlaczego?

Warto w tym miejscu przytoczyć jeszcze jedną anegdotę. Gdy w 2000 r. „The Guardian” chciał wysłać Coetzeego do Izraela, by napisał raport o sytuacji politycznej →

John M. Coetzee, 2006 r.



→ w tym kraju, spotkał się z kategoryczną odmową. „To jeden z najdziwniejszych aspektów literackiej rozpoznawalności: wyrabiasz sobie nazwisko jako pisarz, jako ten, kto wymyśla opowieści, ale ludzie nagabują cię, abyś wygłaszał przemowy na temat tego, co sądzisz o świecie” – tłumaczył Coetzee. Jakby świat i literatura były dwoma odrębnymi, niemającymi z sobą nic wspólnego bytami. Tu właśnie tkwi odpowiedź na pytanie, dlaczego Coetzee odmawia kontaktu ze światem. Otóż w istocie sytuacja wygląda odwrotnie – on komunikuje się z nim nieustannie, ale wyłącznie przez literaturę, którą traktuje z najwyższą powagą.

Literatura nie jest zatem żadnym uzupełnieniem czy też przetworzeniem „prawdziwego doświadczenia”. Dla Coetzeego literatura to nie medium, lecz substancja wypełniająca rzeczywistość – na tyle szczelnie, że nie ma już miejsca na odautorski komentarz. Genialnym przedstawieniem tego procesu jest eksperymentalna w formie powieść „Zapiski ze złego roku”, gdzie czytelnik zostaje skonfrontowany z trzema różnymi i często niedającymi się uzgodnić opowieściami o świecie, które jednak ze względu na specyficzną formę składu przewijają się równolegle przed jego oczami. Musimy wybierać, którą narrację przeczytamy najpierw, a którą jako uzupełnienie. To rozbieżne złączenie najpełniej oddaje to, jak Coetzee rozumie literaturę.

Jest ona dla niego całościowym i totalnym projektem, w którym nie rozróżnia się fikcji i prawdy. Nie ma tu miejsca na alegorię, która z definicji odsyła z jednego porządku znaczeń w inny. W świecie, który nie może (albo też nie chce) być zbawiony, jest to niemożliwe.

Llave maestra

Do portu w państwie bez nazwy (nie wiemy nawet, na jakim kontynencie) zawija statek pełen migrantów. Wśród nich starszy mężczyzna oraz pięcioletni chłopiec. Nie są spokrewnieni, Simon jedynie tymczasowo opiekuje się Davidem. Chłopiec miał ponoć na szyi list, który wyjaśniał jego historię, ale list podczas przeprawy zaginął. W urzędzie imigracyjnym nadano obu nową tożsamość; pozbawieni przeszłości mają zacząć nowe życie.

Oto początek „Dzieciństwa Jezusa”, powieści, której kontynuacja, czyli „Lata szkolne Jezusa”, właśnie ukazała się w polskim przekładzie. Ten Jezusowy dyptyk

Dla Coetzeego literatura to nie medium,
lecz substancja wypełniająca rzeczywistość – wypełniająca ją na tyle szczelnie, że nie może być już miejsca na odautorski komentarz.

jest formalnie dość konwencjonalny. Pozbawiony zwrotów akcji, za to pełen długich tyrad oraz dialogów roztrząsających elementarne kwestie filozoficzne, stanowi kolejny w dorobku autora test wytrzymałościowy literatury. Dziwna i – pozornie – tajemnicza przypowieść zbiera najważniejsze wątki prozy Coetzeego, podając je w nowej, jeszcze bardziej odsłoniętej, już prawie nagiętej formie.

W otwierającym dyptyk rozdziale Simon i David trafiają do ośrodka dla migrantów i przyznany im zostaje tymczasowy pokój. Choć należy do nich, nie mogą wejść – gdzieś zagubił się klucz. Simon jednak nie poddaje się i krąży po ośrodku w poszukiwaniu rozwiązania. Jego hiszpański (to język obowiązujący w tym bezimiennym kraju) wciąż nie jest perfekcyjny, więc pyta napotkaną kobietę, czy posiada *llave universal* (klucz uniwersalny). Ta poprawia go – prawidłowa nazwa to *llave maestra*. „Nie istnieje taka rzecz jak *llave universal*. Gdybyśmy mieli *llave universal*, skończyłyby się wszystkie nasze kłopoty” – mówi Simonowi.

To nawiązanie do Kafkowskiego „Przed prawem”; zresztą Kafka patronuje prozie Coetzeego od samego początku. Kiedyś Walter Benjamin określił prozę Kafki mianem alegorii, do której zgubiono klucz. Metafora okazała się na tyle nośna, że na wiele dekad uprawomocniła te odczytania Kafki, wedle których sens jego powieści, choć obecny, pozostaje dla nas na zawsze niedostępny. Coetzee czyni z tej sytuacji zaledwie punkt wyjścia. Według niego sens istnieje, znajduje się wręcz na wyciągnięcie ręki. Problem tkwi raczej w tym, że jest go w nadmiarze i nie daje się uzgodnić.

Świat bez Boga

W tytułach obu części pojawia się imię Jezusa, ale w samej powieści go nie znajdziemy. Wzmianka o Bogu pojawia się tylko raz, jakby przypadkiem, we fra-

zie „Bóg jeden wie”. David pyta wtedy Simona, kim jest Bóg, na co ten opowiada, że kimś zbyt odległym, aby z nim porozmawiać. Sama struktura powieści wyraźnie jednak sugeruje, że to właśnie chłopiec ma zbawić ten wyprany z transcendencji świat. Tyle że świat wcale nie chce być zbawiony. Kim zatem jest David?

Wciąż powtarza się, że to niezwykle chłopiec, obdarzony niecodzienną wyobraźnią i wrażliwością. Jego sposób postrzegania świata jest inny niż pozostałych. Simon stara się przekazać mu własne (ale też powszechnie obowiązujące) kategorie i pojęcia, lecz ten nie chce ich przyjąć. Gdy Simon próbuje nauczyć go czytać, David odrzuca alfabet i zaczyna wymyślać własne słowa i język. Odrzuca także podstawy arytmetyki – dla niego liczby nie są abstrakcyjnymi symbolami, raczej osobnymi, wiodącymi własne życie bytami.

Nauka czytania nie odbywa się na przykładowym tekście – Simon wypożycza w tym celu dziecięcą wersję „Don Kichota”. Chłopiec w pełni utożsamia się z błędnym rycerzem i jego niezgodą na uznanie świata takim, jakim widzą go inni. David i Simon, podobnie jak Don Kichot i Sancho, są skazani na siebie. Próbuje bez skutku przekonać się nawzajem co do sposobu, w jaki istnieje świat. Coetzee przywołując tę pierwszą w dziejach Zachodu powieść pokazuje, że literatura zatacza koło. Jest odbiciem naszego świata (albo odwrotnie), ale niczego nie może w nim zmienić ani naprawić.

Lata szkolne

Momentem przełomowym w życiu Davida jest pójście do szkoły. Odrzuca konwencjonalną wiedzę, upierając się przy swoim dziwnym podejściu do świata symboli. Władze szkolne decydują się na drastyczny krok i wysyłają go do specjalnej placówki, gdzie ma nadrobić zaległości w nauce.

David szybko stamtąd ucieka, a Simon zabiera go do innego, choć bliźniaczo podobnego miasta. Tu Coetzee robi cięcie – kończy się pierwsza część poświęcona dzieciństwu Davida-Jezusa, a zaczyna się druga, poświęcona jego „latom szkolnym”. Choć fabularnie nie ma między nimi żadnej przerwy (co więcej, czytanie najnowszej powieści noblisty w oderwaniu od poprzedniej nie ma sensu), to autor zdecydował się wydać je osobno, bezpośrednią kontynuację sugerując jedynie poprzez tytuły. Zaznaczone tu przejście ma

fundamentalne znaczenie – koniec wieku niewinności, w którym dopuszczalne jest funkcjonowanie w oderwaniu od rzeczywistości i początek edukacji rozumianej jako uspołecznienie, czyli wejście w sieć międzyludzkich zależności i funkcjonowanie w ramach mocno już ukonstytuowanej wspólnoty. David konsekwentnie odwołuje się do niej, a całe napięcie powieści – szczególnie jej drugiej części – zbudowane jest właśnie na tej odmowie.

Rozwiązaniem kompromisowym okazuje się Akademia Tańca, do której David trafia w nowym mieście. Obowiązują w niej niekonwencjonalne metody nauczania: arytmetykę zastępuje mglista numerologia, wyrażana poprzez taniec. Chłopiec jest zachwycony, gdyż nowa nauczycielka pokazuje mu świat, który w końcu uznaje za prawdziwy. Simon pozostaje sceptyczny – próbuje zrozumieć Davida, ale nie potrafi. Ich światy już nie są w stanie się spotkać.

Bez mała 600 stron powieściowego dypłyku sprowadza się właśnie do tej sytuacji. W tym sensie obie ostatnie powieści Coetzee'a są konsekwentną realizacją jego pomysłu na literaturę. Często nazywa się go

pisarzem wyzbytym namiętności, operującym słowem niczym skalpelem. Istotnie, kolejne swoje fabuły coraz bardziej odziera z wszelkich ozdóbek, i to zarówno na poziomie akcji, jak i emocji. Powstaje czysta, aseptyczna wręcz sceneria, w której w całej okazałości możemy zobaczyć postaci dramatu – Davida, który bez reszty chce roztopić się w świecie, oraz Simona, człowieka, który nie potrafi (lub nie chce) tego zrobić, gdyż rzeczywistość to dla niego wyłącznie symbole czegoś innego.

Gdyby na tej opozycji swoją powieść próbował zbudować ktokolwiek inny, całość osunęłaby się w nieunikniony banał. Mamy tu jednak do czynienia z prozą najwyższej próby – Coetzee już od dekad eksperymentuje z możliwościami literatury i z jej pojemnością. Każdą kolejną jego książkę można traktować jako pójskie krok dalej, oczyszczanie pola dla coraz bardziej precyzyjnych inscenizacji tego, co dla niego najistotniejsze. Jezusowy dyptyk nie jest więc „powieścią intelektualną” (jak chcą niektórzy krytycy), w której *explicite* roztrząsane są fundamentalne kwestie, ale raczej testem tego, jak daleko intelekt i język mogą nas zaprowadzić.

Dlatego ostatecznie zarzut o brak namiętności jest nietrafiony – nie ma drugiego pisarza (przynajmniej wśród żywych), który by z taką pasją eksplorował graniczne miejsca literatury. Owo nieporozumienie może brać się z błędu utożsamiania autora z postacią Simona – czy też, szerzej, z wszystkimi bohaterami jemu podobnymi, od których roi się u Coetzee'a. Wiemy jednak, że pisarz uwielbia ogrywać figurę starego mędrca, nigdy w pełni się z nią nie identyfikując.

Nieustannie żongluje perspektywami, co sprawia, że narracja zawsze znajduje się w niemożliwym do utrzymania rozroku. Można spojrzeć na świat oczami Simona albo Davida (czy też Don Kichota albo Sancha), ale nie istnieje miejsce, w którym obie te perspektywy dałyby się uzgodnić. Tylko dzięki literaturze doprowadzonej do granic wytrzymałości możliwe jest ich czasowe współistnienie. Coetzee jednak wie, że żadna ze stron sporu nie może zbać drugiej. © P MICHAŁ SOWIŃSKI

J.M. Coetzee, **DZIECIŃSTWO JEZUSA**, Znak, Kraków 2013; **LATA SZKOLNE JEZUSA**, Znak, Kraków 2018; obie przeł. Mieczysław Godyń

REKLAMA



WARSZAWA 16-30 MARCA 2018

ORGANIZATOR



PARTNER GŁÓWNY



MECENAS



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano
ze środków Ministerstwa
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego



MIASTO
STOŁECZNE
WARSZAWA



Festiwal zrealizowany
dzięki wsparciu
finansowemu Miasta
Stołecznego Warszawy

FILHARMONIA
NARODOWA
Dyrektor Artystyczny JACEK KASPSZYK



ZACHĘTA

INSTITUT
ADAMA
MICKIEWICZA



Bank Zachodni WBK
Grupa Santander

REGENT
WARSAW HOTEL



www.beethoven.org.pl

Biedny krakowianin patrzy na getto

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Getto warszawskie zmieciono z powierzchni ziemi. Getto krakowskie pozostało niemal nienaruszone. Można spróbować wejść w tamtą rzeczywistość. Katarzyna Zimmerer dała nam przewodnik porażająco precyzyjny.

WIOSNĄ UBIEGŁEGO ROKU CHODZIŁEM po Krakowie z grupą marcowych emigrantów. W 1968 r. wyjechali do Szwecji, ułożyli tam sobie życie, ale od kilku lat wraz ze szwedzkimi żonami urządzają coroczną wycieczkę do któregoś z polskich miast. Więc w pierwszy dzień śródmieście, w drugi – żydowski Kazimierz, potem przez most przy Krakowskiej na drugą stronę Wisły.

Z Rynku Podgórskiego weszliśmy w ul. Limanowskiego, pokazywałem, gdzie stała brama „żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej” (słowa „getto” jeszcze nie

używano), utworzonej 7 marca 1941 r. przez władze Generalnego Gubernatorstwa. Dzień był słoneczny, a że Podgórze dzisiaj modne – spory ruch. Wśród szyldów, witryn sklepowych i knajpek tamta przeszłość wydawała się jak zły sen, który nie mógł się przecież nigdy ziścić. Aż do chwili, kiedy doszliśmy pod numer piętnasty. Zaniedbany piętrowy dom z początku XX w. z fasadą w surowej cegle. Obok bramy trójjęzyczna tablica: tu znajdował się w getcie Dom Starców.

Czytam teraz w „Kronice zamordowanego świata”: „Pacjentów Domu Starców

spędzono na podwórzu. Poruszających się zbyt wolno spychano ze schodów. Do przewracających się – strzelano, kalekom odbierano kule, kazano im skakać i tańczyć. Większość ludzi zabito na miejscu, wśród nich dyrektora szpitala Jakóba Kranza. Niedobitki zapędzono na plac Zgody”. Tak, to się jednak stało, właśnie tutaj, 28 października 1942 r.

Tego samego dnia w południe zlikwidowano Zakład Sierot przy Józefińskiej 41. Dzieci do lat trzech wrzucano jak przedmioty do koszy stawianych potem na wozach, starsze poszły na plac Zgody – krakowski Umschlagplatz. Stamtąd czworakami odmaszerowały na dworzec w Płaszowie. Prowadzili je Anna Feuerstein, dyrektorka sierocińca, jej mąż Leopold oraz 77-letni Dawid Kurzmann, wychowawca i nauczyciel religii. Mogli się ratować – wybrali śmierć z dziećmi. Czy władze mojego miasta wpadły kiedykolwiek na pomysł, by uczcić ich pamięć?



Getto warszawskie zmieciono z powierzchni ziemi, na jego gruzach, a częściowo i z gruzów wzniesiono nowy Muranów, zmianie uległa nawet siatka ulic. Getto krakowskie, o wiele mniejsze – pozostało niemal nienaruszone, trochę jak dekoracja po skończonym już krwawym przedstawieniu. Wchodząc w jego ulice, można spróbować wejść w tamtą rzeczywistość. Teraz dysponujemy porażająco precyzyjnym przewodnikiem.

Życie codzienne w piekle

Katarzyna Zimmerer pierwszą książkę o wojennych losach krakowskich Żydów opublikowała 14 lat temu. Potem była współautorką scenariuszy kilku wystaw, w tym tej najważniejszej, o okupowanym Krakowie, w Fabryce Schindlera na Lipowej. „Kronika zamordowanego świata” jest dziełem nowym, rezultatem kilkunastu lat prawdziwie heroicznej pracy, przekopywania archiwów, uściśniania faktów. Bliśko 700 stron, z których kronika getta tworzy część centralną.

Wcześniej są kolejne zarządzenia antyżydowskie, wydawane natychmiast po zajęciu przez Niemców miasta, pierwsze prześladowania, potem wysiedlenia. Rafael Scharf, który wyjechał do Anglii przed wybuchem II wojny i żył tam ponad pół wieku, ale do końca czuł się obywatelem Krakowa, powtarzał, że to jedyne na świecie miasto, w którym ulica Bożego Ciała krzyżuje się z ulicą Rabina Meiselsa. Na jednym z zdjęć w „Kronice...” widać symboliczny koniec tej niewolnej skądinąd od konfliktów epoki: furmanki z żydowskim dobytkiem opuszczają Kazimierz, a nad nimi góruje wieża Bożego Ciała.

Dzieje „żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej” to tylko dwa lata, tak jednak gęste, jak ciasno było na tych kilkunastu ulicach, w obrębie których stłoczono bardzo zróżnicowaną społeczność, od ludzi całkowicie spolonizowanych po ortodoksyjnych wyznawców judaizmu. Śledzimy wydarzenia niemal dzień po dniu, wchodząc w straszny świat, który jego przymusowi mieszkańcy usiłowali uczynić choć odrobinę normalnym.

Powstają rozmaite formy samopomocy, opieki nad dziećmi, chorymi i ludźmi sta-

rymi. Działają jadalnie, kawiarnie i herbaciarnie, choć niewiele w nich można podać (do herbaty np. „smaczny placek ziemniaczany”). Odbywają się koncerty i występy artystyczne. Czytamy ogłoszenia, reklamy i nekrologi umieszczane w „Gazecie Żydowskiej”, kontrolowanej oczywiście przez Niemców, ale odbijającej pewien fragment rzeczywistości. Jest codzienność – i są kolejne zbrodnie, kolejne akcje wysiedleńcze i likwidacyjne, okrawanie obszaru getta, aż zostanie tylko kilka ulic.

Potem obóz w Płaszowie i osobna, najlepiej dziś znana historia „Żydów Schindlera”. A także inny, znany o wiele słabiej i z tym większą determinacją rekonstruowany przez autorkę wątek prób oporu, działań krakowskich żołnierzy Żydowskiej Organizacji Bojowej, ich sylwetek i losów.

Twarze, miejsca

Nie da się zapomnieć twarzy młodzieńkiej łączniczki ŻOB-u Szoszany (Cesi) Dränger: wielkie ciemne oczy, wokół głowy korona z warkoczy i uśmiech taki, jakby rzucała wyzwanie całemu światu. Gdy ją stracono w marcu 1943 r. na dziedzińcu więzienia Montelupich, miała 15 lat.

Twarze są ogromną siłą tej książki. Ich odszukanie w zbiorach muzealnych, archiwach, podaniach o kenkarty, a potem odpowiedni dobór to jedna z wielu zasług Katarzyny Zimmerer. Postacie sprowadzone wcześniej do kilkunastu wzmianki w tekście nagle ożywają, jak surowa z wyglądu pani dyrektor Feuersteinowa i jej łagodniejszy chyba mąż.

Wśród tych twarzy jest Diana Reiter, jedna z pierwszych w Krakowie architektów, zamordowana w obozie w Płaszowie; scenę jej śmierci Spielberg umieścił w „Liście Schindlera”. W latach 30. pracowała w Dyrekcji Robót Publicznych, nie miała więc wielu samodzielnych realizacji, ja jednak przez pół wieku mieszkałem w pobliżu jej arcydzieła – wspaniałej funkcjonalistycznej kamienicy zamyszkującej perspektywę niewielkiej uliczki Pawlikowskiego. Nie wiedziałem, kto ją projektował, rzadko się wspominało, że krakowscy Żydzi nie tylko stanowili jedną czwartą populacji mojego miasta, ale i byli współtwórcami jego modernizacji.

Przykuwają wzrok dwie 30-letnie wtedy lekarki, Dorota Berger i Rozalia (Katia) Blau. Pierwsza próbowała wraz z synkiem ucieczki kanałami – synek zginął, ona złamała nogę i umieszczono ją w szpitalu. Doktor Blau („piękna blondynka o szafi-

rowych oczach”, jak o niej pisze Tadeusz Pankiewicz) nie chciała zostawić przyjaciółki i została zastrzelona przez Alberta Hujara, oficera SS, który postanowił osobiście wymordować pacjentów. Doktor Bergerową z niewiadomych powodów oszczędził – wkrótce jednak, już w Płaszowie, popełniła samobójstwo.

Tadeusz Pankiewicz, Polak, który jako właściciel jedynej na terenie getta apteki otrzymał od Niemców zezwolenie na dalszą działalność, też jest na jednym z zdjęć, razem ze swoimi pracownikami, Heleną Krywaniuk, Aurelią Danek i Ireną Drozdzińską. Wszyscy mieli stałe przepustki i służyli mieszkańcom getta za kurierów, z tym że Pankiewicz zostawał na nocny dyżur, a apteka przy placu Zgody zamieniała się wtedy w miejsce spotkań i klub dyskusyjny. Niezwykła historia tych czworga dzielnych osób stanowi zresztą przyczynek do kwestii (nie)pamięci: rzeczowe i nadzwyczaj cenne wspomnienia Pankiewicza ukazały się w 1947 r., potem przez ponad trzy dekady nikt ich nie wznawiał, a o autorze pamiętali jedynie ocalali Żydzi, którym pomagał. Zmieniło się to dopiero w latach 80., wtedy też z lokalu apteki usunięto knajpę i urządzono muzeum.

Miejscem symbolicznym stał się dla mnie po lekturze „Kroniki...” róg dwóch podgórskich uliczek, Dąbrówki i Janowej Woli. Tędy Halina Nelken, jedna z kronikarek getta, pewnego czerwcowego wieczora 1942 r. po powrocie z pracy na lotnisku w Rakowicach biegła do domu przeskakując kałuże krwi pod murem poślupanym kulami. Właśnie odbyła się kolejna akcja wysiedleńcza, a pod tym murem zastrzelono poetę i pieśniarza Mordechaja Gebirtiga. O nim też długo nic nie wiedziałem – dziś jest jedną z ikonicznych postaci Krakowa...

Na koniec może najważniejsze: książka Katarzyny Zimmerer jest oczywiście książką o jednym z rozdziałów Zagłady. Ale jest też książką o życiu pomimo wszystkiego. Nie ma w niej śladu tak nieznosnej czasem u piszących, choćby nieświadomej, fascynacji zbrodnią. Jest – wypełnienie obowiązku pamięci wobec ofiar. Odtąd przy każdej lekturze „Kroniki...” jej bohaterowie ożyją choć na chwilę. ©

Katarzyna Zimmerer, **KRONIKA ZAMORDOWANEGO ŚWIATA. ŻYDZI W KRAKOWIE W CZASIE OKUPACJI NIEMIECKIEJ**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017

Brama getta od Rynku Podgórskiego. Idylliczne zdjęcie wykonał latem 1942 r. niemiecki oficer Otto Kluge niedługo po pierwszej wielkiej akcji deportacyjnej.

Przeciw Tobom

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Pół wieku po Marcu '68 polski teatr nie przypomina walki o „Dziady” ani buntu studentów. Mierzy się z czymś trudniejszym: z pamięcią antysemickiej nagonki i wypędzenia z Polski obywateli pochodzenia żydowskiego.

WSOBOTĘ 10 MARCA POKAZANO PO RAZ pierwszy dwa oczekiwane przedstawienia: „Sprawiedliwość” w reżyserii Michała Zadary i „Kilka obcych słów po polsku” w reżyserii Anny Smolar. Oba wiele łączy. Oba stworzyli ludzie zbyt młodzi, by być świadkami wydarzeń sprzed 50 lat. Oba przywracają je współczesności. Oba zadają bolesne pytania. W obu ważna jest praca nad materiałem historycznym i tekstowym. I w obu waga tematu przyniosła teatr.

Teatru mi nie żal. Nie żal mi tego, że w kategoriach czysto artystycznych oba przedstawienia nie porywają. U Zadary oczywistość użytych środków wydaje się bardziej świadoma, u Smolar wynika raczej z bezradności, która jednak też jest tutaj tematem. Przeszkadza mi, że aktorzy „Sprawiedliwości” czytają teksty z promptera, i nie rozumiem, czemu „Kilka obcych słów po polsku” musi zostać w drugiej części zaśpiewanych na okropnie „aktorski” sposób – jednak nie chwytły i reżyserskie pomysły są tu ważne, ale całościowe sposoby rozwinięcia i przedstawienia tematu, teatralne nie w znaczeniu „środków artystycznych”, ale dynamicznych figur myśli.

Strona Edypa

Punktem wyjścia dla „Sprawiedliwości” jest sprawdzenie, czy można przypisać konkretnym osobom prawną odpowiedzialność za wypędzenie Żydów z Polski w latach 1968-71 i w konsekwencji złożyć do prokuratury zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Dla realizacji tego zadania konieczne było przeprowadzenie dochodzenia przez zespoły historyków i prawników. Syntezę ich prawie dwuletnich badań odgrywiają aktorzy w niepełna 90-minutowym przedstawieniu: od statystycznego wręcz ukazania skali zbrodni, przez jej zdefiniowanie w języku prawnym i określenie grup spraw-

ców, po próby wykazania winy konkretnych osób.

I tu śledztwo zaczyna utykać: większość podejrzanych nie żyje, a gdy odnalezione zostają trzy konkretne osoby, które piisały teksty propagujące nienawiść na tle rasowym, to nie można im postawić zarzutów, bo przestępstwa, o które można by je oskarżyć, dawno uległy przedawnieniu. Sfrustrowani aktorzy rzucają o ścianę teczkami z dokumentami i szykują się do wyjścia, ale wtedy – jak w hollywoodzkim filmie o dziennikarzach śledczych – następuje zwrot akcji. Dzwoni telefon i głos prawnika wyjaśnia, że zbrodnia przeciwko ludzkości, która w świetle polskiego prawa nie ulega przedawnieniu, nie musi zakładać unicestwienia danej

grupy. Śledztwo nabiera nowego tempa. Barbara Wysocka tłumaczy sobie i nam, dlaczego wygnanie Polaków pochodzenia żydowskiego może być uznane za taką zbrodnię, co sprawia, że każdy obywatel ma obowiązek skierować zawiadomienie do prokuratury. „Państwo też – mówi patrząc na nas Ewa Skibińska – bo teraz już też wszystko wiecie”.

Ale kto konkretnie popełnił przestępstwo? Z długiej listy zostały trzy nazwiska dziennikarzy, piszących 50 lat temu nienawistne teksty. A właściwie dwa, bo pierwszy z tekstów, informujący o żydowskim bojkocie polskiego bekona w Wielkiej Brytanii, brzmi tak absurdalnie, że tylko osłabiłby wymowę oskarżenia. Autor drugiego, wyjątkowo ohydny, Karol Badziak, jest dziś niewidomym starcem, który ponoć utracił pamięć, więc na wymierzenie sprawiedliwości jest już za późno (w logice spektaklu argument to słaby). Zostaje osoba trzecia i na niej właściwie skupiają się kluczowe sceny.

Autorka antysemickiego artykułu w łódzkiej prasie to Iwona Śledzińska-Katarasińska, dziś posłanka opozycyjnej partii. Jako jedyna ze wspomnianych trójki nie wyparła się napisanego w młodości artykułu, przyznaje, że był głupi i że do dzisiaj stanowi dla niej ciężar. I to właśnie ona pozostała jako jedyna potencjalna

„Sprawiedliwość”, Teatr Powszechny w Warszawie, 9 marca 2018 r.



KRZYSZTOF BIELIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU POWSZECHNEGO



MAGDA HUECKEL / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU ŻYDOWSKIEGO

„Kilka obcych słów po polsku”, Teatr Żydowski i Teatr Polski, Warszawa, 7 marca 2018 r.

sprawczyni zbrodni. Twórcy spektaklu sami chyba słyszą rozlegający się w tym momencie chichot historii i rehot tych, którzy dziś z pełnym przekonaniem uruchamiają mechanizmy znane z 1968 r., a wobec których w opozycji jest posłanka. Mimo wątpliwości aktorzy są jednak przekonani, że zawiadomienie złożyć trzeba, bo tylko sąd ostatecznie uwolni posłankę od brzemienia win, a kozioł ofiarny jest potrzebny, by oczyścić zbiorowość.

W spektaklu powraca motyw Edypa. „To jak w »Edypie«” – powtarzają aktorzy, mówiąc, że Tebańczycy i Polacy tak samo nie chcą osądzić winnych zbrodni. A winnego trzeba osądzić i ukarać, nawet jeśli ma to być bolesne przede wszystkim dla nas samych. Słucham tych wywodów ze zdumieniem. Rozglądam się po sali i nigdzie nie widzę Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej, która podejmowałaby śledz-

two we własnej sprawie, siebie uznawała za winną i sobie wymierzała karę. Widzę młodych, przekonanych o swojej racji moralnej ludzi, którzy posługują się dokładnie tą samą logiką, jak autorzy projektów dezubekizacyjnych, dekomunizacyjnych itp. Jedni i drudzy zdają się wierzyć w moc prawa, jego język i sprawczość, choć nie ma dnia, by nie były one z wielu względów praktycznie negowane. Spektakl nazywa się „Sprawiedliwość”, ale powinien nazywać się inaczej. Tak, dokładnie tak: „Prawo i Sprawiedliwość”.

„Edyp król” to nie polityczna przypowieść z tezą, ale tragedia. Jej logika, pełna okrutnej ironii, stawia na ostrzu noża właśnie to, co tak wysoko podnoszą twórcy spektaklu: ludzkie poczucie sprawiedliwości. Dążący do oczyszczającej prawdy Edyp odkrył własną zbrodnię i sam wymierzył sobie karę, spełniając w ten spo-

sób klątwę bogów i pograżając Teby w chaosie, którego ofiarami padły także jego dzieci. Zadara o tym wie. Przypomina konsekwencje Edypowego czynu i zdaje się mówić: trudno, sprawiedliwość jest najważniejsza. Bez niej pozostaniemy w niewypowiedzianym cieniu dawnej zbrodni.

Twórcy spektaklu nie czują się w żaden sposób winni. Nie chcą też, by zbiorowość czuła się winna, bo wina zbiorowa to wina niczyja. Lepiej niech jeden zginie, niżby wszyscy mieli mieć nieczyste sumienia. To oczywiście mechanizm kozła ofiarnego, który jest – o czym analizując m.in. „Edypa króla” pisał przenikliwie René Girard – mechanizmem ukrywania założycielskiej zbrodni zbiorowej. Jego ofiarami często padali właśnie Żydzi. Zadara proponuje, by mechanizm pozostał ten sam, tylko zmienimy ofiarę. Władysław Gomułka zaciera ręce. Premierowa publiczność klaszcze. Aktorzy i reżyser kłaniają się z uśmiechem.

Kto wykłuwa sobie oczy?

Strona Ismeny

Zapowiadając przedstawienie Anny Smolar przypominano, że jest ona dzieckiem marcowych emigrantów. Jej spektakl o doświadczeniach rodziców miał więc być już w punkcie wyjścia rezultatem działania tego, co Marianne Hirsch nazwała postpamięcią. Chodzi o specjalny typ pamięci wydarzeń, których samemu się nie przeżyło, ale które są częścią osobistego doświadczenia, ponieważ tak wiele wiemy o nich od świadków bezpośrednich.

W „Kilku obcych słowach po polsku” sytuacja drugiego pokolenia, przeżywającego traumatyczne doświadczenia rodziców, jest zainscenizowana dosłownie – aktorzy teatrów Żydowskiego i Polskiego na naszych oczach wcielają się w dzieci Polaków wygnanych po Marcu ’68 z racji pochodzenia. Dzieci te odgrywają sceny z życia rodziców, mówią ich wyobrażonymi słowami. Posługują się przy tym teatralnym cudzysłowem, którego swoistym uosobieniem jest Ariel, grany i tańczony przez Pawła Sakowicza.

Można odnieść wrażenie, że Anna Smolar chciała teatrowi postpamięci dać przewrotną, ironiczną, ale podszytą rozpaczą „lekkość”, znaną z innych jej przedstawień (np. z bydgoskiego „Dybuka”). Stąd być może sceny taneczne, stąd też – dla mnie problematyczne – sceny śpiewane (choć *song* o przodku, który wybrał asymilację, →

→ w wykonaniu Sakowicza rzeczywiście porażający). Drapieżna autoironia, którą ci sami „aktorzy żydowscy” posługiwali się mistrzowsko w tak właśnie zatytułowanym przedstawieniu wyreżyserowanym przez Smolar, tu jednak nie działa.

Już w początkowym monologu Jerzego Walczaka o 50. urodzinach, które dziś wszyscy obchodzimy, brzmiały tony nazbyt deklaracyjnego serio. Jakby twórcy byli sparaliżowani powagą i dramatyzmem spraw, o których będą mówić. W efekcie przedstawienie stopniowo staje się serią kolejnych emocjonalnych i tematycznych kumulacji na wciąż i wciąż powtarzający się temat poplątanej tożsamości osobistej, którą – jak u Ervinga Goffmana – nadają inni, choć przeżywa się ją samemu. I dzieci, i rodzice szarpią się w walce o uznanie ich przez innych za takich, jakimi sami siebie odczuwają, ale inni (czytaj: Polacy) konsekwentnie tego odmawiają, wpędzając ich w Żydów, tylko po to, by ich jako Żydów wypędzić.

Z pułapki splątanej tożsamości nie ma wyjścia. Rodzi się we mnie myśl, że uparte dążenie do tego, by się jakoś określić wspólnotowo, rodzaj fikcji na etnicznej tożsamości, to coś okropnie niezdrowego, a zarazem typowego dla mieszkańców „tego kraju”. Zastanawiam się też, czy sprowadzanie pamięci pomarcowego

wygnania Żydów z Polski do osobistych traum nie jest rodzajem oczekiwanej spolegliwości, której na zakończenie zgromadzeni będą mogli przyklasnąć w poczuciu etycznego uspokojenia.

Pamięćcie Ismene, córkę Edypa, siostrę Antygony? Ona tak właśnie chciała: żeby się dogadać, ułożyć. Była gotowa zaakceptować los. Przyjmowała winę ojca jako swoją i łagodnymi oczyma spoglądała z przerażeniem na hardą siostrę. To jej głos zdawałem się słyszeć w finałowym monologu „Kilku słów...”, adresowanym do „Kochanej Polski”, którą prosi się grzecznie (choć z gniewem), by została poligamistką i kochała także swoje, niekoniecznie polsko-polskie dzieci. Skrzywdzona Ismena prosi Kreona, by i ją przyjął. Kreon uśmiecha się, bije brawo. Nawet wstanie...

Nieprzebaczeni

Oba przedstawienia łączy też to, że omijają winę polsko-polskich Polaków, która jest i pozostaje naszą wspólną, właśnie dlatego, że się z nią nie mierzymy, projektując ją na komunistów, na kozła ofiarnego albo przekształcając w łatwe współczucie dla ofiar. A przecież zwolnione przez wygnanych posady ktoś obsadzał, ktoś robił kariery dzięki – jak niedawno przeczytałem – „pomarcowemu odblokowaniu ścieżek awansu”. Ktoś zajmował opuszczane

mieszkania, ktoś ma kupione za bezcen od wyjeżdżających antyki.

Ten wątek pojawia się w obu przedstawieniach niemal na marginesie. A ja chciałbym, żeby powstał spektakl o takim mieszkaniu i zajmujących je do dziś ludziach. O marcowych docentach. O księdzu, wspomnianym u Zadary, którego spadkobiercy pokazują kupiony za bezcen obraz. I żeby nie było to przedstawienie o jakichś onych, ale o nas. Żebyśmy mogli wreszcie sami odkryć nasze winy i przyznać się do nich, drodzy Edypowie. A jeśli wyklujemy sobie potem oczy, to niech nas zaprowadzą do Kolonos.

Nie wierzę w sąd. Nie wierzę w prawo i sprawiedliwość. I nie cenię aż tak wysoko pamięci, by pod jej przymusem powracać wciąż i wciąż do tragedii rodziców. Jeśli w coś wierzę i czegoś pragnę, to tego, czego tak bardzo w tym podobno chrześcijańskim kraju nie ma: przebaczenia.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

SPRAWIEDLIWOŚĆ – reż. Michał Zadara, scenariusz Michał Zadara i Nawojka Gurczyńska, Teatr Powszechny, Warszawa, premiera 7 marca 2018 r.

KILKA OBCYCH SŁÓW PO POLSKU – reż. Anna Smolar, tekst i dramaturgia Michał Buszewicz, Teatr Żydowski i Teatr Polski, Warszawa, premiera 10 marca 2018 r.

6 marca 2018 roku w Paryżu zmarła

dr Ludwika Stauber-Karwowska

z domu Gelmont

Urodziła się w roku 1918 w Kijowie. Młodość spędziła w Równem. Wojnę przetrwała we Lwowie i Warszawie.

Była wybitnym lekarzem diabetologiem.

Po antysemickiej kampanii w 1968 roku wyemigrowała z rodziną z Polski.

Była bliską przyjaciółką Zuzanny Ginczanki. To ona ocaliła jej wiersz *Non omnis moriar*.

Lusia, bo tak zwracali się do niej przyjaciele, była kobietą piękną, mądrą, błyskotliwą, o wielkim poczuciu humoru.

Miała dar przyjaźni i miłości.

Nam, którzy z tej przyjaźni czerpaliśmy radość, bardzo trudno pogodzić się z jej odejściem.

KRYSZYNA GIULLET, AGNIESZKA HOLLAND I IRENA HOLLAND-RYBCZYŃSKA,
KRYSZYNA, NATALIA I RYSZARD KRYNICCY, JANUSZ MAJEWSKI, ADAM MICHNIK, JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI,
KRYSZYNA PIOTROWSKA I GRZEGORZ GAUDEN,
MASZA POTOCKA, JOANNA RONIEM, BEATA STASIŃSKA,
AGNIESZKA TRACZEWSKA, KRYSZYNA ZACHWATOWICZ-WAJDA



Przewrotne obrazki

PIOTR KOSIEWSKI

Przemek Matecki testuje możliwości malarstwa. Wraca do jego przeszłości. Sprawdza, czy dawnym dziełom można przywrócić moc oddziaływania.

URODZONY W 1976 R. MATECKI UZNANY jest za jednego z najciekawszych artystów debiutujących w nowym stuleciu. Wypracował własny, rozpoznawalny język, z trudem wpisuje się w obiegowe etykiety. Bywa łączony z tzw. poznąską falą, z Tomaszem Mrozem czy Radosławem Szlągą, tworzącymi sztukę wręcz ubogą: koślawe rysunki, rzeźby posklejane z kawałków, prace-odpady. Dostrzegano u niego odwołania do kultury punk czy do street artu. Widziano w nim przedstawiciela kolejnego pokolenia neоекспresjonistów, zapisywano nawet do grupy neonadrealistów.

Przemek Matecki „Małe obrazy” (fragment)

Od dawna przekracza granice tradycyjnie rozumianego malarstwa. Żongluje technikami, miesza stylistyki. Jego znakiem rozpoznawczym stały się odwołania do kultury masowej. Często wykorzystuje zdjęcia z kolorowych magazynów, kalendarzy, plakatów ulicznych i wpasowuje te wycinki w swoje płótna. Z premedytacją niechlujnie, śmieciowo. Przed laty pomalował nawet figurki znalezione na śmietniku, przekształcając je w przestrzenne obrazy.

Nie są to jedynie formalne gry. Nawet kiedy sięga po język abstrakcji, wciąż odwołuje się do rzeczywistości. Sprawdza, czy malarstwo może powiedzieć coś istotnego o naszym świecie. Czy nadal warto tworzyć obrazy. – To, co maluję, jest dla mnie „rzeczywiste” – mówił w rozmowie z Łukaszem Musielakiem w „Obiegu”.

Na wystawie w Rastrze znalazły się, jak zapowiada tytuł, małe obrazy. Najmniejsze mają 10x10 cm, największe 20x20 cm. Pogrupowane formatami, z oddali przypominają abstrakcyjną wielobarwną układankę. Podchodząc bliżej dostrzegamy, że każdy z jej elementów jest niewielkim, odrębnym dziełem: portretem, sceną rodzajową, pejzażem, martwą naturą albo abstrakcją. Drobne płótna są przewrotną grą z przeszłością sztuki. Matecki gra z „Śądem Ostatecznym” Michała Anioła, „Butami” van Gogha czy „Powidokiem” Strzebińskiego. Z dziełami Rembrandta, Kusamy i Bacona, Maneta, Klimta, Warhola i wielu innych.

→ Ze starych katalogów i magazynów o sztuce wycina reprodukcje i włącza je w swoje prace. Czasem to łatwo rozpoznawalny fragment, czasem szczegół. Niektóre najwyraźniej artystę zafascynowały, np. ciało umierającego Marata ze słynnego płótna Davida, inne porzuca po jednorazowym użyciu. Niekiedy pierwowzór niemal ginie w nowym obrazie, możemy ćwiczyć umiejętność odnajdowania malarskich cytatów. Mocne zielone smugi układające się w abstrakcyjne zawiąsy to fragment pejzażu z płótna Wilhelma Sasnała „Shoah (Las)”, bukiet kwiatów to „poprawiony” relief geometryczny Henryka Stażewskiego.

Można wystawę w Rastrze potraktować jako wizualną zabawę. Jednak w czasach wielkoformatowych obrazów czy wieloe ekranowych instalacji wideo te niewielkie płótna prowokują do postawienia zasadniczych pytań. W epoce zażartych walk o obronę praw autorskich Matecki czerpie bez oporów z dzieł innych artystów. Jakby chciał powiedzieć: w historii sztuki inspiracja, naśladownictwo, powtórzenie były czymś oczywistym, by przypomnieć Rubensa reinterpretującego Tycjana czy Picassa swoiście powtarzającego „Las Meninas” Velázqueza. Współtworzenie też było częstą praktyką. Przed laty zresztą Matecki zaprosił do współpracy trzech artystów – tworzącego obrazy-teksty Pawła Susida, poruszającego się po obrzeżach figuracji i abstrakcji Tomasza Ciecierskiego oraz wiernego malarstwu realistycznemu Zbigniewa Rogalskiego. Powstało kilka obrazów będących sumą odmiennych praktyk, doświadczeń i wizji.

Przed wszystkim jednak to wystawa o nadmiarze obrazów, do których dziś mamy łatwy dostęp. Poszerza się też nasze wizualne imaginarium: o artystów i twórczość dawniej niedocenianą czy nieznaną. A twórczość współczesnych artystów (Matecki sięga też po cytaty m.in. z prac Rafała Bujnowskiego czy Anety Grzeszykowskiej) coraz szybciej staje się częścią kanonu i trafia do muzeów.

– Na czym polegają twoje odniesienia w obszarze sztuki? – pyta Musielak. – Na przywłaszczaniu – odpowiada Matecki. Jest to jednak nietypowy sposób przejścia. Przyglądając się „Małym obrazom”, wciąż wracamy do ich źródeł. Mateckiemu przynajmniej na chwilę udało się przywrócić cudzym dziełom – często zawłaszczonym przez kulturę masową – siłę. Ostatecznie wystawa w Rastrze okazuje się przewrotnym może, ale jednak hołdem złożonym innym twórcom. © PIOTR KOSIEWSKI

Przemek Matecki, **MAŁE OBRAZY**, Warszawa, Galeria Raster, wystawa czynna do 30 marca.

Ta, która wie

ANITA PIOTROWSKA

Gdy Jagoda Szelc odbierała nagrodę za scenariusz i za debiut na ostatnim festiwalu w Gdyni, mówiono o niej: wiedźma, szamanka, szeptucha.

OBSKURANCKI CZY DOTYKAJĄCY TAJEMNICY? HOCHSZTAPLERSKI czy raczej szamański? Wyrafinowany, a może jednak naiwny? Sama rozpiętość opinii na temat filmowego debiutu Jagody Szelc zachęca, by zwrócić nań uwagę.

Trudno jednak wyobrazić sobie mocniejsze wejście na coraz bardziej stabilny, choć dosyć płaski grunt dzisiejszego kina polskiego.

Gdyby chcieć opisać film „Wieża. Jany dzień” jednym tylko słowem, byłoby to „zaburzenie”. I nie chodzi tu o psychiczne odstępstwa od normy, choć zapewne wielu spośród bohaterów Szelc przydałaby się solidna terapia.

Od pierwszych scen, podczas których obserwujemy spotkanie rodzinne i przygotowania do religijnej uroczystości, w obrazku pojawiają się kolejne pęknięcia. Już podczas prologu, gdy kamera śledzi z góry samochód wiozący gości, dostajemy czytelny sygnał, że ambicje filmu nie są przyziemne. Dużo też się dzieje w warstwie dźwiękowej: szumy, brzęki, dudnienia wyraźnie zwiastują apokaliptyczny finał. Najciekawszy jest jednak sam proces, podczas którego młoda reżyserka przeprowadza nas na drugą stronę – czyli tam, gdzie kończy się dramat psychologiczny z pierwszą komunią w tle, a zaczyna niepokojąca przypowieść o duchowym przebudzeniu.

Postacią, która zaburza swojski rytm rodzinnego święta, jest przybyła z wi-

zytą Kaja (Małgorzata Szczerbowska). To ona jest biologiczną matką małej Niny, którą od sześciu lat wychowuje starsza siostra Kai, zwana przez bliskich Mula (w tej roli Anna Krotoska). Konflikt o dziecko pomiędzy dwiema matkami od początku wisi w powietrzu, lecz reżyserka gra o znacznie wyższą stawkę.

Napięcie, które wnosi ze sobą Kaja (szalona?, jurodiwa?, chora?), udziela się z czasem całej rodzinie, a może i nawet społeczności zamieszkującej małowniczo położoną wioskę w Kotlinie Kłodzkiej. Bo film Szelc niesie ze sobą także elementy krytyki społecznej.

I tak jak Mula strzeże swojej domowej „wieży”, reprezentując w tej historii rozsadek, porządek, spełnioną tęsknotę za małą stabilizacją, tak Kaja jest siłą, która samą swą milczącą obecnością zaczyna to wszystko rozsadać. Przygląda się wiejskim mieszkańcom, którym zdaje się, że przejęli kontrolę nad światem, uzbrojeni w GPS-y, elektroniczne nianie i pastuchy.

Przygląda się zagonionym korporacjom (należy do nich Andrzej, brat Muli i Kai), którzy żyją non stop pod telefonem. W przeciwieństwie do praktycznego i pragmatycznego rodzeństwa Kaja jako jedyna posiada żywy kontakt z naturą i duchowością, ma również sekretne połączenie z dziećmi, zwierzętami i chorymi. Jest więc kimś w rodzaju współczesnej wiedźmy, czyli – sięgając po źródłosłów – tej, która wie.





AGAINST GRAVITY

Kadr z filmu „Wieża. Jasny dzień”

Na ostatnim festiwalu w Gdyni, gdzie Jagoda Szalc otrzymała nagrodę za scenariusz i za debiut, tak właśnie mówiono o niej samej: wiedźma, szamanka, szeptucha, doceniając zuchwałość, z jaką reżyserka miesza w filmowym kotle. Na poziomie fabuły oznacza to nagromadzenie dziwnych zdarzeń, które mają naruszać przebieg rodzinnej imprezy: telewizja informuje nagle o śmierci Dalajlamy, nad wioską kołują helikoptery, w ścianie domu coś skrobie, pani domu puszcza nerwy i nawet ksiądz prowadzący przygotowania do pierwszej komunii w pewnym momencie się „zawiesza”. A może to wicher pomieszał ludziom w głowach...?

To pomieszenie doskonale oddaje nerwową kamerą Przemysław Brynkiewicza, która we wnętrzach przykleja się do bohaterów i nieustannie zmienia punkty widzenia, za to w plenerach łapie istic metafizyczny oddech.

Bo „Wieża. Jasny dzień” (dopiero końcówka filmu wyjaśnia to dziwaczne rozbić tytułu), odwołując się do sfery przeczuć i przewidywań, tworzy własny filmowy język, który sprawia, że nawet zatwardziały sceptyk poczuje w pewnym momencie dreszczyk na plecach.

Podczas komuniijnego przyjęcia Nina dostaje w prezencie okazały kryształ, który po przystawieniu do oka „zmienia świat”. Film Szalc daje widzowi podobną perspektywę. W obliczu wypalonej i zastygłej w obrzędach religii instytucjonalnej (patrz: fragment z tańczącymi feretronami) poszukuje tajemnicy, cudu czy wewnętrznej przemiany w zupełnie innych rejonach.

Reżyserka wygrywa wszędzie tam, gdzie stosuje niedopowiedzenia albo sięga do podświadomych skojarzeń, gdzie pracuje bardziej na naszych zmysłach niż na konkretnych tropach czy symbolach. W filmie, jak głosi otwierający napis „W oparciu o przyszłe wydarzenia”, co i raz pojawiają się znaki zapowiadające bądź interpretujące (jak motyw letargu, trickstera, nie mówiąc o symbolice węża owiniętego wokół komunijnej gromnicy). Oczywiście znajdują one swoje wytłumaczenie w fantasmagorycznym wymiarze filmu, lecz bywają podane zbyt dosłownie.

Można też pytać o zasadność umieszczania w tego rodzaju filmach aluzji politycznych czy wątku związanego z uchodźcami. Uznajmy jednak te manifestacje za prawo debiutu. Albo za znak czasów, w których artyści czują się szczególnie zobowiązani do zabrania głosu w ważkich sprawach.

Najbardziej imponuje w „Wieży” dzika energia (chciałoby się rzec – młodzieńcza, chciałoby się rzec – kobieca), z jaką autorka stwarza, a jednocześnie dekonstruuje swój filmowy świat. Jak pewną ręką prowadzi swoich wyśmienitych aktorów – w większości nieopatrzonych, grających dotychczas głównie w teatrze. Wreszcie, jak bardzo świadoma jest Szalc tego wszystkiego, co się dzieje dzisiaj w kinie – nie tym z głównego nurtu, ale tym, które wyznacza horyzonty, które otwiera się na różne odczytania i nie boi się podejmować artystycznego ryzyka. ©

WIEŻA. JASNY DZIEŃ – reż. Jagoda Szalc.
Prod. Polska 2017. Dystryb. Against Gravity.
W kinach od 23 marca.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [24 – 30 III]

1. Fantastyczna kobieta



Dramat, reż. Sebastián Lelio, Chile 2017, Cineman VOD

Zwycięzca Oscara dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego jest już dostępny w płatnej wypożyczalni internetowej. Twórca „Świętej rodziny” i „Glorii” opowiada historię młodej kobiety, która po nagłej śmierci partnera spotyka się z odrzuceniem ze strony jego rodziny. Przejmujący film o miłości, różnicach społecznych, ale i postrzeganiu tego, co odmienne.

2. Nie rozmawiaj z Irene



Komedia, reż. Pat Mills, USA 2017, Cinemax 2, 24 III, 20.30, 25 III, 11.55, 28 III, 20.30, 29 III, 10.55, 30 III, 22.35

Czy otyła 15-latką z małego miasteczka może spełnić marzenia i zostać cheerleaderką? W amerykańskim kinie wszysko jest możliwe, lecz twórcy niezależnego filmu proponują nieco inny scenariusz. Tytułowa bohaterka po tym, jak została zawieszona w prawach ucznia, odbywa karę pomagając w domu spokojnej starości. To doświadczenie odmieni jej życie.

3. Mury



Dokumentalny, reż. Pablo Irujo, Miqueltxo Molina, Hiszpania 2015, TVP Kultura, 25 III, 23.00

Dzisiejszy świat jest podzielony murami i zasiekami. Twórcy dokumentu przyglądają się tym, którzy żyją po obu stronach betonowych czy drucianych granic. Między Hiszpanią i Marokiem, USA i Meksykiem czy Zimbabwe i RPA wybudowano ogrodzenia, które mają wpływ nie tylko na współczesną geopolitykę, ale i codzienne doświadczenia ludzi żyjących w cieniu murów.

4. Lady M.



Dramat, reż. William Oldroyd, Wielka Brytania 2016, Canal+, 27 III, 21.00, Canal+ 1, 27 III, 22.00

Swobodna interpretacja tragedii Szekspira osadza historię Lady Makbet w scenerii prowincjonalnej Anglii XIX w. Zmuszona do małżeństwa dziewczyna znajduje w zbrodni drogę ku własnej emancypacji. Tytułową rolę zagrała młodziutka Florence Pugh, a film otrzymał Europejską Nagrodę Filmową w kategorii odkrycie roku.

JAN

Klata:

Scena z życia



HISTORIA Z ŻYCIA WZIĘTA: ZNANY PIŁKARSKI ekspert telewizyjny, celebryta, eks-gwiazdor angielskiej piłki nożnej, zostaje sprowokowany po meczu przegranym przez jego dawną drużynę, nie może zdzierżyć... i opluwa Bogu ducha winne dziecko. Chciał opluć drażniącego się z nim kibica, a przypadkowo opluł jego córkę, bodajże nastolatkę. Skąd to wszystko wiemy? Z internetu oczywiście, z filmiku nagranych i wrzuconego przez tatusia prowokatora.

No i toczy się lawina – wystarczy znaleźć się w odpowiednim miejscu i we właściwym czasie ze smartfonem i córką. Córka jest niezbędna jako ofiara – bez niej opinia publiczna nie zaangażowałaby się emocjonalnie, mało kto przejąłby się całą sprawą. Łut szczęścia i jest afera: dziennikarze nie bez kozery przypominają, że inkryminowany ekspert słynął z bardzo zdecydowanego potępienia plucia na boisku, że sam opisywał, jak

traumatycznie irracjonalnym doznaniem był dla niego moment, kiedy został opluty przez zawodnika przeciwnej drużyny.

Tymczasem filmik zalicza mnóstwo kliknięć w sieci, ekspert przeprosza za „chwile szaleństwa”, nie wie, co w niego wstąpiło, zostaje ukarany przez pracodawcę i do końca sezonu nie będzie analizował piłkarskich spotkań w telewizji.

Prowokator był kibicem zwycięskiego rywala, niewątpliwie. Celebryta, pomimo że już czterdziestoletni, nie przestał być pełnym pasji fanem swojej drużyny, co oczywiście nie usprawiedliwia jego kretyńskiej reakcji. W konfrontacji perfidii i głupoty wygrała perfidia, choćby i dlatego, że miała mniej do stracenia. Oczywiście, gdyby nie internet, cała sytuacja byłaby znana najwyższej rodzinie prowokatora oraz jego kolegom z pubu. Gdyby nie internet – czy istnieje życie poza internetem? Chyba w ni-szy. Dzięki internetowi „kultura obnażania” staje się kulturą dominującą, nadającą ton życiu miliardów ludzi. Satysfakcja „zwykłych ludzi” z upadku idola – bezcenna. Każdy może kliknąć i zobaczyć, ślinka leci. Reprezentant „zwykłych ludzi” obnażył hipokryzję „przedstawiciela elit”. To już nie bunt mas, to zemsta mas. W ostatnich sekundach filmiku możemy usłyszeć głos rozsądku, należący do oplutego dziecka: „Tato, przestań!”. Córce prowokatora serdecznie współczuję papy, który uczynił ją sławną.

Jaki morał z powyższej, wziętej z życia, opowieści? Ten autobiograficzny film, co to każdy z nas podobno obejrzy na chwilę przed śmiercią, wkrótce może być w internecie. Trzeba uważać. ©

Lektor:

Nić



■ **JÓZEF I MARIA CZAPSCY,
KATARZYNA I ZBIGNIEW HERBERTOWIE,
KORESPONDENCJA**

*Odczytał i przypisami opatrzył Jan Strzałka.
Zeszyty Literackie, Warszawa 2018, ss. 262.*

PAŹDZIERNIK ROKU 1958. Herbert kończy 34 lata, podczas pierwszej w życiu zagranicznej podróży odwiedził właśnie Prowansję (owocem będzie esej „Arles”) i po powrocie do „obrzydlivego i ra-ko-wa-te-go” Paryża wysłał kartkę do Czapskiego: „Ja tu Panu nagrody funduję, a Pan milczy – Mur. Dobrze!!! Zapisze się w »Pamiętnikach«”. „Zapomina Pan, że jestem tak stary, że już gołąbka nawet własnymi

rękami nie umiem, nie mam sił zadusić!” – odpowiada Czapski. Ten gołąbek to oczywiście kryptocytat z „Bajki ruskiej” Herberta, tej o „carze ojczulku”. Role w grze zostały wstępnie rozdane: poeta jako rzekomy „Mecenas i Fundator” malarza, ale też „syn marnotrawny i trochę głupieński”, jak pisze do niego Czapski, czasem zaś „podkuchenny”; malarz jako starzec (ledwie przekroczył wtedy sześćdzie-

siatkę...) i Pan Major. Humor i językowe stylizacje kryją prawdziwą serdeczność i wzajemny podziw, a w korespondencyjną rozmowę włączy się wkrótce Maria Czapaska, siostra Józefa, potem Katarzyna Herbertowa. Będą też – nieczęste, ale wyczekiwane – rozmowy prawdziwe („Dziękuję jeszcze raz, że się chciałeś z nami spotkać – pisze Maria w 1967 r. – inaczej ta nić, która nas przed laty związała, mogłaby pęknąć”). niespełna sto listów z trzech dekad, ale ich uroda i gęstość zachwycają. Ileż tu się spraw przewija: wielka polityka i codzienne kłopoty, podróże Herberta i jego rozdarcie między krajem a emigracją, Czapskiego walka o prawdę katyńską (w latach 60. musi ją we Francji nadal toczyć), konflikty w domu w Maisons-Laffitte, no i własna twórczość, o której

i Herbert, i Czapscy sporo piszą. Wychodzi z cienia postać Marii Czapskiej, autorki znakomitej „Europy w rodzinie”. A już naprawdę niezwykle są listy pisane (czy raczej dyktowane) w latach 80., po śmierci siostry, przez tracącego wzrok Czapskiego: nawiedzające go obrazy z młodości, wizyjne niemal sceny z września ’39. Także – dyskretna polemika z surowymi sądami Herberta w „Hańbie domowej”: „Ja wiem, że i przebaczenie może być łatwizną, ale nie jest nią zawsze, i jest w przebaczeniu jakaś głęboka prawda i konieczność”. Obszerne i staranne przypisy, a w aneksie – wiersze Herberta, o których mowa w korespondencji, aż po „Guziki”, przesłane Czapskiemu w przedostatnim liście, i na koniec jeszcze niedokończony esej „Saga o podboju”. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Weganie nie poszczą



DLACZEGO NIE WYSTARZY POWSTRZYMAĆ SIĘ od jedzenia mięsa, żeby stwierdzić, że się pości? Gdyby jedno znaczyło drugie, to mistrzem postu byłby każdy weganin. Przecież powstrzymuje się, bardzo świadomie i kosztem nie lada starań, od przyjmowania

pokarmów pochodzenia zwierzęcego – i to nie tylko w piątek, ale przez cały okrągły rok. Rozdział 39 reguły św. Benedykta, tego wzorca samokontroli i powściągliwości, stanowi: „mięsa zwierząt czworonożnych nie powinien nikt w ogóle jadać oprócz chorych, którzy są szczególnie osłabieni”. A weganie, nawet złożeni niemocą, nie wezmą do ust rosołu. I nie mówimy o nich, że stosują radykalną, uwspółcześioną formę postu. W czym zatem tkwi różnica?

Przyszło mi o tym dyskutować w gościnnych progach festiwalu Nowe Epifanie, który co rok w okresie wielkopostnym pochyla się nad rozmaitymi aspektami tego szczególnego momentu, próbując przełożyć tradycyjne formy jego przeżywania na język współczesnych kodów kulturowych i trendów wielkomiejskiego obyczaju. Organizatorzy wpadli na znakomity pomysł, by mnie, zadeklarowanego mięsożercę, zderzyć z Martą Dymek, autorką bloga Jadłonomii i książek pod tym samym tytułem – najbardziej rozpoznawalną w Polsce twarzą drogi wegańskiej. Piszę „drogi”, a nie diety, bo w jej interpretacji, którą cenię za przenikliwe sięganie dalej niż tylko lista zakupów na obiad, weganizm jest pewną drogą ku oswobodzeniu z zależności od zwierząt, nie zaś radykalnym projektem, będącym jak gilotyna, odcinająca wszelkie wyjątki i rozsądne ustępstwa wobec rzeczywistości. O czym zresztą mogliśmy się przekonać kilka miesięcy temu, dzięki jej wywiadowi dla „TP”.

Cenię autorkę Jadłonomii nie tylko za rzetelnie rozpisane, niebanalne przepisy, przeważnie wolne od tego ponurego poczucia zastępczości, które odstręcza mnie od rozmaitych -izmów. Z jednej strony bowiem głoszą własną wyższość nad wszystkożernym pospółstwem, z drugiej zaś nieufne we własną siłę sprawczą dokonują wygibasów, by pokazać, że też potrafią zrobić burgera, kotleta, szaszłyk i bezę. To trochę tak, jak z różnicą między tłumaczeniem cudzego wiersza a pisaniem własnych. Dosypanie przypraw do mdłej papki z soczewicy, aby emanowała niby-mięsnym

umami, to objaw niewiary, że w warzywach i roślinach może być pełnia. Wbrew kpinom prześmiewców, takich jak czołowy włoski komik telewizyjny, który w przerwach między chłastaniem polityków udaje szefa wegańskiej restauracji, której pseudofrancuską nazwę można by przełożyć jako „Le smak de carton”.

Otóż dobrze wymyślony weganizm nie skazuje nas na zjadaanie tekstury, chociaż jego bogactwo wymaga wielkiej przemysłowości i składników, o których na pewno nie powiemy, że są lokalne. Przeciwnie: wszechobecne w nowym weganizmie awokado ma ślad węglowy nie mniejszy niż poleć wieprzowiny. A to jednak problem dla zwolenników świadomego roślinożerstwa, bo ich wybór często bywa podszyty poczuciem świętej ekologicznej racji.

I właśnie do sfery racji odwoływały się nasze rozważania o weganizmie, który nie jest w żaden sposób postny. To bowiem pewien samolubny wybór, który ma na uwadze własne dobre samopoczucie, niekoniecznie zdrowotne. Częściej skupiamy się na tym, by swoim działaniem poczuć się lepiej emocjonalnie – zrzucić z siebie skrupuły związane z cierpieniem zwierząt i szkodami dla planety – przy czym zarówno biedne jagniątka pod nożem, jak i umęczona ścięciem z fermy ziemia jest tylko odległym pretekstem dla zachwyty, że tu i teraz możemy być lepsi. Moja rozmówczyni zatrzymała się w swej refleksji tuż przed słowem „narcyzm”, ja bez ceregieli je tu dopiszę. Post tymczasem odsyła do rzeczywistości nadprzyrodzonej, porządku poza sferą fizjologii i emocji czy nawet dobrostanu matki Ziemi. Uznajemy jego wyższość poprzez zadanie sobie przykrości. W weganizmie chodzi o to, by zjeść dobrze i poczuć się dobrym, w poście, by zjeść źle i poczuć się marnym. ©P



Korzystając z trwania Wielkiego Postu opowiem o szybkim daniu, które z racji nazwy raczej pasuje na jego początek niż końcówkę, zwie się bowiem **pasta alla cenere**, czyli makaron z popiołem. Bierzemy ok. 150 g **sera gorgonzola**, odcinamy skórkę, kroimy na małe kawałki, wrzucamy do rondla z grubym dnem i topimy na małym ogniu z ok. 100 g **śmietany trzydziestki**. Równocześnie siekamy na drobiutki kawałki **czarne oliwki** (cały słoik) – najłatwiej robi się to z takimi bez pestki, ale w ramach dobrej pokuty możemy częściowo użyć takich z pestką, np. tzw. greckich, będzie sporo przy tym dłubania. Gotujemy krótki **makaron** (np. penne), na 2 minuty przed upływem czasu wskazanego na opakowaniu przekładamy do rondla

ze stopionym serem, mieszamy na małym ogniu, podlewając w razie czego paroma łyżkami wody z gotowania, aż kluski zmiękną. Na koniec wrzucamy oliwki – całość powinna być koloru popielatego z drobinami oliwek udającymi sadzę. Dla poprawy efektu można jeszcze posypać **pieprzem**, zwłaszcza jeśli gorgonzolę mieliśmy w wersji słodkiej.

I ODPUŚĆ NAM NASZE DŁUGI...

PROF. DAVID GRAEBER, ANTROPOLOG, AUTOR KSIĄŻKI „DŁUG”:

Pojęcie moralności tkwi korzeniami w języku handlu, ale relacje międzyludzkie powinny opierać się na czymś więcej niż bezosobowa arytmetyka.

TOMASZ TARGAŃSKI: Czym jest dług?

DAVID GRAEBER: Obietnicą. Moralnym zobowiązaniem.

Tylko tyle?

To mało? Społeczeństwa, a nawet państwa opierają się przecież na obietnicach składanych sobie przez wolnych ludzi. Problem w tym, że owo moralne zobowiązanie zostało obdarte z człowieczeństwa i skwantyfikowane, wkradły się weń przebiegłość i matematyka. Uczyniono z niego rzecz, którą można przetranszować, a nawet odsprzedać. Skorumpowało się. Sprowadza nasze poczucie moralności i sprawiedliwości do języka umowy handlowej.

Dług to dług – czy język rzeczywiście coś tu zmienia?

Bardzo dużo. Jeśli jesteśmy komuś winni przysługę, to jest to zupełnie coś innego, niż jeśli bylibyśmy winni 100 tys. dolarów. W tej sytuacji żadna ze stron nie musi być szczególnie wyczulona na potrzeby, pragnienia i możliwości drugiej. Nie trzeba wzajemnie oceniać swoich motywacji czy kosztów ludzkich – wystarczy ustalić kwotę.

Trudno mi sobie wyobrazić, że dług mógłby być czymś innym.

Niestety, ten proces trwał kilka tysięcy lat. Pod wpływem pieniądza, wojen i podbojów nasze pojęcie o wzajemnych zobowiązaniach wygląda teraz zupełnie inaczej, ale nie wszystko jeszcze stracone. Głęboko w nas wciąż tkwi przecież poczucie, że w tej zdegenerowanej obietnicy, którą nazywamy długiem, coś jest nie tak. Zwróćmy uwagę, że choć większość z nas jest święcie przekonana, że długi trzeba spłacać, to istnieje również powszechna opinia, że ludzie, którzy pożyczają pieniądze, są źli. Ten dysonans powoduje w nas moralny zamęt, a jego źródła są stare jak ludzka cywilizacja.

Gdzie szukać tych źródeł?

W trakcie zbierania informacji do książki uświadomiłem sobie, że dług jest właściwie istotą relacji społecznych. Życie każdego z nas całkowicie zależy bowiem od innych, nawet jeśli nie zdajemy sobie sprawy ze wszystkich łączących nas z nimi zależności. Dodatkowo, wedle niemal wszystkich tradycji religijnych, człowiek rodzi się z długiem wobec bogów i musi go spłacać za pomocą ofiar. W tym sensie życie jest czymś w rodzaju pożyczki zaciągniętej u sił nadprzyrodzonych. Koncepcja długu z pewnością pojawiła się więc na długo przed pieniądzem. Na jej ślady natrafiamy już w pierwszych źródłach pisanych o charakterze religijnym. Wedy, święte księgi hinduizmu, datowane między 1500 a 1200 rokiem p.n.e., dowodzą wielkiego zainteresowania długiem. Stanowi on ciężar nałożony na człowieka przez śmierć. W wielu systemach religijnych słowa „dług” i „grzech” to właściwie synonimy. W tym sensie każde nieuregulowane zobowiązanie, wobec bogów albo ludzi, sprawia, że życie człowieka toczy się w cieniu śmierci. Nie odkrywam tutaj niczego nowego. Brytyjski socjolog Geoffrey Ingham już jakiś czas temu zauważył, że w językach indoeuropejskich słowo „dług” oznacza tyle, co „wina” bądź „grzech”.

Jeśli każdy z nas rodził się obciążony długiem, to dlaczego mielibyśmy zwracać go w pieniądzu, a nie np. poprzez dobre uczynki?

Właśnie, już starożytni autorzy widzieli w tym rodzaju wymiany sprzeczność. Bo skoro bogowie mają wszystko, czego pragną, co właściwie mogliby zaproponować im ludzie? Problem w tym, że jesteśmy niedoskonalimi i nie potrafimy żyć według pięknych założeń głoszonych ustami proroków. Chrzześcijaństwo odmawiając modlitwę prosi Boga: „odpuść nam nasze długi, jako i my odpuszczamy naszym dłużnikom” [łacińska wersja mówi o *debitori*, czyli dłużnikach, nie o winowajcach – przyp. TT]. Większość z nich zdaje sobie jednak sprawę, że zwykle nie przebacza i nie odpuszcza. Skoro nie potrafimy postępować w taki sposób, to jedynym, co pozostaje, jest wpro-

DAVID GRAEBER (ur. 1961) jest antropologiem i aktywistą, profesorem antropologii na London School of Economics. Był jedną z głównych postaci ruchu Occupy Wall Street, przypisuje się mu autorstwo sloganu „Jesteśmy 99 procentami”. Obok: w Mediolanie, 2012 r.

wadzenie do spraw duchowych logiki matematyki oraz handlu. Stąd mamy „rachunek” sumienia i „odkupienie” grzechów. Prowadzimy rodzaj gry, w której Bóg do spółki z Diabłem prowadzi coś na kształt konkurencyjnej księgowości. Wiemy, że nie jesteśmy godni przebaczenia, więc próbujemy je sobie kupić. Dlatego od Sumeru przez Egipt aż po Grecję ofiary w świątyniach składano za pomocą srebra i złota, a pieniądź był tym, co uważano za rzecz najodpowiedniejszą jako dar dla bogów. O tym, że pieniądze od zarania pełniły rolę pośrednika między sferami *sacrum* i *profanum*, świadczy choćby związek między niemieckim określeniem pieniędzy (*Geld*), staroangielskim słowem oznaczającym ofiarę (*Geild*) oraz współczesnym angielskim sformułowaniem *guilt*, co oznacza winę.

Jakie były dalsze dzieje długu?

Niektórzy badacze są zdania, że długi wobec bogów na pewnym etapie przejęło państwo. Tak powstały podatki. W pewnym sensie spłacamy w ten sposób dług wobec społeczeństwa. Wydaje mi się, że istnieje pewna naturalna dynamika, dzięki której ludzie u władzy zmieniają zobowiązania w długi. Tego rodzaju logikę od zawsze wykorzystywały wszystkie imperia. Podbijając dane miasto, nakładały na jego mieszkańców trybut. Była to symboliczna opłata za darowanie życia, bo można było przecież wszystkich zabić. Trybut stawał się więc formą spłaty tego długu.

Jak zakwestionować taki przymus?

To bardzo trudne. Dobrym sposobem, ale tylko pozornie, jest odwrócić pytanie: „Stop. Przecież imperium żyje z naszej pracy. To ono jest nam coś winne”. Ten sam argument można zastosować dziś, w dyskusji na temat długu krajów Trzeciego Świata: „Zaraz. Dlaczego kolonizowani mają być cokolwiek winni kolonizatorom?”. Problem w tym, że używając tych argumentów wciąż posługujemy się językiem długu. Nawet jeśli kwestionujemy pewne zobowiązania bądź uważamy je za niesprawiedliwe, używamy do tego logiki handlu.

W jaki sposób opisałby Pan relacje między pieniądzem a długiem?

Pieniądź, każdy pieniądź, to dług. W Anglii, gdzie mieszkam, na banknotach jest wprost napisane: „Obiecuję zapłacić okazicielowi tego banknotu sumę...”. Nawet złota moneta jest obietnicą zwrotu czegoś, co odpowiada wartością złotej monety. Pieniądź – nieważne czy w kruszcu, czy w banknotach – są więc skryptem dłużnym, swego rodzaju umową. Aby naprawdę zrozumieć, czym jest dług, musimy przestać myśleć o pieniądzu jako o surowcu naturalnym. W dyskusji o gospodarce cały czas słyszę argument „nie mamy na to dość pieniędzy”. Ale pieniądze to nie ropa, nie może ich zabraknąć. Rządy wydając pieniądze generują dług – nie biorąc ich przecież z wielkiego ogólnoswiatowego skarbcza, gdzie złożono całą gotówkę świata.

Mówię to, ponieważ w ciągu ostatnich pięciu tysięcy lat nasz stosunek do pieniędzy wyznaczały powtarzające się fazy. ➔



PIER MARCO TACCA / GETTY IMAGES

W ciągu ostatnich pięciu tysięcy lat nasz stosunek do pieniędzy wyznaczały powtarzające się fazy. Wszystkie rozwinięte cywilizacje kołysały się między okresami, kiedy używano pieniądza kredytowego lub wirtualnego, a tymi, kiedy dominowały kruszce. Te ostatnie zwykle zyskiwały na popularności w okresach wzmożonej przemocy i imperiów.

W Mennicy Goznak, Moskwa, listopad 2017 r.

VALERY SHARIFULIN / TASS / FORUM



→ Wszystkie rozwinięte cywilizacje kołysały się między okresami, kiedy używano pieniądza kredytowego lub wirtualnego, a tymi, kiedy dominowały kruszce. Te ostatnie zwykle zyskiwały na popularności w okresach wzmożonej przemocy i imperiów. System finansowy kręcił się wówczas wokół złotych i srebrnych monet, ponieważ są one wygodnym środkiem, by np. opłacać armie. Pieniądz wirtualny przeważa z kolei w okresach względnego pokoju. Sprzyja powstawaniu sieci zaufania społecznego, jak system feudalny. W tym systemie honor stanowił przecież coś w rodzaju symbolicznego kapitału. Dlatego średniowiecze było okresem, kiedy pieniądz metalowy niemal zniknął. Renesans to znów ostry zwrot w stronę kruszcu.

Leszek Kołakowski pisał, że od XVI wieku w kulturze europejskiej pojawia się narastające marzenie o świecie bez pieniędzy. O powrocie do wymyślanego raj, w którym rzeczy są, czym są. Pisał o tym też John Locke.

Tak, ta tendencja jest bardzo wyraźna i nie przypadkiem pojawia się właśnie w wieku XVI, który jest pierwotnym wiekiem akumulacji kapitału. Pieniądze w formie monet zaczynają wracać do Europy, co pomaga formować się imperiom kapitalistycznym. Ów okres trwał w zasadzie do 1971 r., kiedy Richard Nixon ogłosił, że dolara amerykańskiego nie będzie już można wymienić na złoto. Obecnie żyjemy w epoce pieniądza wirtualnego, choć właściwie dopiero w nią wkraczamy.

A jak na tym tle wygląda sytuacja dłużnika? Czy wspomniane cykle mają wpływ na jego kondycję?

Oczywiście. W okresach dominacji pieniądza kredytowego dużo łatwiej przeprowadzić abolicję długów. Być może ma to związek z faktem, że gotówki jest niewiele, ludzie mają z nią ograniczony kontakt, przez to wydaje się mało konkretna. W tych okresach zaczynamy rzeczywiście myśleć o pieniądzu kreatywnie. To jest – uświadamiamy sobie, że są umowne.

Szeroko opisuje Pan charakterystyczne dla wszystkich cywilizacji rytuały oczyszczania się z długów. Na czym polegały?

W starożytnej Mezopotamii istniało coś w rodzaju święta niszczenia glinianych tabliczek, na których zapisywano zobowiązania finansowe. W judaizmie, w myśli zapisów Księgi Kapłańskiej,

co 49 lat obchodzono Rok Jubileuszowy. Cała ziemia rodowa wracała wówczas do pierwotnych właścicieli, a wolność odzyskiwali nawet ci, których sprzedano jako niewolników. Tego rodzaju amnestie były symbolicznym aktem ponownego stworzenia społeczeństwa. Co ciekawe, przez większą część historii ludzkości konflikty polityczne między klasami przybierały postać apeli o darowanie długów. W czasach napięć i kryzysów żądano głównie abolicji podatkowej oraz ponownego, sprawiedliwszego podziału ziemi.

W Polsce, kiedy w połowie XIX wieku zniesiono pańszczyznę, chłopci często urządzali symboliczne pogrzeby ksiąg powinności wobec dworu.

To tylko potwierdza moją opinię o głęboko zakodowanej w naszym DNA potrzebie istnienia mechanizmu nadzorującego relacje między dłużnikami a wierzycielami. Przez wieki był on niezbędnym narzędziem utrzymywania równowagi społecznej. O sposobach, jakie wymyślili starożytni, już powiedziałem. W średniowieczu rolę takiego strażnika pełnił Kościół, który zwalczał lichwę, nakładając na nią moralne piętno. Niestety w naszych czasach – a pamiętajmy, że niedawno wkroczyliśmy w epokę pieniądza wirtualnego – podobny mechanizm nie istnieje.

Odkąd odeszliśmy od parytetu złota, nic nie jest w stanie powstrzymać banków przed udzielaniem kredytów na prawo i lewo, co grozi stworzeniem rzeszy ludzi, którzy nie będą mogli ich spłacić, czyli niewolników. Zauważmy, że poddaństwo za długi w dalszym ciągu stanowi podstawową zasadę pozyskiwania siły roboczej: albo dosłownie, jak w Azji Wschodniej i Ameryce Południowej, albo w sensie psychologicznym, ponieważ większość mieszkańców Zachodu otrzymując wynagrodzenie za pracę czuje, że wykonuje ją przede wszystkim po to, by spłacić oprocentowane pożyczki. Gdyby Arystoteles zobaczył, jak wyglądają nasze stosunki pracy, to przypuszczam, że uznałby nas wszystkich za niewolników. Nie wierzę, by dostrzegł wielką różnicę między sprzedaniem się w niewolę a przymusem wynajęcia się na osiem lub więcej godzin dziennie z powodu pożyczki. Niestety jedyne, na co było nas stać, to Międzynarodowy Fundusz Walutowy, który, delikatnie rzecz ujmując, nie sprawdził się, ponieważ zamiast chronić dłużników, występuje w in-

teresie ich zamożnych wierzycieli. Obserwując, co dzieje się na świecie, nie mogę pozbyć się wrażenia, że doświadczamy sytuacji, której najbardziej obawiali się starożytni: społeczeństwa dłużników, które z definicji nie jest społeczeństwem.

Uważa Pan, że idea abolicji, czy choćby negocjowania długu, została na Zachodzie zapomniana?

O nie, w naszych czasach dług wciąż podlega negocjacji. Proszę zapytać o to zarząd AIG albo Goldman Sachs. Oni zdołali wynegocjować świetne warunki. Wątpię jednak, czy ktośkolwiek spojrzalby na Pana bądź moje zobowiązania z podobną życzliwością. Amerykański ekonomista Michael Hudson w jednej ze swoich książek napisał coś, co bardzo mi się spodobało. Według niego najważniejsza różnica między bogatymi a biednymi jest taka, że biedni na ogół czują się bardziej zobowiązani, by spłacać swoje długi!

Mówiąc poważnie, jeśli chcemy w jakiejś formie wrócić do idei darowania długów, to musimy wysilić wyobraźnię i przestać myśleć o pieniądzu jako o surowcu, którego może zabraknąć. Iluzja, że pieniądze na spłatę zobowiązań nie wezmą się przecież znikąd, bo trzeba „skądś” je wziąć, jest tym, co utrzymuje obecny system przy życiu. Fanatyczna wiara w świętość i nienaruszalność długu jest jednym z ostatnich jego bastionów. Przekraczając tę granicę rządy i przedstawiciele sektora finansowego przyznaliby w istocie, że system zbankrutował. Choć niedługo i tak nie będą mieli innego wyjścia.

Dlaczego?

Bo znaleźliśmy się w impasie. Żyjemy uwięzieni w pułapce beznadziei. Zbliżamy się do końca jednego porządku, ale nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, co będzie dalej. Zawsz słyszmy tylko, że przyszłość będzie gorsza niż teraźniejszość, więc niech już będzie tak, jak jest. Tyle że symbolem każdej upadłej ideologii jest właśnie antyutopizm. Współczesny zbiurokratyzowany kapitalizm jest niejako zaprojektowany, by niszczyć wszelkie alternatywne wizje przyszłości. Postęp technologiczny wyraźnie zwolnił. Wszystko, co nazywamy innowacjami, to po prostu mniejsze bądź szybsze wersje tej samej rzeczy. Dla ludzi żyjących w latach 50. czy 60. lot na Marsa był kwestią jutra. Dziś to nie do pomyślenia.

Jestem naukowcem, ale uważam się też za aktywistę. Za każdym razem, kiedy przekonuję, że w historii świata było wiele różnych systemów ekonomicznych i nie jesteśmy skazani na kapitalizm, słyszę milion argumentów, dlaczego to niemożliwe. Peter Thiel [współzałożyciel PayPal – red.] mówił ostatnio, że technologia i internet uniemożliwiają taką zmianę. Pomyślałem: stop, czyli w czasach radła i wozu zaprzęzonego w woły istniały sposoby na zorganizowanie rynku i gospodarki na różne sposoby, a mając do dyspozycji komputer stać nas tylko na jeden?

W połowie XIX wieku rosyjski utopista Nikołaj Czernyszewski postawił tamtejszą inteligencję przed wielkim pytaniem: co robić? Pan ma jakiś pomysł?

Przed wszystkim mieć świadomość, że toczy się wojna o naszą wyobraźnię i aby nie ulec, musimy myśleć w duchu nadziei na zmianę na lepsze. Już zapomnieliśmy, dlaczego kapitalizm odniósł tak spektakularny sukces. Stało się tak, ponieważ oferował ludziom nadzieję. Jego ideolodzy nigdy nie stwarzali pozorów, że chcą wyrównywać szanse. Nie. Każde kolejne pokolenie boleśnie przekonało się o nierównościach, jakie stwarza system. Ale godziliśmy się na nie, ponieważ mogliśmy mieć nadzieję, że naszym dzieciom będzie się wiodło lepiej niż nam. Albo liczyliśmy na postęp technologiczny, że będziemy żyli dłużej, zdrowiej i tak dalej.

Teraz wiadomo, że król jest nagi. Kapitalizm przeszedł więc od systemu, który stwarza nadzieję, do szantażysty, który przystawia ci pistolet do głowy, jeśli nie masz pieniędzy na spłatę długu. Bo to oznacza, że nie pracujesz dość ciężko i jesteś złą osobą. Kiedy nadzieja zupełnie wyparowuje, pozostaje jedynie ideologia.

Zaczęliśmy od tego, że dług jest obietnicą. Teraz okazuje się, że stał się ideologią.

Bo dług zawsze był ideą obciążoną wielką moralną siłą. Narodził się jako zobowiązanie zawierane przez wolnych ludzi. W naturze takich ludzi leży więc wolność negocjowania umów między sobą. Ostatecznie istota moralności polega przecież nie tyle na spłacaniu długów, co na ich wybaczeniu.

© Rozmawiał TOMASZ TARGAŃSKI

TP

Zaproś Czytelników „Tygodnika”

25 kwietnia ukaże się podwójne, szeroko promowane, wyjątkowe wydanie „Tygodnika Powszechnego” – na majówkę. Chcemy w nim zaprezentować miejsca, które warto odwiedzić podczas długich weekendów, urlopu czy wakacji. Dokąd pojechać, gdzie zaplanować wizytę, czego nie pominąć?

Zapraszamy galerie, muzea, instytucje kultury i organizatorów festiwali: przygotowaliśmy specjalne ceny na ogłoszenia prasowe i internetowe.

Na Państwa kontakt czekają Anna Pietrzykowska i Mateusz Gawron pod numerem 12 422 05 70 lub adresem: reklama@tygodnik.com.pl

Kulturalna majówka

– tylko z „Tygodnikiem Powszechnym”!



STANISŁAW

Mancewicz:

Pani mówi prozą



MOTTEM NASZYCH DZISIEJSZYCH ROZWAŻAŃ będzie zdanie znane wielbicielom Moliera, brzmiące następująco: „Wszystko, co nie jest prozą, jest wierszem, a wszystko, co nie jest wierszem, jest prozą”. Czytelników niezorientowanych literacko informujemy, że pochodzi ono z utworu pod tytułem „Mieszczanin szlachcicem”. Wskazówka ta nie jest bynajmniej dowodem na naszą skłonność do demonstrowania wyższości. To po prostu klasyczny detal o charakterze erudycyjnym, który musimy od czasu do czasu wtrącić, by nie wychodzić wciąż i wciąż na buraka. No więc, w najbliższych okolicach zdania tu cytowanego, bohater utworu, pan Jourdain dowiadyuje się, że całe swe życie mówi prozą właśnie. Jest to dla niego wiadomość zupełnie nowa i całkowicie szokująca. Pan Jourdain nie spodziewał się, że nie będąc prozaikiem, może uprawiać ten gatunek.

Zastanowimy się teraz, na ile ten rodzaj zdumienia jest na terenie RP nowy i aktualny. Niejako przy okazji dowiedziemy, że opinie o prędkim przepływie refleksji bądź to klasyki złotych myśli, np. z Francji do Polski, nie muszą być słuszne, zważywszy że Moliere napisał ów utwór 348 lat temu. Oto teza nasza jest taka, że Polska to bodaj jedyny kraj we wszechświecie, gdzie prozą mówi się na co dzień, a odkrycie to mimo licznych zawstyżeń poczytujemy sobie oczywiście za zaszczyt i powód do dumy.

Pretekstem do tych roztrząsań jest mnogość bardzo świeżych zdziwień, wręcz traum na tym właśnie tle, to znaczy w uzyskaniu świeżej świadomości, że niczego niespodziewający się ludzie są zaskakiwani opiniami bliźnich, że oto są prozaikami.

Weźmy pierwszą z brzegu osobistość, funkcjonującą w coraz to częstszym zmieszaniu popkultury i infantylniej polityki. W czasie ostatniej prezydenckiej kampanii wyborczej w rosyjskich mediach używano wobec niej określenia *Krasawica*. Ten rzeczownik tak nam się podoba, że będziemy go używać. Otóż Krasawica dowiedziała się z ekspozycji w jednym z warszawskich muzeów, że mówi prozą. Jej zdumienie można porównać tylko do zdziwienia pana Jourdain. Jej reakcja jest zarówno klasyczna, bo jourdainowska, ale zmartwienie i sprzeciw, który Krasawica wyraziła, jest oczywiście reakcją na nowoczesny stosunek Zachodu do prozaików. Krasawica bardzo chce być uczestniczką zachodniego modelu szołbiznesu, ale z łatką prozatkorki będzie to trudne – i to ją rozjusza. Szołbiznes, nie mówiąc o politykach Zachodu, prozą publicznie nie mówi, bo nie wypada. Z podobnym Krasawicy zespołem traum zmagają się solidne grono tutejszych polityków, dziennikarzy, literatów, urzędników i szołmenów. Oto słuchamy dziś wielu ludzi władzy mówiących nieskalaną prozą. Także jak i Krasawica są absolutnie wstrząśnięci, gdy się o tym dowiadują. Ich marzenie o sukcesie modernizacyjnym zderza się z brutalną opinią, że mianowicie archaizują, że są niemodni, że zaiste chodzą oni w łapciach prozy wręcz wulgarnej. Rzec trzeba, że śmichów i chichów jest z tej okazji mnóstwo, na całym świecie. Gdy zewsząd słysząc, że mówimy tu w Polsce prozą wszyscy, z czegośmy sobie nie zdawali sprawy, i czujemy się trochę nieswojo. Jak zwykle. Złudzenie, że prozą mawia się tu rzadko, tylko w marcu, to oczywiście ułudą, i kiepskie tłumaczenie. Proza jest w nas, po prostu.

Pół biedy by było, gdyby kraj nasz był podobnie jak Korea Południowa oderwany od kanałów przenikania prozy ponad granicami. Gdyby oto proza miała charakter intymny, wewnętrzny, gdyby grasowała lokalnie, wtedy można by było bezhamulcowo czuć się jeno dumnym z tej twórczości. Ponieważ proza owa dolatuje od nas tam, gdzie jest uznawana za przeżytek, ponieważ pełna jest elementów niemodnych, prozaicy mimo marzeń o byciu trendy mają poczucie krzywdy bycia oświecieranym światłem niechcianym. Wydaje się, że jedynym wyjściem jest ustanowienie jakiegoś powszechnego, dla wszystkich, bezpłatnego kursu poezji, bowiem jak powiada Moliere: „wszystko, co nie jest prozą, jest wierszem”. © P

BARTOSZ MINKIEWICZ



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 13/2018

**WIELKIE
PYTANIA 9**



**Copernicus
Center**

**PRZEŁOMY
W FIZYCE**

Is. Newton





03 Fizyka wyprowadzona w pole
TOMASZ MILLER
Zmierzyć cząstek i triumf pól



07 Wielkie odpowiedzi na małe pytania
SEBASTIAN SZYBKĄ
O drobnym problemie z trzema ciałami



10 W cieniu bomby
INFOGRAFIKA
Wędrowki w czasie i przestrzeni twórców bomby jądrowej



12 Ciemny sektor kosmosu
TOMASZ PŁAZAK
Jak zmierzyć naszą niewiedzę o wszechświecie?



16 Historia pewnej nierówności
MICHAŁ ECKSTEIN, PAWEŁ HORODECKI
Upiorne oddziaływanie na odległość



20 Urwana trajektoria
ŁUKASZ ŁAMŻA
Żegnamy Stephena Hawkinga



21 Obce globy
ROZMOWA Z NIGELEM MASONEM
O nowym życiu kosmosu



24 Jako w niebie, tak na papierze
ŁUKASZ ŁAMŻA
Między młotem teorii a kowadłem obserwacji

Redakcja: Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża
Projekt graficzny: Marek Zalejski
Fotoedycja: Edward Augustyn
Infografiki: Lech Mazurczyk

Skład: Andrzej Leśniak
Okładka: Marek Zalejski
ILUSTRACJE: GL ARCHIVE / ALAMY STOCK PHOTO // PIXABAY
Współwydawca: Fundacja Centrum Kopernika



Copernicus Center



ŁUKASZ ŁAMŻA

TO JUŻ TRZECI DODATEK O WIELKICH PRZEŁOMACH w nauce. Po biologii i chemii czas na fizykę. Osoby wciąż wzdragające się na wspomnienie chwil spędzonych pod zakurzoną od kredy tablicą chcemy uspokoić. Choć nauki tej nie da się uprawiać bez zmiennych, parametrów i równań – słowo harcerza, naprawdę się nie da! – kryje się za nimi całkiem namacalna, otaczająca nas rzeczywistość. I to jaka!

Dziś mówimy o momentach w historii, kiedy nasze zrozumienie świata uległo fundamentalnej przemianie. Opisujemy stopniowe oddalanie się naukowców od swojskiego pojęcia materii oraz jej porcji – cząstek – i migrację ku trudniej uchwytym polom, a także odkrycie kryjącej się nawet w najprostsz

ych nieprzewidywalności oraz zupełnie nowego rodzaju powiązania pomiędzy cząstkami: splątania kwantowego. Mówimy też o problemie „ciemnego sektora”, który uświadamia nam, jak niewiele wiemy o wszechświecie jako takim, oraz odkryciu planet pozasłonecznych, a więc morza wypełniających kosmos światów.

Krótko mówiąc, wielkie przełomy w fizyce to przewroty w naszym rozumieniu podstawowych własności świata. A jest on dziwniejszy od najdziwniejszych snów Salvadora Dalego i Yves’a Tanguya oraz bardziej tajemniczy niż wszystkie opowiadania Jorge Luisa Borges’a razem wzięte. Czytajmy więc i dziwujmy się!



BRIAN SNYDER / REUTERS

Fizyka wyprowadzona w pole

TOMASZ MILLER

**Mylą się ci, którzy zarzucają fizykom materializm.
Wielowiekowy rozwój nauki uświadomił nam,
że obok materii fundamentalnym składnikiem wszechświata
są przenikające go niematerialne pola.**

DLA PORZĄDKU PRZYPOMNIJMY ogólną definicję: polem fizycznym nazywamy przestrzenny rozkład pewnej wielkości. Pojęcie to można stosować do wielu fizycznych parametrów – pomyślny choćby o mapie pogodowej, przedstawiającej temperaturę w kraju (każdemu punktowi na mapie przypisana jest liczba stopni Celsjusza) albo prędkość wiatru (w każdym punkcie zaczepiona jest strzałka, a ściślej – wektor, który mówi, skąd i jak mocno wieje).

Znacznie ciekawszymi przykładami są pola grawitacyjne i elektromagnetyczne.

O ile bowiem pola temperatury i prędkości wiatru stanowią tylko wygodny matematyczny opis zachowania ogromnej liczby atomów powietrza, o tyle grawitacja i elektromagnetyzm okazują się mieć naturę fundamentalnie polową. Stopniowe uświadamianie sobie tego faktu przez uczonych ściśle spletało się z historycznym rozwojem fizyki.

Zabrania się oddziaływać zdalnie!

Gdyby w historii filozofii przyrody próbować wskazać jedną zasadę, co do której od Arystotelesa do Kartezjusza panowała wśród uczonych niemal powszechna

zgoda, byłby to zakaz bezpośredniego oddziaływania ciał na odległość. „Ciało po prostu nie może oddziaływać tam, gdzie go nie ma” – podsumowywał to prawo przyrody filozof i historyk nauki Ernan McMullin. Od tej zdroworozsądkowej reguły zdawały się jednak istnieć wyjątki, z którymi uczeni radzili sobie przez wieki na różne pomysłowe sposoby. Kamienie i jabłka spadają na ziemię? To dlatego, że dążą do swojego naturalnego położenia (Arystoteles). Pływy wydają się podążać za Księżycem? To dlatego, że Księżyc dzieli z oceanem „wodną naturę” Abu Maszar), jego światło →

→ zagęszcza i rozrzedza wodę (Robert Grosseteste), albo wręcz za pływy wcale nie odpowiada Księżyć, tylko ruch dobowy i orbitalny Ziemi (Galileusz).

Nieco więcej kłopotów sprawiały tajemnicze kamienie znajdowane m.in. w greckiej Magnezji (choć znane również w starożytnych Chinach, Indiach i Meksyku), potrafiące przyciągać drobne żelazne przedmioty z pewnej odległości, a także bursztyn, zwany przez Hellenów „elektronem”, który po potarciu wełną przyciąga źdźbła słomy, sukno i pyłki kurzu. Tales z Miletu widział w zachowaniu tych kamieni dowód na posiadanie przez nie duszy. Empedokles, a za nim Platon, Plutarch oraz greccy atomiści spekulowali, iż wydzielają one swoiste „wyziewy” (*effluvia*), które wywiewają pobliskie powietrze i w tak powstałą próżnię wciągają drobne obiekty. Jakkolwiek dziwaczne mogą się wydawać z dzisiejszej perspektywy, takie „wyziewowe” wyjaśnienia zjawisk elektrycznych (jak zaczęto je nazywać po odkryciu podobnych właściwości u innych niż bursztyn substancji) funkcjonowały aż do XVII w. W przypadku magnesów przestały one jednak wystarczać znacznie wcześniej – gdy pod koniec XII w. do Europy dotarł (prawdopodobnie z Chin) genialny wynalazek: kompas.

Jak to możliwe, że magnes, gdy pozwolić mu się swobodnie obracać, nieomylnie wskaże kierunek północ–południe? Z czym on właściwie wówczas oddziałuje? Wśród marynarzy od wieków krążyły legendy o „wyspach magnetycznych”, zdolnych wyrwać gwoździe z przepływających zbyt blisko statków. Czyżby największa z takich wysp znajdowała się w pobliżu bieguna? A może, jak u progu XVII w. zaproponował angielski lekarz królewski William Gilbert, cała Ziemia jest gigantycznym magnesem, którego bieguny pokrywają się z biegunami geograficznymi? Tak czy inaczej, ewidentnie mielibyśmy tu do czynienia z bezpośrednim oddziaływaniem na odległość, co byłoby niemożliwe do zaakceptowania! W swoim traktacie „O magnesie” (1600) Gilbert zaproponował więc, że każdy magnes – w tym kula ziemiska – roztacza w swoim pobliżu „sferę mocy” (*orbis virtutis*). Każdy żelazny przedmiot umieszczony w obrębie tej sfery doznaje działania siły magnetycznej. Chociaż wprowadzenie takiej niewidzialnej „strefy wpływu” jako pośrednika oddziaływań może wydawać się sztucznym zabiegiem, to, jak

Wprowadzając prawo powszechnego ciężenia, **Newton dokonał unifikacji mechaniki** ziemskiej i niebieskiej, za jednym zamachem opisując spadające jabłka i kule armatnie, pływy oraz ruchy planet.

się okazało, przygotowało grunt pod rewolucję w iście kosmicznej skali.

Matematyczna siła

Od czasów Arystotelesa i Ptolemeusza uważano, że planety przemierzają kosmos przytwierdzone do sztywnych, koncentrycznych sfer. Nawet Kopernik nie polemizował z tym poglądem w swym słynnym traktacie, zatytułowanym však „O obrotach sfer niebieskich”. Wszystko zmieniło się dzięki Wielkiej Komecie 1577 roku i obserwacyjnemu kunsztowi Tycho Brahego. Drobiazgowo dane zgromadzone przez duńskiego astronoma nie tylko udowodniły ponadksiężycową proveniencję komet (dotąd uważano je raczej za zjawiska atmosferyczne), ale w dodatku wskazywały, że muszą one na swojej drodze przebiegać się przez kilka sfer niebieskich. Dla jego asystenta Johanna Keplera był to wystarczający dowód na to, że w kosmosie tak naprawdę nie ma żadnych twardych, obracających się sfer, a przyczyn obserwowanego ruchu planet trzeba szukać gdzie indziej.

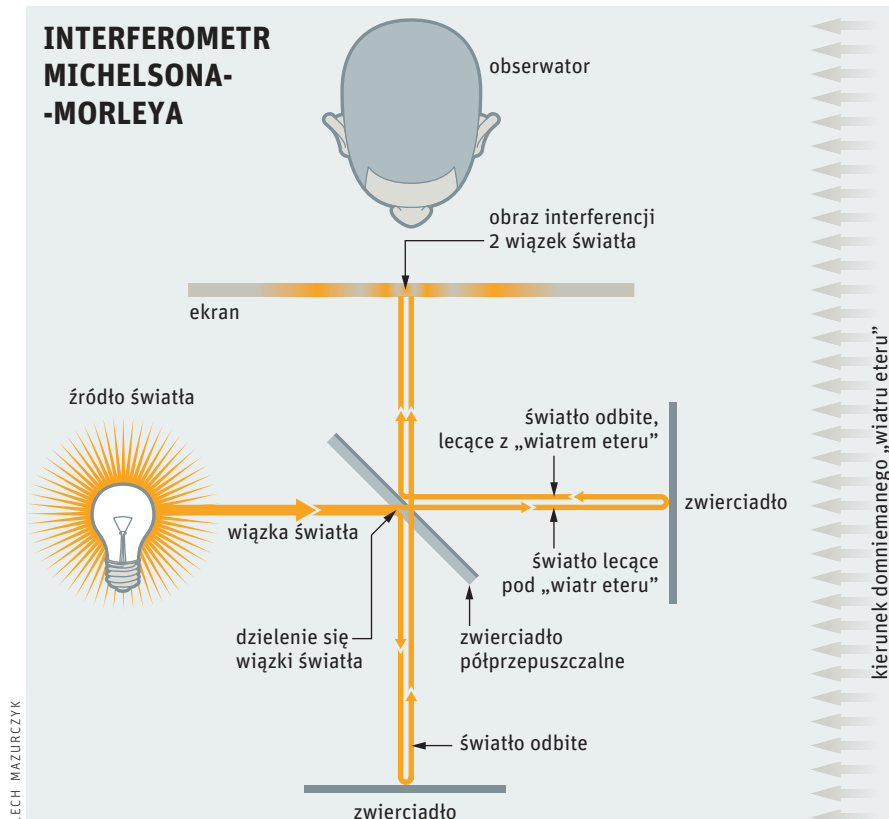
Jako gorliwy kopernikanista Kepler upatrywał źródła tego ruchu w Słońcu. Znajac teorię Gilberta, wysunął hipotezę, że Słońce, podobnie jak magnesy, roztacza swego rodzaju niematerialną „strefę wpływów”. Strefa ta, obracając się wraz z naszą gwiazdą dzienną, miała by popychać planety w ich ruchu obiegowym. Z kolei odstępstwa od kołowego kształtu orbit – to właśnie Kepler odkrył, że orbity są elipsami – miały być skutkiem naprzedmiennego przyciągania i odpychania magnetycznego między planetami a Słońcem. Zauważmy, że nie ma tu jeszcze mowy o innej niż magnetyczna siła przyciągającej. Gdy Kepler zasugerował ją w swoich późniejszych pracach,

został ostro skrytykowany przez Galileusza i Kartezjusza. W upowszechniającej się właśnie „filozofii mechanicznej” nie było miejsca na takie „dziecinne absurdy” jak zdalne przyciąganie i niematerialne strefy wpływów – wszystkie oddziaływania miały pochodzić od zderzeń, naprężeń i ciśnień.

I wtedy na scenę wkroczył Izaak Newton, który wyniki i intuicje Keplera (a także Galileusza i innych) przekuł na ścisły, praktycznie kompletny zestaw praw rządzących mechaniką. Wprowadzając w „Matematycznych zasadach filozofii przyrody” (1687) słynne prawo powszechnego ciężenia, Newton dokonał oszałamiającej unifikacji mechaniki ziemskiej i niebieskiej, za jednym zamachem opisując spadające jabłka i kule armatnie, pływy oraz ruchy planet. Dostrzegając jednocześnie, że jego teoria grawitacji wyraźnie sugeruje bezpośrednie oddziaływanie na (znaczną!) odległość, i przeznornie zastrzegając (nawet w tytule!), że postulowana przez niego siła ciężenia jest tylko „siłą matematyczną”; jest pewnym modelem, który ma poprawnie opisywać wyniki doświadczeń, ale nie śmie aspirować do dociekania „prawdziwych” źródeł tego zjawiska. Co do tych ostatnich, jak odpowiadał krytykom, „*hypotheses non fingo*” („nie stawiam hipotez”). Warto wszakże odnotować, że w późniejszych latach on sam i jego zwolennicy podejmowali próby mechanicznego wyjaśnienia grawitacji.

Matematyzując filozofię przyrody, twórca teorii powszechnego ciężenia przesunął akcenty w pracy fizyka. Skuteczny matematyczny model zjawiska był cenny nawet bez kompletnej filozoficznej interpretacji (choć ta wciąż uchodziła za kluczową). To z kolei nie tylko stymulowało rozwój matematyki, ale i ośmielało badaczy do stosowania w fizyce coraz bardziej abstrakcyjnych struktur matematycznych. Jeszcze w XVIII w. powstały alternatywne, wyrafinowane sformułowania Newtonowskiej mechaniki, a także samej teorii grawitacji. Okazało się, że „strefa grawitacyjnego wpływu” daje się wygodnie opisać pojedynczą funkcją zwaną „potencjałem”, pozwalającą w każdym punkcie przestrzeni obliczyć siłę, która działałaby na umieszczone w tym punkcie ciało. W myśl przytoczonej na wstępie definicji było to już pełnokrwiste pole, ale na historycznie pierwsze użycie tego terminu trzeba było poczekać kolejne pół wieku.

INTERFEROMETR MICHELSONA-MORLEYA



LECH MAZURZYK

Eksperyment Michelsona-Morleya

ZE ŹRÓDŁA emitowana jest wiązka światła, która trafiając na zwierciadło półprzepuszczalne, dzieli się na dwie wiązki biegnące w prostopadłych kierunkach do równoodległych zwierciadeł. Odbiwszy się od nich, wiązki ponownie spotykają się w zwierciadle

półprzepuszczalnym, a stamtąd padają na ekran tworząc tzw. obraz interferencyjny. Ponieważ światło jest falą, dwie wiązki mogą się nawzajem wzmacniać (gdy szczyt jednej fali spotyka się ze szczytem drugiej, a dolina z doliną) lub wygaszać (gdy szczyt jednej fali spotyka się z doliną drugiej). Przy braku „wiatru eteru” rozdzielone wiązki potrzebują dokładnie tyle samo czasu na pokonanie drogi

do luster i z powrotem, dzięki czemu wzmacniają się nawzajem. Jeśli jednak jedna z wiązek nieco się spóźni wskutek znoszenia przez „wiatr eteru”, nastąpi ich zauważalne wygaszenie. Obracając detektor oraz prowadząc obserwacje o różnych porach doby, Michelson i Morley mieli nadzieję zmierzyć prędkość Ziemi względem eteru, jednak nigdy nie zaobserwowali wygaszania się wiązek.

Epoka elektromagnetyzmu

Końcówka XVIII i pierwsza połowa XIX w. przyniosły sensacyjne odkrycia w dziedzinie elektryczności i magnetyzmu. Najpierw Charles Coulomb ustalił, że siła elektrostatyczna maleje z odległością analogicznie jak siła ciężkości, a po odkryciu Hansa Oersteda, że prąd elektryczny wychyla igły pobliskich kompasów, również tę magnetyczną siłę udało się zawrzeć w podobnie wyglądającej formule. Elektryczność i magnetyzm, przez kilkaset lat traktowane rozdzielnie, oka-

zały się tajemniczo powiązane, w dodatku za pomocą stosunkowo niewinnie wyglądających wzorów! Koniecznie należało zbadać ten związek bliżej – może dzięki temu uda się wreszcie zrozumieć naturę zdalnych oddziaływań?

Nad tym zagadnieniem pracowało wielu badaczy, ale na polu doświadczałnym żaden z nich nie mógł się równać z Michaeliem Faradayem. Ów „książę doświadczałników” nie tylko „odwrócił” eksperyment Oersteda, indukując prąd elektryczny za pomocą ruchomego magnesu,

ale wykazał też, że w pewnych warunkach silny magnes może wpływać na właściwości światła. Tym samym dostarczył zadziwiającej przesłanki na rzecz elektromagnetycznej natury tego ostatniego.

Faraday był wywodzącym się z biednej rodziny samoukiem i nie znał zaawansowanej matematyki, która pozwalałaby przekuwać jego obserwacje i intuicje na język równań i formuł. Wykształcił za to pomysłową wizualną reprezentację tego, co dzieje się w przestrzeni otaczającej magnesy i przewody z prądem, inspirowaną zachowaniem opiłków żelaza rozsypywanych w ich pobliżu. Wyobrażał sobie mianowicie magnetyczne „linie siły” (jak je nazwał), wijące się w przestrzeni zgodnie z kierunkiem wskazywanym przez opiłki i igły kompasów. Co istotne, doszedł do wniosku, że linie te istnieją fizycznie (choć może niematerialnie), składając się na coś, co nazwał „polem magnetycznym”. Innymi słowy, według Faradaya magnesy i przewody z prądem powołują do istnienia w dookolnej przestrzeni nowy, do pewnego stopnia niezależny byt fizyczny – pole magnetyczne – i to z tym polem reagują żelazne obiekty, a także światło.

Wizja Faradaya, choć użyteczna i oparta na drobiazgowych doświadczeniach, pozostałaby może nieco bardziej wyrafinowaną wersją *orbis virtutis* Gilberta, gdyby nie dzieło Jamesa Clerka Maxwella. To on oparł wyniki i idee Faradaya na solidnych, matematycznych podstawach, tworząc elegancką, dynamiczną teorię dwóch pól: magnetycznego i elektrycznego, przy czym wiązała je ona ze sobą tak ściśle, że uzasadnione było mówienie o „polu elektromagnetycznym”. Z równań Maxwella wyłaniał się obraz pola jako czegoś na wskroś fizycznego, zdolnego przenosić pęd i energię. Okazało się dodatkowo, że zaburzenia tego pola – fale elektromagnetyczne – idealnie pasują do opisu światła.

Podówczas wiedziano już doskonale (dzięki eksperymentom Thomasa Younga z początku XIX w.), że światło jest falą. Aby odpowiedzieć na pytanie, co właściwie fałuje, wskrzeszono i uwspółcześniono wysuniętą ponad dwa stulecia wcześniej (przez Christiaana Huygensa) koncepcję eteru światłonośnego. Miała to być substancja wypełniająca cały wszechświat, zachowująca się jak ciało stałe o ogromnej sztywności, równocześnie niewidzialna i praktycznie bezmasowa. Byłyby to dziwaczne właściwości, ale alternatywa w postaci Faradayowskiego niematerialnego →



ITER.ORG

Fuzja jądrowa

Od kiedy w latach 30. XX w. stało się jasne, że nasze Słońce świeci dzięki syntezie jądrowej – produkcji helu z wodoru – w umysłach naukowców na trwałe załęgła się idea oswojenia tego potężnego procesu. Łatwiej jednak powiedzieć, niż wykonać. Synteza helu osiąga przyzwoitą wydajność dopiero przy setkach milionów stopni Celsjusza, zaś wodór – a właściwie dowolny gaz – podgrzany do takich temperatur trudno utrzymać w miejscu. Słońce rozwiązuje ten problem, przysgiągając go swoim potwornym polem grawitacyjnym. Co jednak mamy zrobić my, Ziemianie? Podgrzanie i opanowanie wodoru wymaga olbrzymiego nakładu energii – fizycy po prostu liczą na to, że w wyniku udanej syntezy helu zdołają otrzymać nadwyżkę energetyczną. Aktualny rekord należy do europejskiego projektu Joint European Torus (JET), który w 1997 r. w jednym z eksperymentów uzyskał bilans ok. 16 megawatów „na plus”. To niewiele więcej niż obiecujący początek. Drugim problemem jest czas, przez jaki udaje się utrzymać w ryzach ultragorącą plazmę wodorową. Dla przykładu: dwa lata temu grupa badawcza w Princeton ogłosiła (z dumą!), że ich reaktor funkcjonował prawidłowo przez... 300 milisekund – czas zbliżony do mrugnięcia okiem. Trudno dziś orzec, czy dojdzie do jednego spektakularnego przełomu, czy też będziemy przez kolejne dekady żmudnie podnosić wydajność reaktorów. Jednak ludzkość z pewnością nie zrezygnuje z prób okiełznania „mocy gwiazd”. © ŁŁ

→ pola dla większości fizyków zakrawała na jawną sprzeczność – niczym drgania struny bez samej struny. Nawet Maxwell do końca życia był przekonany, że jego równania elektrodynamiki w istocie opisują pewne aspekty eteru. Pole elektromagnetyczne, choć realne, jeszcze przez dalsze kilkadziesiąt lat miało być postrzegane jako fenomen zasadniczo mechaniczny.

Cisza w eterze

Unifikacja elektryczności, magnetyzmu i fenomenu światła sprawiła, że zgłębienie natury eteru stało się w drugiej połowie XIX w. zadaniem priorytetowym. Jedną z palących kwestii było zmierzenie prędkości, z jaką Ziemia przemierza eter, a także czy i w jakim stopniu „wlecze” go ze sobą niczym piechur brnący przez gęsty śnieg. W 1886 r. Abraham Michelson i Edward Morley doświadczalnie wykazali, że o żadnym „wleczeniu” eteru nie może być mowy. To z kolei oznaczało, że prędkość „wiatru eteru”, który owiewa Ziemię w jej wędrówce, można mierzyć nawet przy jej powierzchni, a zatem bez konieczności opierania się na niedokładnych obserwacjach astronomicznych.

Pomiaru tego Michelson i Morley dokonali już rok później w pomysłowym i bardzo dokładnym eksperymencie, który skończył się bodaj najsłynniejszym negatywnym rezultatem w historii nauki [zob. ramka]: żadnego „wiatru eteru” nie stwierdzono! Okazało się, że światło porusza się względem Ziemi z taką samą prędkością we wszystkich kierunkach, zupełnie jakby nasza planeta spoczywała względem eterycznego ośrodka.

Doświadczenie Michelsona-Morleya wytworzyło poważną rysę na fizyce eteru. Potrzeba było jednak dopiero geniuszu młodego szwajcarskiego urzędnika patentowego, aby uczeni ostatecznie zerwali z postrzeganiem pola elektromagnetycznego jako drgań tajemniczej substancji.

Cudowny rok Einsteina

W 1905 r. – swoim *annus mirabilis* – Albert Einstein opublikował cztery artykuły, z których trzeci nosił tytuł „O elektrodynamice ciał w ruchu”. To właśnie w nim, posługując się teorią Maxwella oraz tzw. zasadą względności głoszącą, iż równania fizyki muszą wyglądać tak samo we wszystkich (inercjalnych) układach odniesienia, Einstein wykazał, że eter światłonośny jest czymś całkowicie zbędnym. W jego teorii, wkrótce nazwanej szcze-

gólną teorią względności, pole elektromagnetyczne stało się wreszcie w pełni niezależnym bytem – równoprawnym, obok materii, składnikiem fizycznego świata.

Niebawem podobnego awansu, i to również dzięki Einsteinowi, dostąpiła grawitacja. Co ciekawe, jeszcze pod koniec XIX w. również ją próbowano sprowadzić do oddziaływań mechanicznych z eterem. W ogłoszonej w 1915 r. ogólnej teorii względności została ona jednak w elegancki sposób wyjaśniona jako skutek zakrzywiania się geometrii czasoprzestrzeni. Matematycznie geometrię tę opisuje się za pomocą obiektu matematycznego zwanego „metryką”, która stanowi swego rodzaju pole – mieści się bowiem w podanej przez nas na początku definicji (każdemu punktowi czasoprzestrzeni przypisuje ona dziesięć niezależnych liczb). Jako własność samej czasoprzestrzeni tak rozumiane pole grawitacyjne nie wymagało już rzecz jasna żadnego eterycznego nośnika.

Co więcej, Einstein podał równania rządzące zachowaniem tego pola – odpowiednik równań Maxwella dla grawitacji. Wynikało z nich między innymi, że podobnie jak w elektrodynamice, w polu tym mogą rozchodzić się zaburzenia – fale grawitacyjne. To właśnie za niedawną detekcję tych „zmarszczek czasoprzestrzeni” przyznano w ubiegłym roku Nagrodę Nobla z fizyki.

Historia koncepcji pola fizycznego nie kończy się na Einsteinie. W innej publikacji ze swojego „cudownego roku” uczony ten jako pierwszy rozważał „kwanty światła”. Zapewne nie przypuszczał wówczas, że przyczyni się tym do powstania całkowicie nowego rodzaju fizyki. Sformułowana w latach 20. XX w. mechanika kwantowa gruntownie przeobraziła (i wciąż przeobraża) nasze rozumienie świata. Nic dziwnego, że również pojęcie pola uległo pod jej wpływem głębokiej modyfikacji, tak w swojej warstwie matematycznej, jak i interpretacyjnej. Pola – już teraz kwantowe – pozwoliły opisać strukturę materii na tak głębokim poziomie, że we współczesnej fizyce sama materia stała się wobec nich czymś wtórnym. To już jednak temat na osobną opowieść.

© TOMASZ MILLER

AUTOR obronił doktorat z fizyki matematycznej. Pracuje na Wydziale Matematyki i Nauk Informacyjnych Politechniki Warszawskiej. Członek Centrum Kopernika.



Wielkie odpowiedzi na małe pytania

SEBASTIAN J. SZYBKA

By doprowadzić do przełomu w fizyce, nie zawsze trzeba sięgać na krańce naszych teorii. Czasami wystarczy uważniej przyjrzeć się ich podstawom. Tak było z problemem trzech ciał.

Wyjaśnienie całej Natury to zadanie zbyt trudne dla pojedynczego człowieka, a nawet całego wieku. O wiele lepiej jest zrobić niewiele, mając pewność, że zrobiło się to poprawnie, a resztę pozostawić tym, którzy nadejdą po nas.

IZAAK NEWTON

DZISIAJ WIEMY, ŻE KAŻDA ZE znanych nam teorii fizycznych ma granice stosowności. Grawitacja w naszym najbliższym otoczeniu bardzo precyzyjnie opisywana jest przez teorię Newtona. Jeśli badamy układy o wielkich energiach

lub rozmiarach, np. takie, które często pojawiają się w astronomii, teoria Newtona przestaje wystarczać. Wtedy trzeba odwołać się do teorii Einsteina. Jest ona o wiele bardziej skomplikowana obliczeniowo, ale znacznie lepiej opisuje naturę grawitacji. Wiemy też, że istnieją obiekty i zjawiska, takie jak wnętrza czarnych dziur i kosmologiczny Wielki Wybuch, do opisu których nawet teoria Einsteina jest niewystarczająca. W tym miejscu pojawia się granica naszej wiedzy. Przypuszczamy, że przekroczenie tej granicy wymaga odkrycia teorii jeszcze bardziej doskonałej niż teoria grawitacji Einsteina, jednak obecnie takiej nie znamy. Chociaż próby jej znale-

zienia podejmowane są od stu lat, to nie mamy pewności, czy któraś z nich zmierza w dobrym kierunku.

Nie trzeba jednak sięgać tak daleko, żeby spotkać się z nieodgadnionym. W starych i dobrze przetestowanych teoriach fizycznych istnieje wiele zadziwiająco prostych, a zarazem fundamentalnych pytań, na które, pomimo upływu czasami nawet setek lat, ciągle nie znamy odpowiedzi. Nic w tym dziwnego. Przecież językiem fizyki jest matematyka. Niektóre słynne zagadnienia matematyczne, jak wielkie twierdzenie Fermata czy też tzw. siedemnasty problem Hilberta, można sformułować przy użyciu $\rightarrow$

→ szkolnej matematyki. Ich zdefiniowanie to jednak dopiero początek – prostota języka nie oznacza, że równie łatwo będzie znaleźć rozwiązanie. W przypadku wielkiego twierdzenia Fermata trzeba było na nie czekać przez 358 lat.

Stare teorie, takie jak teorie grawitacji Newtona i Einsteina, przetrwały wiele testów. Sprawdzają się one znakomicie, oczywiście w ramach swoich granic stosowności. Ich reguły są jasno określone i praktycznie niezmiennie. Ale znajomość reguł to nie wszystko. Fizyk, noblista, Richard Feynman porównał kiedyś poznanie Natury do nauki gry w szachy. Każde dziecko może nauczyć się zasad poruszania figurami, ale znajomość zasad to nie koniec, lecz dopiero początek zabawy. Ten arcyciekawy aspekt nauk teoretycznych jest mało doceniany przez osoby spoza nauki. Niestety, zdaniem Feynmana, ludzie zawsze pytają o to, czego fizycy nie wiedzą, a nie są zainteresowani teoriami, które fizycy poznali całkiem dobrze.

Granice wiedzy można przesuwac nie tylko poprzez odkrywanie nowych teorii fizycznych, lecz także studiując te istniejące. To pierwsze bardzo ważne zadanie jest obciążone wielkim ryzykiem: większość podejmowanych prób prowadzi do nikąd. Studiując stare i dobrze potwierdzone teorie, mamy pewność, że nawet najmniejszy krok przybliży nas w dobrym kierunku: ku zrozumieniu, jak działa Natura. Historia nauki potwierdza, iż czasami mały krok i proste pytanie mogą zapoczątkować nieoczekiwaną rewolucję. Jedną z takich historii zaczyna się od Newtona.

Grawitacja

Dzieło „*Philosophiæ naturalis principia mathematica*”, w którym Newton zawarł swoją teorię, zostało opublikowane w 1687 r. Prawa Newtona zostały sformułowane dla bardzo prostych układów fizycznych: ciał tak małych, że w praktyce można uważać je za tzw. masy punktowe. Zrozumienie bardziej realistycznych układów wymaga żmudnego studiowania konsekwencji tych praw. Jak daleko udało się nam sięgnąć po 331 latach? Dla przykładu rozważmy problem, który nurtował jeszcze samego Newtona. Jest to zagadnienie oddziaływania grawitacyjnego pomiędzy trzema ciałami (np. pomiędzy Słońcem, Ziemią i Księżycem).

Jeśli przez „ciało” będziemy rozumieć realistyczny, rozciągający się w przestrzeni

Fizyka jest jak gra w szachy:

znajomość reguł to dopiero początek zabawy.

obiekt fizyczny, np. wirującą gwiazdę, to dosyć szybko popadniemy w kłopoty. Chociaż kształt wirującego ciała studioвало wiele wybitnych osób, to pełne rozwiązanie tego problemu nie jest znane do dzisiaj. Dla prostoty w naszych rozważaniach ograniczymy się do mas punktowych – wyidealizowanych obiektów o zerowej objętości.

Oddziaływanie grawitacyjne pomiędzy dwiema masami punktowymi jest treścią prawa grawitacji Newtona. (W „*Principiach*” znajduje się piękne twierdzenie, które pokazuje, że to samo prawo obowiązuje dla dwóch rozciągniętych ciał o symetrii sferycznej). Chociaż Słońce, Ziemia i Księżyc to trzy ciała, a nie dwa, to duże różnice ich mas i odległości pomiędzy nimi powodują, że w przybliżeniu (tylko w przybliżeniu!) można opisać ich ruch, traktując je jako dwa niezależne układy dwóch ciał: Słońce–Ziemia i Ziemia–Księżyc. Przeważnie w podobny uproszczony sposób opisuje się dynamikę Układu Słonecznego: uwzględniając tylko oddziaływanie grawitacyjne Słońca z kolejnymi planetami.

Pierwszym nietrywialnym zagadnieniem dotyczącym mas punktowych w teorii grawitacji Newtona jest zagadnienie trzech ciał. Po Newtonie z problemem tym mierzyło się wiele wybitnych osób. Po ponad dwustu latach zmagania te doprowadziły do rewolucji w naszym rozumieniu Natury i ukazały głęboką prawdę, która sięga daleko poza teorię Newtona, prawdę, która przez wszystkie te lata była tuż-tuż: determinizm nie oznacza przewidywalności!

Teoria chaosu

Wśród znakomitych naukowców zajmujących się problemem trzech ciał na wyróżnienie niewątpliwie zasługuje żyjący na przełomie XIX i XX w. Henri Poincaré, czasem nazywany ojcem teorii chaosu.

Większość współczesnych teorii fizycznych można przedstawić następująco: określamy stan układu w danej chwili, a prawa danej teorii pozwalają nam przewidzieć jego stan w chwili późniejszej. Pod koniec XIX w. Poincaré jako pierwszy za-

uważył, że dla pewnych początkowych konfiguracji trzech ciał bardzo drobna zmiana położenia w chwili początkowej może prowadzić po krótkim czasie do zupełnie odmiennych trajektorii tych ciał. Używając współczesnej terminologii: odkrył zjawisko czułości na warunki początkowe. Teoria chaosu dotyczy układów wywołujących tę cechę. Ta właściwość oznacza, że nawet jeśli znamy dokładne prawa rządzące układem fizycznym, to nie możemy mieć pewności, że potrafimy na ich podstawie przewidzieć dłuższą ewolucję tego układu. Wystarczy, że mierząc położenie początkowe jednego z trzech ciał pomylimy się o milimetr (każdy pomiar fizyczny obciążony jest pewnym, choćby nawet bardzo małym błędem), a po stosunkowo krótkim czasie ta drobna niedokładność spowoduje, że nasze przewidywania staną się całkowicie niepoprawne.

Poincaré swoją analizę problemu trzech ciał opisał za pomocą prawie tysiąca trzystu stron przepięknej matematyki zawartej w trzytomowym dziele „*Les méthodes nouvelles de la mécanique céleste*” (1892–1899). Opisane tam metody stosowane są do dzisiaj i to w znacznie bardziej ogólnym kontekście. Powtórzmy: determinizm nie oznacza przewidywalności!

Jak to się stało, że taka fundamentalna właściwość teorii Newtona pozostała nieodróżniona przez ponad dwa wieki? Zdziałał tu swego rodzaju efekt selekcji.

Dla bardzo prostych przypadków da się uzyskać „czyste”, matematycznie eleganckie rozwiązania równań Newtona. Przykładowo, oddziaływujące ze sobą dwie masy punktowe mogą poruszać się po elipsach, z regularnością zegarka powracając do tych samych punktów na swoich orbitach. Położenie każdej w dowolnym momencie można przewidzieć na podstawie prostego wzoru. Tego typu rozwiązania określa się mianem ścisłych. W przypadkach trudniejszych nie da się znaleźć gotowego rozwiązania – położenie mas trzeba żmudnie odtwarzać krok po kroku, sekunda po sekundzie. Przykładowo, równania modelujące pogodę są skomplikowane i nie istnieje prosty wzór przewidujący temperaturę powietrza w Krakowie, do którego wystarczyłoby pod „t” podstawić „27 lutego 2025 roku”. Procedura benedyktyńskiego wędrowania ku przyszłości, kroczek po kroczku, określana jest mianem rozwiązania numerycznego. Komputery są znacznie sprawniejsze od nas, ludzi, w tej żmudnej pracy.

W pewnym sensie można więc powiedzieć, że przez stulecia nie znajdowano rozwiązań skomplikowanych (w tym: chaotycznych), bo szukano prostych i eleganckich.

Wynalezienie komputerów diametralnie zmieniło sytuację. Dostrzeżenie chaosu nie wymagało już geniuszu Poincarégo. Na początku lat 60. XX w. meteorolog Edward Lorenz, badając równania, które modelowały pogodę, przez przypadek odkrył powtórnie zjawisko czułości na warunki początkowe, tzw. efekt motyla: ruch skrzydeł motyla w Brazylii może wywołać tornado w Teksasie. Każdy, kto miał dostęp do komputera, mógł przeprowadzić podobne badania. Powstała teoria chaosu. Okazało się, że obserwacja dokonana przez Poincarégo nie jest tylko ciekawostką matematyczną. Czułość na warunki początkowe pojawia się powszechnie w różnych układach fizycznych.

Problem trzech ciał uwiarygodnił, że znajomość zasad i znajomość konsekwencji tych zasad to dwie różne rzeczy. Można powtórzyć za Feynmanem, że bardzo trudno jest poznać coś naprawdę.

Zadziwiający fakt, że czasami nie można przewidzieć ewolucji układu trzech ciał, pomimo znajomości praw nim rządzących, fascynuje nie tylko naukowców. Również literatura podejmuje ten temat. Wystarczy wspomnieć „Katedrę” Jacka Dukaja czy „Problem trzech ciał” Cixinia Liu. Skoro taki prosty układ może wykazywać czułość na warunki początkowe, to czy tym bardziej nasze ludzkie losy, podobnie jak w filmie Kieślowskiego „Przypadek”, nie ulegają nieustannym dramatycznym zwrotom pod wpływem drobnych, pozornie nic nieznaczących zdarzeń?

Małe pytanie za milion dolarów

Problem trzech ciał to tylko jeden z wielu ważnych problemów sformułowanych w ramach teorii Newtona, które opierają się próbom rozwiązania przez setki lat. Inny ciekawy problem dotyczy przepływu cieczy lepkiej. W terminologii naukowej, wbrew potocznemu rozumieniu słowa »lepkość«, woda, a nawet powietrze jest cieczą lepką (oczywiście mniej lepką niż np. miód). Równania, które opisują przepływ cieczy lepkiej, wyprowadzono prawie dwieście lat temu. Noszą one nazwę równań Naviera-Stokesa.

Podczas przepływu cieczy mogą pojawić się wiry. Wyjaśnienie, w jaki spo-

sób wiry powstają i ewoluują, pozwoliłoby lepiej zrozumieć wiele zagadnień: od przepływu krwi przez nasze żyły, po przez optymalizację kształtu skrzydeł samolotu, na zjawiskach astrofizycznych kończąc.

Nie potrafimy znaleźć ścisłych nietrywialnych rozwiązań równań Naviera-Stokesa. Chociaż można te równania rozwiązać na komputerze, to ze względu na komplikacje związane z powstawaniem wirów nie wiemy, jak udowodnić, że rozwiązania numeryczne są prawdziwymi rozwiązaniami oryginalnych równań. Algorytmy komputerowe mogą prowadzić do znajdowania rozwiązań numerycznych tam, gdzie prawdziwe rozwiązania nie istnieją, lub do braku rozwiązań numerycznych tam, gdzie prawdziwe rozwiązania istnieją. Instytut Matematyczny Claya wyznaczył milion dolarów nagrody za rozwiązanie tego problemu. Pieniądże nadal czekają na śmiałka, któremu uda się znaleźć odpowiedź na to małe pytanie.

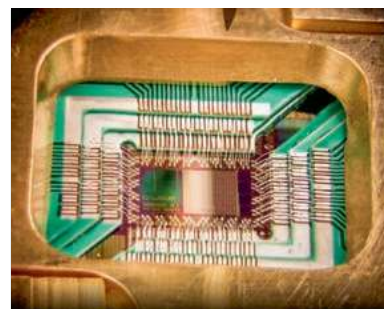
Niewiele, lecz poprawnie

W każdej teorii fizycznej istnieje wiele prostych nierozwiązanych zagadnień, które domagają się, aby je zrozumieć. Równania Einsteina w pełnej postaci zawierają tysiące razy więcej członów niż równania Newtona. Skoro teoria Newtona przez ponad dwa wieki broniła swoich sekretów, to można się spodziewać, że teoria Einsteina nadal skrywa w sobie, pomimo ponad stu lat badań, niejedną niespodziankę.

Próby znajdowania odpowiedzi na małe pytania, sformułowane w ramach dobrze przetestowanych teorii, są trudne. To, że pytania są proste, a teorie stare, oznacza, że przed nami mierzyło się z nimi wiele wybitnych osób. Naprawdę nie jest łatwo w badaniach teoretycznych po upływie setek lat dołożyć kolejną cegiełkę. Każda taka cegiełka jest wartościowa. Rzymscy konsulowie, przekazując władzę następcom, wypowiadali słowa: „Zrobiłem to, co mogłem, niech inni, ci, którzy potrafią, zrobią więcej”. Właśnie taką skromną sentencję zapragnął mieć na swoim grobie Stanisław Lem. Myślę, że zgodziłby się z nią autor słów, które zacytowałem na początku tego tekstu.

© SEBASTIAN J. SZYBKĄ

AUTOR jest doktorem habilitowanym, pracuje w Zakładzie Astrofizyki Relatywistycznej i Kosmologii w OA UJ.



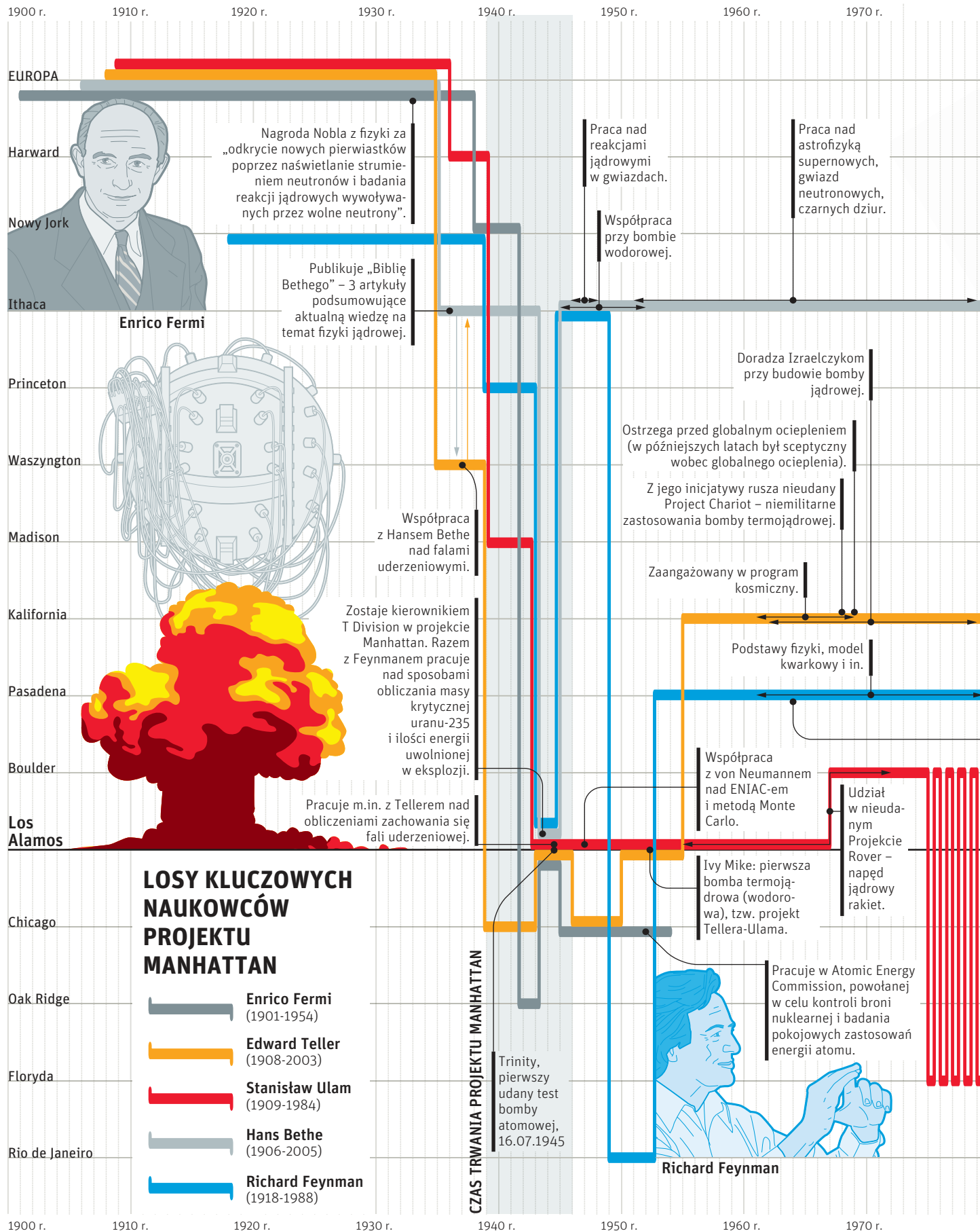
DOMENA PUBLICZNA

Komputer kwantowy

Od lat 70. XX w. aż do pierwszej dekady XXI w. z niebywałą konsekwencją sprawdzało się prawo Moore’a głoszące, że liczba tranzystorów na pojedynczym układzie scalonym podwaja się co około dwa lata. Rozwój ten oznacza w praktyce szybki, stały wzrost wydajności obliczeniowej komputerów. W ostatnich latach trend ten zaczął jednak spadać i sam George Moore, współzałożyciel firmy Intel, oszacował w 2015 r., że w ciągu najbliższej dekady określane jego nazwiskiem prawo przestanie się sprawdzać.

Wydaje się, że powoli docieramy do czysto fizycznych granic możliwości miniaturyzacji stosowanych obecnie technik projektowania i produkcji elementów elektronicznych. W obecnie najbardziej zaawansowanej technologii odstęp między sąsiednimi elementami wynosi 10 nanometrów – zaczynamy więc zbliżać się do skali pojedynczych atomów, których kilka mieści się na długości jednego nanometra. Nasz apetyt na moc obliczeniową jest zaś nieograniczony.

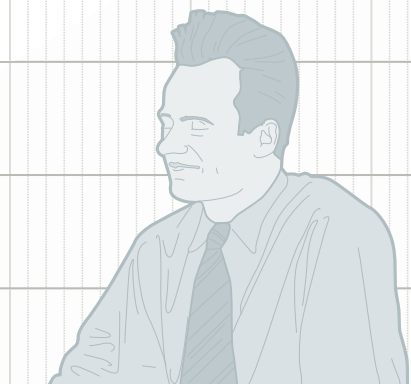
Naturalnym krokiem naprzód jest więc zmiana sposobu myślenia o komputerze, której wcieleniem jest idea komputera kwantowego, niejako z samej definicji realizującej się na układach w skali atomowej. Istnieją już działające prototypy komputera kwantowego i wiadomo, że jest to realny, uzasadniony technologicznie oraz naukowo plan. Pytanie tylko, kiedy się zrealizuje i jak wiele będzie dało się z niego „wycisnąć”. © ŁŁ



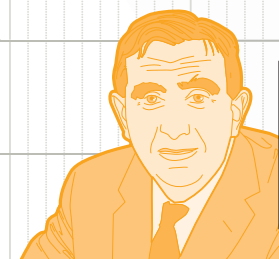
W CENIU BOMBY

Wyprodukowanie bomby jądrowej wymagało wytężonego wysiłku tysięcy osób; w tym również tych pięciu. Projekt Manhattan wymusił błyskawiczny rozwój fizyki jądrowej, ale też badań nad falami uderzeniowymi czy promieniowaniem. Warto zerknąć, czym zajęli się współtwórcy bomby po II wojnie światowej i czy udało im się wyjść z jej cienia.

1980 r. 1990 r. 2000 r. 2010 r.



Hans Bethe



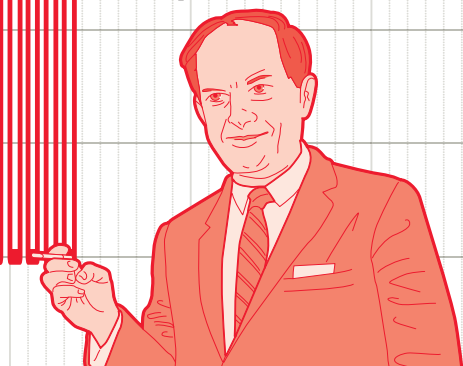
Edward Teller

Projekt ratowania Ziemi przed zderzeniem z asteroidą poprzez odpalenie na jej powierzchni bomby jądrowej.

Komisja po katastrofie Challengera.

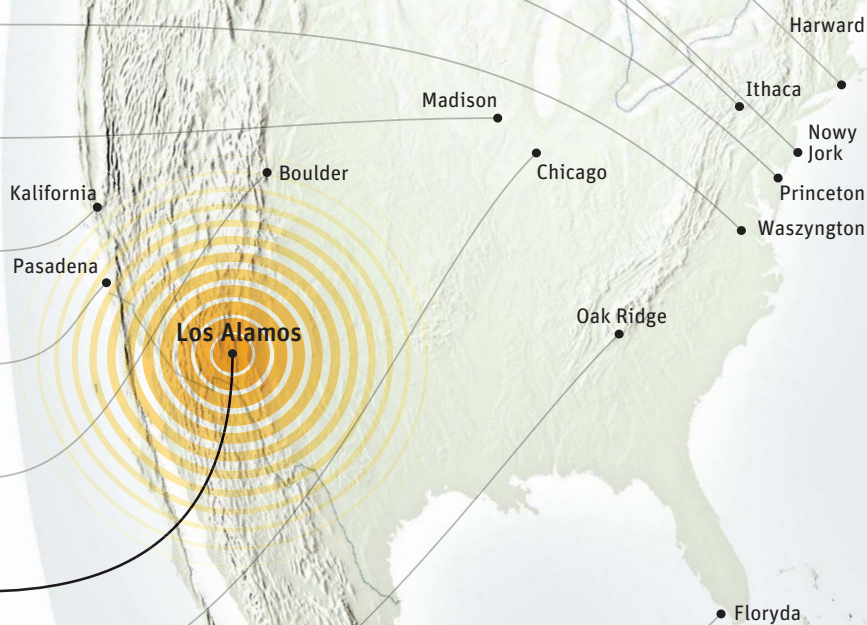
Nagroda Nobla z fizyki „za fundamentalne prace w dziedzinie elektrodynamiki kwantowej”.

Pod koniec życia spędza pół każdego roku na Florydzie.



Stanisław Ulam

1980 r. 1990 r. 2000 r. 2010 r.



Rio de Janeiro

Ciemny sektor kosmosu

TOMASZ PŁAZAK

Ogólna teoria względności otworzyła drzwi do współczesnej, ilościowej kosmologii. Coraz precyzyjniejsze obserwacje i pomiary zaowocowały kolejnymi przełomowymi ustaleniami, łącznie z ostatnim – że wszechświat puchnie coraz szybciej.

I ZAAK NEWTON, ODKRYWAJĄC PRAWO grawitacji i prawa dynamiki, zdołał wyjaśnić nimi tysiące zjawisk. „Z jednym tylko nie potrafiłem sobie nigdy poradzić – z istnieniem wszechświata” – pisał po latach. Główną trudnością był problem brzegu. Jeżeli statyczny wszechświat ma brzeg, to siły grawitacji powinny zbić wszystkie masy w jedną masę centralną. Jeżeli brzegu nie ma, to – aby znosiły się siły grawitacyjne – wszystkie gwiazdne masy musiałyby być ustawione z perfekcyjną symetrią, czemu przeczą obserwacje. Wszechświat pozostał tworem niezrozumiałym. Aż do czasów Einsteina.

Zakrzywiona i dynamiczna przestrzeń

Przełomem otwierającym drogę do rozumienia wszechświata było zastosowanie do jego opisu ogólnej teorii względności (OTW), której istotę Einstein zawarł w słowach: „masy zakrzywiają czasoprzestrzeń”. W roku 1917 obliczył, że przestrzeń naszego wszechświata ma za-

krzywienie i typ geometrii analogiczny do sfery (co matematycznie zapisuje się: $k = +1$) [więcej w ramce na str. 14 oraz tekście „Sto lat kosmologii”, „TP” 49/2017]. Pojawił się jednak kłopot. Einstein wierzył, że wszechświat jest statyczny (stałe taki sam), tymczasem grawitacyjne przyciąganie się mas prowadziłoby do jego kurczenia się. Aby wyjść z tej trudności, wprowadził do równań OTW tajemniczą wielkość, oznaczoną literą Λ (lambda), nazywając ją stałą kosmologiczną. Postuluje ona istnienie odpychania wkodowanego w samą przestrzeń. Przy jej konkretnej wartości liczbowej (Λ_E) wszechświat może być statyczny pomimo istnienia grawitacji.

Rosyjski matematyk Aleksander Friedman był jedną z pierwszych osób, które rozwiązywały równania OTW z myślą o poznaniu struktury wszechświata. Friedman posługiwał się jednak ich postacią podstawową, czyli bez stałej kosmologicznej ($\Lambda = 0$). Tak jak Einstein, otrzymał możliwość występowania geometrii sferycznej ($k = +1$), ale z fundamentalną różnicą: promień tej „sfery” musi wzrastać

(startując od zera), co powoduje wzrost jej powierzchni – a to powierzchnia (nie jej wnętrze!) modeluje całość zakrzywionej przestrzeni wszechświata. W ten sposób Friedman dokonał fundamentalnego przełomu, odkrywając, że sama przestrzeń wszechświata jest dynamiczna: musi się powiększać (puchnąć) albo kurczyć. Galaktyki w takiej przestrzeni, nawet jeśli nie zmieniają swojej lokalizacji, oddalają się od siebie nawzajem tylko dlatego, że unosi je pęczniąca przestrzeń.

Przełomem obserwacyjnym potwierdzającym tezę Friedmana było stwierdzenie przez Edwina Hubble’a, że światło dochodzące z odległych gromad galaktyk ma większe długości fal, niż musiało mieć przy ich opuszczaniu (zjawisko zwane przesunięciem ku czerwieni). Ponieważ gromady galaktyk są w istocie nieruchome (nie przesuwają się w przestrzeni), odległości pomiędzy grzbietami fal mogły zostać zwiększone tylko przez puchnięcie przestrzeni.

Po sprawdzeniu obserwacji Hubble’a Einstein przyznał: „stała kosmologiczna



to był największy blamaż mojego życia”. Modele Friedmana zatrumfowały.

Decyduje gęstość

Na początku wszechświata szybkość rozszerzania była ogromna. Jednakże upakowane w przestrzeni masy przyciągają się grawitacyjnie, co działa hamująco na szybkość rozszerzania. Łatwo dostrzec, że im większa jest obecna gęstość materii ρ_M (wym. „ro em”), tym ten hamujący efekt będzie silniejszy. Przy dużych wartościach ρ_M jest on tak silny, że zdoła zahamować rozszerzanie i spowodować kurczenie wszechświata; taki wszechświat ma nie tylko początek, ale i koniec. Natomiast przy niewielkich gęstościach szybkość rozszerzania nieznacznie tylko (i coraz słabiej) maleje, a wszechświat nie ma końca.

Zgodnie z OTW od gęstości zależy jednak również rodzaj geometrii wszechświata.

Obliczono, że duże gęstości powodują tak duże zakrzywienie, iż geometria będzie taka, jak na sferze ($k = +1$); natomiast małe gęstości prowadzą do geometrii hiperbolicznej ($k = -1$), której ilustracją jest powierzchnia siodła. Bardzo szczególny, krytyczny przypadek, kiedy przestrzeń ma krzywiznę zerową ($k = 0$) i zwykłą („szkolną”) geometrię euklidesową, może wystąpić tylko dla jednej, ściśle określonej gęstości, zwanej krytyczną. Dzisiaj znamy już jej wartość: $\rho_{KR} = 9 \cdot 10^{-30} \text{ g/cm}^3$ (wartości rzędu jednego protonu na metr sześcienny). Nawet taka „bezkrzywiznowa” przestrzeń wszechświata nie może być jednak rozumiana „tradycyjnie”

– jako coś niezmiennego – gdyż także ona zachowuje cechę puchnięcia.

Podsumowując: o szybkości puchnięcia, rodzaju geometrii, wieku wszechświata i jego losach decyduje tylko to, ile razy gęstość jego materii ρ_M jest mniejsza lub większa od gęstości krytycznej. Na oznaczenie tej zależności wygodnie jest wprowadzić parametr Ω_M (omega em), zdefiniowany jako stosunek ρ_M do ρ_{KR} ($\Omega_M = \rho_M / \rho_{KR}$), zwany często bezwymiarową gęstością wszechświata. Omawiane wyżej trzy możliwości odpowiadają $\Omega_M > 1$, $\Omega_M = 1$, $\Omega_M < 1$. Dokładne zmierzenie Ω_M powie o wszechświecie wszystko. W szczególności, jak daleko zostaną uniesione przez puchnącą przestrzeń galaktyki. Dlatego przyjrzymy się teraz gęstości różnych rodzajów masy czy energii wszechświata.

Ciemna materia

Pierwszym krokiem do zmierzenia gęstości była ocena ilości materii na podstawie wyświecanego przez nią światła. Otrzymano $\Omega_{LUM} = 0,005$ – co oznaczało, że dająca się zaobserwować zwykłymi teleskopami materia ma masę dwustukrotnie za małą, aby zapewnić wszechświatowi gęstość krytyczną (zapewniającą płaską geometrię). Ale od początku zdawano sobie sprawę, że niektóre formy materii nie świecą. Jak więc zmierzyć gęstość tej ciemnej (*dark*) materii, czyli wartość Ω_{DM} ? Oto pomysł: przez jej grawitacyjny wpływ na materię widoczną.

Chcąc wyznaczyć masy galaktyk spiralnych, badano prędkości obiektów (gwiazd lub atomów wodoru), które krążą wokół środka galaktyki, jak planety wokół

środku układu słonecznego. Prędkości te okazały się tak duże, że badane obiekty powinny uciec poza galaktykę – a skoro w niej pozostają, to przyciąga je dodatkowo jakaś masa nieświecąca. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że w skalach odległości zbliżonych do rozmiarów galaktyk gęstość ciemnej materii jest rzędu $\Omega_{DM} = 0,1$. Ta wartość zaskoczyła astronomów, bo znane formy materii nieświecącej odpowiadały za niewielką część tej wartości.

Pomiary w jeszcze większych skalach – gromad galaktyk – wskazały na jeszcze większe wartości Ω_{DM} ! Nie były one precyzyjne, ale i tak mogło zrodzić się pytanie, jak wielka okaże się ostatecznie wartość Ω_{DM} , zwłaszcza w skalach największych?

Nowy aspekt tego problemu przyniosły fascynujące badania tworzenia się jąder kilku lekkich pierwiastków, o których wiadano, że powstały już w pierwszych minutach wszechświata z protonów i neutronów – w kosmologii nazywa się je barionami. Zdołano wyliczyć, że gęstość materii barionowej (nazywanej często po prostu „zwykłą materią”) wszechświata wynosi $\Omega_{BAR} = 0,04$. Ta – bardzo ważna – liczba określa pełną gęstość wszelkiej materii, którą znamy. Tymczasem, przypomnijmy, gęstość ciemnej materii w obrębie galaktyk obliczono na 0,1. Już to pozwala stwierdzić, że większość ciemnej materii ma nieznaną nam naturę.

Z obliczeń fizyków zajmujących się cząstkami elementarnymi o skrajnie wysokich energiach wynikało, że zaledwie 10^{-36} s po chwili zero wszystkie odległości błyskawicznie wzrosły – o czynnik rzędu... →

→ 10^{28} ! Można wydedukować, że proces taki – zwany inflacją – spowodowałby, iż fragment wszechświata, który jesteśmy w stanie obserwować, stał się niemal zupełnie płaski ($k = 0$) – podobnie jak lokalnie wypłaszcza się powierzchnia nadmuchanego balonu. Skoro inflacja „produkuje” $k = 0$, to zarazem wytwarza wszechświat o gęstości całkowitej $\Omega = 1$. Teza o inflacji była prawdziwym błogosławieństwem dla kosmologii, gdyż likwidowała jej wszystkie naczelnie nierozwiązane od lat problemy. Dlatego teoretycy z wielką radością witali coraz większe wartości Ω_{DM} , oczekując, że w końcu pomiary pokażą, iż całkowita wartość gęstości wyniesie dokładnie $\Omega = 1$.

Astronomowie cierpliwie jednak powiększali dokładność pomiarów i w końcu oszacowali szukaną gęstość na $\Omega_{DM} = 0,3$. To było bardzo dużo – ciemnej materii jest kilkadziesiąt razy więcej niż widzialnej – a, co donioślejsze, sześć razy więcej niż materii złożonej ze znanych nam cząstek! Ale dla teoretyków był to cios, bo zaprzeczał istnieniu inflacji (z jej błogosławieństwami!) – domagali się nowych pomiarów Ω_{DM} jakąś inną drogą.

Zmierzyć hamowanie

Istota tej metody wyznaczania Ω_M polega na kontroli, jak daleko została uniesiona galaktyka o zmierzonej wartości z (przesunięcia ku czerwieni) przez puchnącą przestrzeń. Odległość ta obliczona dla galaktyki o przesunięciu z jest ponadto zależna od przyjmowanych (na próbę) wartości Ω_M , gdyż, jak już wiemy, od Ω_M zależy stopień hamowania. Jeżeli więc potrafimy

zmierzyć faktyczną odległość galaktyki, to poznamy faktyczną wartość Ω_M .

Sposobem na zmierzenie odległości galaktyk jest pomiar ich obserwowanej jasności wizualnej. Jasność wizualna to ilość światła padającego na określoną powierzchnię – na przykład na kartkę papieru. Jeżeli źródłem światła jest żarówka o znanej mocy (np. 100 W), to tym słabiej kartka jest oświetlona, im żarówka jest dalej. Zmierzenie jasności wizualnej pozwala zatem na bezpośrednie wyznaczenie odległości żarówki od kartki – niestety pod warunkiem, że znamy jej absolutną jasność, czyli moc. I w tym tkwił kłopot, który przez długie lata skazywał na porażkę wysiłki astronomów.

Nową nadzieję przyniósł postęp techniki umożliwiający badanie tzw. supernowych typu Ia, gwiazd wybuchających również w bardzo odległych galaktykach. Supernowe Ia są bowiem „żarówkami” o jasności absolutnej ogromnej, ale zawsze takiej samej. Odnajdywanie i pomiary tych wiarygodnych „świec standardowych” pozwoliły na obejście wspomnianego wyżej kłopotu – faktyczne odległości bardzo dalekich galaktyk mogły być pomierzone.

Jakie więc ostateczne wyniki wartości Ω_M przyniosło badanie odległych galaktyk tym pomiarowym testem „przesunięcie – jasność”?

Wszechświat przyspiesza!

Gdy jeden zespół ogłosił swoje wyniki, świat kosmologów przeżył kompletny szok. Oto okazało się, że zmierzone jasności wizualne dla supernowych wybuchających

w dalekich galaktykach są wyraźnie mniejsze (ok. 25 proc.) niż wyliczone dla jakichkolwiek (!) wartości gęstości Ω_M . Co więcej: nawet gdyby uznać, że grawitacyjnego hamowania w ogóle nie ma (a przecież musi ono być, bo masy istnieją), to i tak galaktyki są dalej, niż mogłyby bez hamowania dolecieć. Zamiast hamowania obserwujemy więc przyspieszanie rozszerzającej się przestrzeni wszechświata!

Drugi zespół w pełni potwierdził te zaskakujące rezultaty, ale otrzymał coś więcej. Okazało się, że dla jeszcze odleglejszych galaktyk obserwujemy jednak hamowanie. Znaczenie tego wyniku łatwo zrozumieć, gdy przypomnimy sobie, że im odleglejsze galaktyki obserwujemy, tym wcześniejszą obserwujemy przeszłość wszechświata. W dziejach wszechświata galaktyki najpierw zwalniały, a potem (po przejściu „punktu przegięcia”) zaczęły coraz gwałtowniej przyspieszać. Oznacza to, że istnieje jakiś wkodowany w puchnącą przestrzeń czynnik, który oddala od siebie galaktyki – najpierw przegrywając, ale potem wygrywając ze zbliżającą je ku sobie grawitacją. Obecnie znajdujemy się już w fazie przyspieszania puchnięcia przestrzeni. Z obliczeń wynika, że „punkt przegięcia” nastąpił ok. 5 mld lat temu, przy 14 mld lat całej historii wszechświata. Późniejsze kontrole potwierdziły wiarygodność tych wniosków.

Istnieje jeszcze jeden ważny walor otrzymanych wyników. Podany powyżej wiek wszechświata, uwzględniający obecne przyspieszanie, okazał się wystarczająco

Kosmiczne zależności

k : parametr krzywizny wszechświata; decyduje o jego „kształcie”

$k = -1$: zakrzywiony ujemnie (jak powierzchnia siodła)

$k = 0$: płaski

$k = +1$: zakrzywiony dodatnio (jak powierzchnia kuli)

Λ (lambda): stała kosmologiczna, decyduje o tym, czy i jak przyspiesza puchnięcie wszechświata

$\Lambda = 0$: wszechświat bez stałej kosmologicznej; po pewnym czasie zacznie zapadać się pod wpływem grawitacji

$\Lambda = \Lambda_E$: wartość stałej kosmologicznej dokładnie równoważy przyciąganie grawitacyjne mas we wszechświecie – nie dojdzie do zapadania się

$\Lambda > \Lambda_E$: stała kosmologiczna powoduje przyspieszanie puchnięcia wszechświata

ρ (ro): gęstość danego składnika wszechświata (w g/cm^3)

ρ_M : gęstość materii, czyli wszystkich obiektów posiadają-

cych masę i oddziałujących grawitacyjnie

ρ_{KR} : gęstość krytyczna, czyli taka, przy której wszechświat będzie płaski ($k = 0$)

Ω (omega): gęstość danego składnika wszechświata (podawana względem gęstości krytycznej ρ_{KR} , której odpowiada wartość 1)

Ω_M : gęstość materii (czyli ρ_M/ρ_{KR})

Ω_{LUM} : gęstość materii świetlistej (luminous), czyli takiej, która emituje światło

Ω_{DM} : gęstość (nieświecącej)

ciemnej materii (dark matter), o której istnieniu wiemy pośrednio, poprzez jej oddziaływanie grawitacyjne

Ω_{BAR} : gęstość materii barionowej, czyli „zwykłej materii”

Ω_Λ : gęstość odpowiadająca stałej kosmologicznej, czyli „ciemnej energii”

$\Omega_M + \Omega_\Lambda = 1$: jeżeli gęstość materii (wszelkiego rodzaju, czyli zarówno Ω_{LUM} , jak i Ω_{DM}) i ciemnej energii łącznie wynosi 1,

czyli jest równa gęstości krytycznej, to wszechświat jest płaski (dziś wydaje się, że tak właśnie jest)

długi, abyśmy już nie musieli się obawiać, że niektóre obiekty wszechświata (najstarsze gwiazdy, izotopy uranu) są starsze niż on sam. Taka groźba wisiała od lat nad kosmologią przyjmującą, że puchnięcie wszechświata zawsze zwalniało swe tempo.

Ciemna energia

Równania OTW zastosowane do wszechświata można dzięki jego prostocie (jest jednorodny i izotropowy) sprowadzić do dwóch zaledwie prostych równań: pierwsze określa prędkości rozszerzania, drugie przyspieszenia tego rozszerzania. Pełne przyspieszenie okazuje się sumą dwóch przyspieszeń – jedno jest wywołane grawitacją i ma znak ujemny (gravitacja hamuje), drugie czynnikiem Λ i ma znak dodatni (odpychanie). Einstein chciał, aby oba te składniki się zniosły (wszechświat statyczny), i stąd wyliczył wartość Λ_E . Ale co będzie, gdy Λ istnieje, lecz ma wartość różną od Λ_E ?

Okazuje się, że taką możliwość rozważał już współczesny Einsteinowi belgijski ksiądz i fizyk Georges Lemaître. We wczesnym wszechświecie materia była gęsto zbita (powiemy, że skala R charakteryzująca odległości jest mała), toteż hamujące przyspieszenie grawitacyjne – tym większe, im mniejsze są odległości pomiędzy cząstkami materii – ma wielką wartość, natomiast odpychające przyspieszenie kosmiczne ma wartość zupełnie znikomą, gdyż okazało się, że jest zależne od iloczynu maleńkiej wartości Λ i wielkości skali R . To dlatego też w naszym otoczeniu (nawet w galaktyce) wpływu Λ nie widzimy, a modele Friedmana ($\Lambda = 0$) dla wczesnego wszechświata pozostają ważne. Natomiast dla późnego wszechświata jest wręcz przeciwnie: skale odległości są ogromne i coraz silniej zdominują kosmiczne odpychanie, rozpędzając i rozrzedzając wszechświat – do pustki. Po 80 latach model Lemaître’a święci tryumfy.

Do rozważenia pozostaje równanie na prędkość rozszerzania. Można je zinterpretować następująco: ponieważ jest w nim obecny czynnik Λ , to do Ω_M , czyli zwykłej gęstości materii (masy), należy dodać jeszcze gęstość energii Ω_Λ . Pełna gęstość energii we wszechświecie jest więc sumą Ω_M i Ω_Λ ; wszechświat trzeba określać przez obie te wielkości. Tę ukrytą energię, rozpychającą wszechświat, o gęstości Ω_Λ , nazywano „ciemną energią”. Zwróćmy uwagę

na jej niezwykłość. Skoro powiększa ona gęstość wszechświata, to powinna przyczyniać się również do jego grawitacyjnego wyhamowywania – a działa wręcz odwrotnie! Nie można zatem zastosować do niej słynnego wzoru Einsteina ($E = mc^2$) mówiącego o równoważności energii i masy; musimy o Ω_M i Ω_Λ mówić osobno. Ciemna energia jest więc czymś zasadniczo odmiennym od zwykłej materii. Czym? Do dziś nikt tego nie wie. Być może jej obecność otwiera wrota do nowej, rozszerzonej i głębszej fizyki?

Czy w tej dziwnej sytuacji można jakoś obserwacyjnie upewnić się, że ciemna energia istnieje, a zwłaszcza poznać, jaką wartość liczbową ma Ω_Λ ? Z pomocą przychodzi test „przesunięcie – jasność”, tym razem wykonywany dla wielkości Ω_M i Ω_Λ . Zaawansowana analiza pomiarów wskazała, że przy $\Omega_M = 0,3$ otrzymuje się wartość $\Omega_\Lambda = 0,7$. Aż tyle! Najważniejsza równość, wynikająca z istotnie nowego paradygmatu wszechświata, może być zapisana „banalnym” związkiem: $0,3 + 0,7 = 1,0$. Wskazuje on, że nasz wszechświat ma przestrzeń płaską ($k = 0$). Rozwiązująca problemy inflacja mogła zatem istnieć (co za radość dla teoretyków), a co najważniejsze, we wszechświecie dominuje nie masa widzialna (jest jej 0,5 proc.), nie wszelka znana nam postać „zwykłej” materii (4 proc.), a nawet nie ciemna materia (26 proc.), lecz przede wszystkim zupełnie nieznaną natury ciemna energia (70 proc.). Kosmologiczny obraz wszechświata stał się spójny, a jego rozpoznanie jest tak ważne, że określone zostało jako model (w istocie nowy paradygmat wszechświata) Λ CDM (Λ Cold Dark Matter) – uznany za standardowy i „obowiązujący”.

Uparci przeciwnicy Λ CDM szukają innych możliwości. Przyspieszanie rozszerzania jest faktem niepodważalnym, ale może nie było inflacji albo jakiś inny mechanizm prowadzi do $k = 0$, czyli $\Omega = 1$? Tu musimy koniecznie dodać, że już po odkryciach za pomocą supernowych Ia stwierdzono bezpośrednio i niewątpliwie płaskość przestrzeni wszechświata ($k = 0$), a pośrednio także $\Omega_\Lambda = 0,7$ i $\Omega_M = 0,3$, na zupełnie innej drodze, przynoszącej jeszcze pełniejsze i pewniejsze wnioski, jaki jest nasz wszechświat.

© TOMASZ PŁAZAK

AUTOR jest doktorem fizyki, kosmologiem. Wykłada na AGH.



Żagiel słoneczny

Istnieje wiele sposobów na rozpędzenie obiektu w przestrzeni kosmicznej, od „starych dobrych” rakiet na paliwo stałe czy płynne, po współczesne silniki jonowe. Żaden z nich nie pozwala jednak osiągnąć naprawdę dużych odległości. W latach 1996–2002 NASA prowadziła program Breakthrough Propulsion Physics Project, którego celem była ocena potencjału wszelakich spekulatywnych – czasem balansujących na granicy *science fiction* – form napędu kosmicznego. Od wielu dekad istnieje projekt, który łączy ze sobą intrygującą prostotę z potężnym potencjałem – żagiel słoneczny.

Idea zasadza się na dawno już potwierdzonym fakcie, że promieniowanie – również słoneczne – wywiera ciśnienie, zupełnie jak strumień wody czy wiatr. Stąd pomysł, by wysłać w kosmos duży płaski obiekt, który by ów strumień fotonów „łapał”. Żaglowi takiemu można by pomóc, celując w niego z powierzchni Ziemi odpowiednio potężnym laserem. Projekt taki ma fundamentalną zaletę: na pokładzie wyposażonego w żagiel słoneczny statku nie musi się znajdować kłopotliwy bagaż – zbiornik paliwa. W 2010 r. japońska agencja kosmiczna JAXA wysłała w przestrzeń międzyplanetarną statek kosmiczny IKAROS, który stanowił pierwszą udaną realizację idei żagla słonecznego. Niewykluczone, że w najbliższych dekadach kolejna wersja tego projektu wyprzedzi sondy Voyager, obecnie najbardziej oddalone od Ziemi twory wykonane ręką ludzką, i pofrunie ku gwiazdom. © ŁL



Historia pewnej nierówności

MICHAŁ ECKSTEIN, PAWEŁ HORODECKI

Ponad 80 lat temu Albert Einstein i Niels Bohr spierali się o naturę rzeczywistości. Według najnowszych kwantowych eksperymentów wizja Bohra jest bardziej adekwatna, jeśli tylko... fizycy mają wolną wolę.

MECHANIKA KWANTOWA KRYSTALIZOWAŁA SIĘ STOPNIOWO. Choć jej matematyczny formalizm, czyli sposób wyliczania wyników eksperymentów, został przez fizyków opanowany dość szybko, to natura obiektów kwantowych, czyli „małych” – takich jak atomy czy fotony – pozostaje przedmiotem kontrowersji do dzisiaj.

Filozoficzne preludium

W latach 30. rozgorzała słynna debata pomiędzy Albertem Einsteinem a tzw. szkołą kopenhaską, reprezentowaną w szczegól-

ności przez Nielsa Bohra. W swej istocie był to spór filozoficzny o naturę „fizycznej rzeczywistości”, czyli wizji świata kreślonej przez nowożytną fizykę.

Einstein utrzymywał, że jeśli bez oddziaływania z układem potrafimy z pewnością przewidzieć wartość jakiejś wielkości fizycznej, to istnieje element rzeczywistości, któremu owa wielkość odpowiada. Przykładowo, nie musimy oświeślać pomarańczy, żeby wiedzieć, że ma ona z pewnością kolor pomarańczowy – jest to jej inherentna własność. Można powiedzieć, że zdaniem Einsteina kwantowe cząstki są jak pomarańcze – mają określone indy-

widualne własności, zanim je zbadamy. Ponieważ mechanika kwantowa potrafi przewidzieć niektóre wyniki tylko z pewnym prawdopodobieństwem, a nie z pewnością, to nie może ona – uważał Einstein – być uznana za teorię zupełną, czyli zdolną adekwatnie odwzorować każdy element fizycznej rzeczywistości.

Bohr oponował, posiłkując się zasadą nieoznaczoności Wernera Heisenberga, twierdząc, że każdy pomiar wielkości fizycznej jest inwazyjny – mierząc, zawsze zaburzamy mierzony układ. W konsekwencji tego pewne wielkości – takie jak np. położenie i pęd cząstki – należy uznać

za komplementarne, czyli takie, których nie da się równocześnie zmierzyć, a nawet równocześnie przypisać im jednoznacznie wartości liczbowych. Bohr stwierdził, iż ten pozornie paradoksalny fakt pokazuje jedynie, że Einsteinowska koncepcja „fizycznej rzeczywistości” jest nieadekwatna do opisu mikroświata. Zakładała ona bowiem zadekretowanie wyników pomiarów przed ich wykonaniem, podczas gdy w mechanice kwantowej cechy cząstek „aktualizują się” dopiero w momencie pomiaru.

Obaj uczeni zgadzali się w pełni co do skuteczności mechaniki kwantowej do opisu zjawisk mikroświata. W końcu jednym z prekursorów tej teorii był właśnie Einstein, który już w 1905 r. zastosował koncepcję „kwantów światła” [niem. *Licht-quanten*] do opisu tzw. efektu fotoelektrycznego. Krytykując mechanikę kwantową, Einstein twierdził jedynie, iż jest ona przybliżeniem jakiejś lepszej teorii, zgodnej z klasycznym rozumieniem fizycznej rzeczywistości. Bohr zaś utrzymywał, że jeśli zjawiska kwantowe wydają się paradoksalne z punktu widzenia „naturalnej filozofii”, to... tym gorzej dla filozofii.

Debaty Einstein–Bohr toczyła się zatem nie tyle w obszarze fizyki, co raczej filozofii fizyki. O ile jednak kwestia istnienia obiektywnych własności pojedynczych cząstek wydawała się problemem czysto akademickim, o tyle układ dwóch cząstek kwantowych wprawiał naukowców w zakłopotanie. W słynnym artykule z 1935 r. Einstein, we współpracy z Borisem Podolskim i Nathanem Rosenem, pokazał, że jeśli dwie cząstki kiedyś ze sobą oddziaływały, to mechanika kwantowa mówi, iż pomiar jakiejś własności jednej z nich natychmiast ustala wartość tejże wielkości u jej partnera. Einstein określił to mianem „upiornego oddziaływania na odległość”, które stało – w jego mniemaniu – w sprzeczności z zasadami teorii względności (ponieważ, jak się wydawało, wymagałoby to przekazu informacji z prędkością większą od prędkości światła). Z kolei Bohr i Erwin Schrödinger argumentowali, że dwie cząstki kwantowe, które oddziaływały, należy postrzegać jako jeden nielokalny układ, który zachowuje się jak jeden obiekt, mimo że jego składniki są bardzo daleko od siebie. Nie przekonało to sceptyków, choć za sprawą Schrödingera „upiornie oddziaływanie na odległość” zyskało mniej dramatyczną nazwę „splątania kwantowego”.

Najnowsze eksperymenty
nie pozostawiają złudzeń:
kwantowym cząstkom,
**wbrew temu,
co sądził Einstein,**
nie można przypisać
obiektywnych własności.

Twierdzenie o teoriach

Choć przykład wymyślony przez Einsteina i współpracowników był określany mianem „paradoksu EPR”, fizycy praktycy nauczyli się z nim żyć. Mechanika kwantowa działała doskonale, a nikomu nie udało się opracować lepszej teorii, zgodnej z Einsteinowską wizją, w której własności cząstek byłyby zdeterminowane przed pomiarem. Co więcej, sprzeczność zasad kwantowych z teorią względności okazała się pozorna – nie można bowiem używać kwantowego splątania do przesyłania informacji z prędkością nadświetlną. Mariaż mechaniki kwantowej ze szczególną teorią względności doprowadził zaś do powstania bardzo trudnej, ale niezwykle skutecznej, kwantowej teorii pola, którą na co dzień posługują się całe zastępy teoretyków pracujących w CERN-ie. Problemy interpretacyjne kwantowego splątania zostały zatem na powrót przesunięte do sfery filozofii.

Po blisko trzech dekadach kwestia splątania kwantowego nieoczekiwanie powróciła na grunt fizyki. W 1964 r. John Bell wyraził koncepcję EPR w postaci prostej nierówności, którą dawało się skonfrontować z doświadczeniem.

Wyobraźmy sobie eksperyment jako zadawanie pytań układowi fizycznemu. Możemy np. spytać foton, jaki ma kolor, a on odpowiada, załamując się odpowiednio na pryzmacie. Z tej perspektywy własność cząstki to odpowiedź na dane pytanie, która jest określona jeszcze przed samym pomiarem. Pomarańcza – by pozostać przy tym samym przykładzie – zawsze jest pomarańczowa, zanim zadamy jej pytanie o kolor, oświetlając ją. Jeśli cząstki kwantowe są jak pomarańcze, to wciąż – nawet jeżeli są w stanie splątane – mają określone indywidualne własności, zanim je zbadamy. Owe cechy kwantowych indywiduów powinna opisywać jakaś teoria, której mechanika kwantowa – potrafiąca przewidzieć wyniki tylko

z pewnym prawdopodobieństwem – jest jedynie przybliżeniem.

Wyobraźmy sobie dwoje eksperymentatorów – Alicję i Boba – zamkniętych w oddległych laboratoriach. Teraz weźmy źródło emitujące parę cząstek splątanych, z których jedna leci do Alicji, a druga do Boba. Eksperymentatorzy zadają cząstkom po jednym z zestawu pytań, to znaczy przeprowadzają pewien pomiar, którego wynik skrzętnie zapisują. Cząstki odpowiadają tylko „tak” lub „nie”. Alicja i Bob muszą zadawać różne pytania wielu cząstkom w nadziei, że uda się uchwycić jakąś prawidłowość.

Tabelki pytanie–odpowiedź dla każdego z obserwatorów nie są specjalnie interesujące, wyglądają na kompletnie losowe (i takie w istocie są!). Ciekawie zaczyna się robić, kiedy Alicja i Bob się spotykają i porównują swoje zapiski. Okazuje się, że jeśli, przykładowo, pytali swoje elektrony, czy mają „spin do góry” (spin to pewna własność elektronów), to jeśli cząstka Alicji odpowiedziała „tak”, to ta u Boba zawsze mówiła „nie”. Powiemy zatem, że wyniki ich pomiarów są skorelowane. Z drugiej strony, jeśli Alicja pytała o „spin do góry”, a Bob o „spin w prawo”, to odpowiedzi nie będą w żaden sposób powiązane.

Aby uchwycić te prawidłowości, można posłużyć się tzw. funkcją korelacji, która zależy od pytań postawionych przez Alicję oraz Boba. Bell rozumował następująco: założmy, że wyniki pomiarów zależą, oprócz od zadawanego pytania, od jakiejś zmiennej, nad którą nie mamy żadnej kontroli. Ten „ukryty parametr”, determinujący własności cząstek, pochodziłby od owej hipotetycznej fundamentalnej teorii, antycypowanej przez Einsteina, dla której mechanika kwantowa byłaby jedynie przybliżeniem. Wówczas funkcję korelacji można prosto wyliczyć na gruncie klasycznej teorii prawdopodobieństwa. Bell pokazał, iż w tym przypadku pewna kombinacja funkcji korelacji (oznaczymy ją przez „D”) nie może być większa od 2 dla żadnego zestawu pytań Alicji oraz Boba. Okazuje się jednak, że dla pewnych zestawów pytań mechanika kwantowa przewiduje większą wartość D – dokładnie $2\sqrt{2}$, czyli ok. 2,83.

Innymi słowy, jeżeli lecące cząstki miałyby zawczasu przygotowane odpowiedzi na zadawane im pytania, to liczba D nie mogłaby przekraczać 2. Ponieważ jednak okazuje się, że D jest znacząco większe od 2, to oznacza, że cząstki nie mogą

→ mieć własności zdeterminowanych przed pomiarem przez żadną teorię. Muszą nabywać je w sposób niezeterminowany swoją przeszłością – czyli losowy.

Twierdzenie Bella – jak każde twierdzenie matematyczne – jest oparte na pewnych założeniach.

Po pierwsze, pomiary Alicji i Boba muszą zachodzić prawie równocześnie. Innymi słowy, Alicja nie powinna mieć żadnej szansy na wysłanie Bobowi wyniku swojego pomiaru, zanim Bob nie zada swojego pytania – i *vice versa*. Wówczas bowiem eksperymentatorzy mogliby się dogadywać „poza konkursem”. Ponieważ, zgodnie ze szczególną teorią względności – możemy przysłać wiadomości co najwyżej z prędkością światła, Bob musi wykonać pomiar na tyle szybko, aby nie zdążył do niego dolecieć ewentualny sygnał świetlny, wysłany przez Alicję po dokonaniu przez nią pomiaru.

Po drugie, urządzenia rejestrujące odpowiedzi cząstek powinny być wystarczająco wydajne. Szybko zauważono bowiem, że jeśli będziemy wyłapywać mniej niż 87 proc. wysłanych cząstek, to uzyskaną „nadwyżkę korelacji” można złożyć na karb naszej niewiedzy o tych, których nie zmierzylśmy.

Po trzecie wreszcie, pytania zadawane przez Alicję i Boba muszą być w pełni losowe i niezależne od siebie. Oznacza to, w szczególności, że musimy wykluczyć możliwości komunikacji pomiędzy laboratoriami nie tylko w momencie pomiaru, ale również w chwili ustalania pytań. Bo jeśli Alicja z Bobem umówiliby się wcześniej, o co będą pytać, to silne korelacje między odpowiedziami nie byłyby niczym zaskakującym. Frapujący jest fakt, iż eksperymentatorzy wcale nie muszą być świadomi zмовы – ktoś lub coś (np. jakiś złośliwy kartezyjański demon) mógł im przecież „poustawiać” urządzenia.

Jeśli zakładamy zatem, że pytania Alicji i Boba faktycznie są nieskorelowane, to znaczy, że muszą oni nie tylko mieć „uczciwe” urządzenia, ale również posiadać wolną wolę wyboru pytania!

Nierówności na Ziemi i w niebie

Teoretyczny wynik badań Bella należało skonfrontować z eksperymentem. Jego oryginalną nierówność ulepszyli pięć lat później John Clauser, Michael Horne, Abner Shimony i Richard Holt, czyniąc ją bardziej adekwatną do realiów laborato-



Niels Bohr i Albert Einstein podczas Kongresu Solvaya, Bruksela, 1930 r.

ryjnych. Stąd czasem mowa o „nierówności Bell–CHSH”.

Pierwsze doświadczenia przeprowadzono już w latach 70. Rzeczywiście świadczyły one przeciw intuicji Einsteina, jednak ani warunek równoczesności pomiarów, ani czułości detekcji nie zostały spełnione.

Krokiem milowym na drodze do pełnego „testu Bella” był eksperyment przeprowadzony przez Alaina Aspecta i współpracowników w 1982 r. Użyli oni par splątanych fotonów oraz superszybkich polaryzatorów, uruchamianych dopiero, gdy cząstki były już w locie. Dzięki temu oba pomiary zachodziły niemal równocześnie, a „Alicja” i „Bob” nie mogli sobie potajemnie przesyłać wyników. Jednak użyte polaryzatory były zaprogramowane – a zatem ich ustawienia nie były w pełni losowe. Przełomowy, jak na owe czasy, eksperyment Francuzów udało się poprawić w 1998 r. zespołowi z Wiednia kierowanemu przez Antona Zeilingera. Pytania zadawane przez „Alicję” i „Boba” były tym razem wybierane przez kwantowy generator liczb losowych. Pomimo tego, nie udało się wówczas w pełni wyeliminować możli-

wości „pozakonkursowej” komunikacji między laboratoriami. W kolejnej wersji, w 2010 r., wiedeńscy przenieśli się do bardzo spektakularnej scenerii: pary splątanych fotonów były generowane na kanaryjskiej wyspie La Palma. Jeden z nich był mierzony nieopodal, podczas gdy drugi leciał na Teneryfę. Użycie szybkich polaryzatorów oraz kwantowych generatorów liczb losowych zapewniało, że komunikacja „poza konkursem” nie była możliwa.

Otwarta pozostawała jednak wciąż kwestia czułości detektorów. Wymóg wyłapywania przynajmniej 87 proc. strumienia cząstek był nie lada wyzwaniem w latach 70. ubiegłego wieku. Tak wydajne detektory udało się zbudować dopiero w XXI w. W 2001 r. zespół kierowany przez późniejszego laureata Nagrody Nobla Davida Winelanda wykorzystał takowe urządzenie do przeprowadzenia testu Bella. Tu również nie było niespodzianki, a mechanika kwantowa triumfowała. Sęk jednak w tym, iż eksperyment Winelanda wykorzystywał jony, którymi trudno się manipuluje, i nie udało się zagwarantować pierwszego założenia – o niemożności komunikacji. Detektory fotonowe o wydajności przekraczającej 90 proc. powstały dopiero dekadę później, a w 2013 r. dwa zespoły, kierowane przez Zeilingera oraz Paula Kwiata z Illinois, niezależnie od siebie potwierdziły łamanie nierówności Bella w przyrodzie.

Dwa lata później wszystkie trzy elementy powiązano w jedną całość w trzech autonomicznych zespołach. W Delft pod kierunkiem Ronalda Hansona użyto kryształków diamentu specjalnie „zanieczyszczonych” azotem. Tymczasem wiedeńscy na czele z Zeilingerem, a także zespół Lyndena Shalma z Boulder w Colorado użyli fotonów i ultraczułych detektorów. Wyniki nie pozostawiały wątpliwości – żadna teoria „ukrytych zmiennych” nie może wyjaśnić kwantowych korelacji. Kilka miesięcy później Alain Aspect opublikował na łamach „Physics” artykuł o wymownym tytule „Zakończenie kwantowego sporu Einsteina z Bohrem” (ang. „Closing the Door on Einstein and Bohr’s Quantum Debate”).

W 2017 r. chiński zespół kierowany przez Jan-Wei Pana, ucznia Zeilingera, zaobserwował łamanie nierówności Bella przy użyciu par splątanych fotonów emitowanych z satelity na orbicie, a kwantowe technologie coraz odważniej wkra-

ZAGADKI KWANTOWEGO SPLĄTANIA

Źródło emituje pary cząstek splątanych, które lecą w przeciwnych kierunkach (np. na Ziemię i Tytana) z prędkością bliską prędkości światła. Wbrew intuicji, taka „splątana para” zachowuje się jak jeden układ – niezależnie od tego, jak duża odległość w przestrzeni dzieli partnerów. Pomiar własności jednej cząstki z pary natychmiast wpływa na własności drugiej, choć nie można w ten sposób przesłać żadnej informacji. Wyniki pomiarów wykazują bardzo silną korelację, której nie da się wyjaśnić, jeśli założymy, że własności cząstek są określone (zdeteterminowane) przed pomiarem. Eksperymenty z cząstkami splątanymi dowodzą, że nie mają one niezależnie określonych parametrów.

LECH MAZURCZYK



cząką w przestrzeń kosmiczną. Sami zaś wiedzieńcy również postanowili odwołać się do kosmosu, aby odeprzeć argumenty o tym, że może urządzenia do losowania są wadliwe (bądź też specjalnie ustawione). W ich fascynującym zeszłorocznym eksperymencie to fotony pochodzące z dwóch odległych gwiazd „zadawały pytania” w eksperymencie na Ziemi. Nierówność Bella została oczywiście złamana. To oznacza, że jeśli ktoś (lub coś) uknuł(o) intrygę, by nam mydlić oczy, musiał(o) to zrobić ponad 600 lat temu – przed Gutenbergiem i tym bardziej przed drukiem „Principiów” Newtona.

Filozoficzna koda

Dzisiaj ludzie chętniej wierzą internautom niż fizykom i ich fotonom z gwiazd. Tym tropem poszli w 2016 r. autorzy Wielkiego Testu Bella (ang. *The BIG Bell Test*), w którym to 100 tys. użytkowników internetu generowało ciągi zer i jedynek wedle własnego widzimisię. Na podstawie ich zachcianek 15 laboratoriów na całym świecie zadało pytania cząstkom splątanim. I znów, mechanika kwantowa zatriumfowała.

Ciekawą uwagę dotyczącą tego testu poczynił brytyjski fizyk Lucien Hardy. Zauważył bowiem, że użyta metoda nie daje szans na spełnienie założeń testu Bella związanych z szybkością wykonywania eksperymentu ze względu na zbyt długi czas reakcji między podjęciem decyzji w ludzkim mózgu a jej motorycznym rezultatem – np. wciśnięciem klawisza komputera. Hardy zaproponował znaczącą poprawkę – nowy eksperyment miałby bazować na sygnałach EEG, używanych na co dzień w medycynie do diagnostyki mózgu, a także zadbać o przestrzenne rozdzielanie grup osób zaangażowanych w eksperyment.

W tym momencie czytelnik ma prawo nabrać podejrzeń, że cała ta historia z mechaniką kwantową jest jakimś piramidalnym błędnym kołem. Oto bowiem, żeby uznać, że pewne zjawiska w świecie zachodzą w sposób kompletnie losowy, musimy założyć, że... pewne zjawiska w świecie zachodzą w sposób kompletnie losowy. Chcąc wykazać kwantowy indeterminizm, musimy odwołać się do jakiegoś „źródła losowości” – czy to w zasadzie nieoznaczoności Heisenberga, czy to w kosmosie, czy też w naszych mózgach. Fizycy są zatem niczym baron Münchhausen, który rzekomo sam siebie wyciągnął za włosy z mokradła.

Fizycy, chcąc pozostać wiernymi metodologii właściwej ich dziedzinie, patrzą jednak na całą sprawę zupełnie inaczej. Silne korelacje pomiędzy cząstkami splątanymi są faktem naukowym, dowiedzionym niezależnie w wielu eksperymentach – i ten fakt domaga się wyjaśnienia. Najlepszym, jakim dysponujemy, jest mechanika kwantowa – z całym jej bagażem filozoficznym.

Pytanie, jakie natomiast mogą zadać fizycy, to: jak bardzo losowe muszą być ustawienia urządzeń pomiarowych, by zachodziło przewidziane przez mechanikę kwantową łamanie nierówności Bella?

Pytanie to postawiono dopiero niedawno (w 2012 r.) i okazało się, w wyniku badań teoretycznych prowadzonych w Zurychu, Barcelonie i Gdańsku, że – co zaskakujące – potrzeba jedynie bardzo słabej nieprzewidywalności, albo jak kto woli: wolnej woli. Wystarczyłaby tu jedynie moneta, której zachowania nikt i nic we wszechświecie nie może przewidzieć z prawdopodobieństwem większym niż 99 proc. (rzucając nią wielokrotnie i próbując przewidzieć wynik, każdy użytkownik lub automat zrobi błąd średnio raz na

sto rzutów). Nie wiemy, czy takie źródła istnieją w przyrodzie (być może ludzki mózg ma w sobie właśnie jakąś dozę nieprzewidywalności tego typu, także na poziomie decyzyjnym). Jeśli jednak istnieje choćby jedno, i to dowolnie słabe takie źródło, wówczas możemy pokazać, że nierówność Bella jest łamana, a nawet, co więcej, wykorzystać ją do generowania losowości maksymalnej – czyli 50 proc. na 50 proc.

Fenomen kwantowego splątania – niezwykle silnych korelacji między odległymi cząstkami – jest niezrozumiały na gruncie naszej potocznej intuicji wywodzącej się ze świata makroskopowego, którego doświadczamy na co dzień. Einstein był przeświadczony, że ów brak zrozumienia jest chwilowy i wynika po prostu z niedoskonałości naszego opisu fundamentalnych praw fizyki. W świetle najnowszych badań taki pogląd filozoficzny, choć niewykluczony, staje się coraz trudniejszy do przyjęcia.

Wydaje się, że przyroda stawia nas przed wyrazistą alternatywą. Albo cały świat, z nami samymi, jest całkowicie zdeteterminowany, a wszelka rzekoma losowość zdarzeń jest jedynie złudzeniem fundowanym nam przez jakiegoś kartezjańskiego demona, albo też mamy, choćby nawet bardzo słabiutką, „rozrzedzoną” wolną wolę, a obserwując świat, fizycznie go zmieniamy i potrafimy poprzez mechanikę kwantową doprowadzić do zdarzeń zupełnie nieprzewidywalnych. *Tertium non datur*.

© MICHAŁ ECKSTEIN, PAWEŁ HORODECKI

MICHAŁ ECKSTEIN jest doktorem matematyki i fizykiem.

PAWEŁ HORODECKI jest profesorem fizyki. Obaj autorzy pracują w Krajowym Centrum Informatyki Kwantowej w Gdańsku.



Stephen Hawking z żoną Elaine na plaży San Lorenzo w Gijón, Hiszpania, kwiecień 2005 r.

Urwana trajektoria

ŁUKASZ ŁAMŻA

Tuż przed oddaniem tego dodatku do druku zmarł Stephen Hawking. Przyjrzyjmy się krótko jego najważniejszym dokonaniom naukowym i miejscu w krajobrazie dzisiejszej debaty na temat kosmosu.

N AZWISKO HAWKINGA WESZŁO już do języka potocznego. Dziś jest on już wymieniany jednym tchem obok Alberta Einsteina jako „po prostu fizyk” – jedna z pierwszych osób, które przychodzą nam do głowy, gdy myślimy o nauce i kosmosie. Brytyjski matematyk i kosmolog Roger Penrose, w długim pożegnaniu swojego wieloletniego współpracownika i przyjaciela – opublikowanym w „The Guardian” 14 marca, a więc w dniu jego śmierci – słusznie zauważył, że Hawking z wielką przyjemnością przyjął sławę, która na niego spadała. Pozwalała mu nie tylko mówić o wszechświecie i matematyce, publicznie walczyć o sprawę osób chorych i niepełnosprawnych, ale także utrzymać do końca życia finansową niezależność. Od 1963 r., kiedy to – mając zaledwie 21 lat – usłyszał od lekarzy, że cierpi na postępujące stwardnienie zanikowe boczne, z każ-

dym rokiem rosła otaczająca go świta pielegniarek, lekarzy i asystentów. Hawking nie zrezygnował zaś z aktywności naukowej i popularyzatorskiej, dyktując kolejne artykuły i teksty wykładów. Oddając mu miejsce na łamach dodatku poświęconego przełomom w nauce, nie musimy nawet w minimalnym stopniu naginać prawdy – Hawking walnie przyczynił się do przynajmniej jednego znaczącego kroku naprzód w naszym rozumieniu wszechświata. Aby docenić jego wkład w fizykę, cofnijmy się do przełomu lat 60. i 70. XX w., kiedy to powstały jego najważniejsze prace naukowe.

Ogólna teoria względności (OTW) to matematyczny opis kształtu przestrzeni. Aparat teoretyczny OTW jest jednak, no właśnie, tylko strukturą matematyczną. Od 1915 r., kiedy zostały opublikowane kluczowe dla tej teorii tzw. równania pola Einsteina, najważniejsze stało się pytanie, które z rozlicznych możliwych kon-

sekwencji tej teorii rzeczywiście dotyczą świata fizycznego, a które są tylko ciekawostką matematyczną.

Ot, czarne dziury. Już w 1916 r. niemiecki matematyk Karl Schwarzschild wykazał, że w ramach teorii Einsteina da się opisać konfigurację czasoprzestrzeni, w środku której znajduje się tzw. osobliwość: punkt, w otoczeniu którego krzywizna czasoprzestrzeni zdążyła do nieskończoności. Jeżeli mówimy o tym wyłącznie jako o obiekcie matematycznym, nie jest to jeszcze koniec świata. Dopiero wtedy, gdy obiekt ten zacznie nam służyć do opisu jakiegoś rzeczywistego zjawiska fizycznego, zachodzącego w otaczającej nas, realnej przestrzeni świata, osobliwość staje się naprawdę... końcem świata. Przez kolejne dziesięciolecia nie było jasne, czy osobliwości tego typu są wyłącznie kłopotliwym gościem w kajetach matematyków, czy też zagrażają spójności naszego własnego wszechświata. W taką właśnie atmosferę niepewności wkroczył w połowie lat 60. Stephen Hawking, wówczas doktorant na Uniwersytecie Cambridge.

W 1965 r. Penrose opublikował pracę („*Gravitational Collapse and Space-Time Singularities*”), w której wykazał, że zapadająca się materia musi doprowadzić do lokalnego powstania osobliwości, nawet w nieidealnym świecie fizycznym, w którym nie obowiązują niektóre dogodne uproszczenia matematyczne, np. założenie doskonałej symetrii. Zainspirowany tym tekstem Hawking rozszerzył wynik Penrose’a, obejmując nim już całą czasoprzestrzeń wszechświata. W 1966 r. przedstawił swoją pracę doktorską, której rozdział czwarty opisywał te zagadnienia na sposób ścisły. Wydawało się, że osobliwościom zostaje zapewnione solidne miejsce w opisie rzeczywistości.

W następnych latach Hawking wraz z Penrose’em opracowują szereg narzędzi matematycznych, pozwalających na wykrywanie i opisywanie osobliwości. Przyjęta przez nich metoda opiera się na śledzeniu cząstek. Jeżeli wyobrazimy sobie, że każda cząstka zostawia po sobie w czasoprzestrzeni ślad, to o istnieniu osobliwości miałyby świadczyć po prostu... urwane trajektorie.

W 1970 r. Hawking z Penrose’em opublikowali artykuł („*The Singularities of Gravitational Collapse and Cosmology*”), gdzie intuicje te zostały sprowadzone do postaci matematycznych twierdzeń,

a w 1973 r. z George'em Ellisem podręcznik, dziś klasyczny, „*Large-Scale Structure of Space-Time*”, w którym przedstawiony został syntetyczny opis czasoprzestrzeni, m.in. ze względu na wspomniane ograniczenia ruchu cząstek, a więc i możliwości przesyłania sygnałów. Książka ta do dziś stanowi jedno z najważniejszych rozwinięć Einsteinowskiej teorii względności.

W następnych dekadach zainteresowania Hawkinga zwróciły się ku związkowi pomiędzy kosmologią a teorią kwantową. Jest m.in. współautorem hipotezy tzw. parowania czarnych dziur – nazywanego też po prostu parowaniem Hawkinga. Jest to niepotwierdzony jeszcze mechanizm, dzięki któremu owe, jak się sądzi konwencjonalnie, „leje bez dna” mogłyby jednak powolutku gubić masę poprzez typowo kwantowy proces emitowania cząstek z próżni.

W latach 80. Hawking, który łączył w sobie niezwykłą historię osobistą z niekłamany szacunkiem najwybitniejszych fizyków świata, został wywindowany do roli gwiazdy naukowej popkultury. Przełomowym momentem było wydanie w 1988 r. „*Krótkiej historii czasu*”, która szybko stała się bestsellerem. Rynek wydawniczy nie był wówczas tak nasycony jak dziś, a książka Hawkinga zapeliła potężną – jak się okazało – lukę, opowiadając o kosmosie i nauce w przystępny, nieprzeciążony matematyką sposób.

Z każdym kolejnym rokiem Hawking pozwalał sobie na coraz więcej, współpracując z muzykami (trudno zapomnieć choćby jego głos w „*Keep Talking*” Pink Floydów) oraz twórcami niezliczonych filmów i kreskówek, a także wypowiadając się na najróżniejsze tematy, od sztucznej inteligencji i przyszłości rasy ludzkiej, po życie pozaziemskie i Boga. Jego komentarze budziły często tyleż zainteresowania, co kontrowersji, i niejednokrotnie zarzucano mu podpieranie się autorytetem nauki, gdy przychodziło po prostu do głoszenia prywatnych poglądów. Trudno jednak zaprzeczyć, że opinia Hawkinga będzie jeszcze przez długie dekady punktem orientacyjnym w sprawach dotyczących zagadek kosmosu – zarówno tych czysto naukowych, jak i tych zgoła metafizycznych. ©

Obce globy

NIGEL MASON, ASTROCHEMIK:

Skomplikowane związki chemiczne znajdujemy jak wszechświat długi i szeroki – takie same w różnych jego rejonach. Prawa chemii, tak jak fizyki, są uniwersalne. A życie na innych planetach – prawdopodobne.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Niedawno sądziliśmy, że Układ Słoneczny jest wyjątkowy. Dziś wiemy, że większość gwiazd ma planety. To kolejny przewrót kopernikański w astronomii?

NIGEL MASON: Jak najbardziej.

Dotąd odkryliśmy przeszło 3,5 tys. planet pozasłonecznych, czyli egzoplanet. Co właściwie wiemy?

Liczba odkrywanych egzoplanet ciągle rośnie. Pierwszą odkrył Polak, Aleksander Wolszczan w latach 90. XX w. Wówczas istnienie planet pozasłonecznych było dyskusyjne, część badaczy sądziła, że do ich powstania potrzeba bardzo specyficznych warunków. Teraz wiemy, że wokół większości gwiazd wszechświata prawdopodobnie krążą dwa lub trzy ciała niebieskie. Klasyfikujemy je, posługując się analogią do Układu Słonecznego. Obserwujemy głównie tzw. superjowisze, czyli gazowe olbrzymy – z uwagi na rozmiar łatwiej je wykryć. Dlatego dziś badania koncentrują się na poprawieniu czułości instrumentów badawczych, by można było obserwować planety coraz mniejsze. Za pomocą kolejnej generacji teleskopów kosmicznych, jak PLATO [od *PLANetary Transits and Oscillations of Stars* – red.] czy Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba, który ma trafić na orbitę już niebawem, powinniśmy być w stanie zaobserwować planety rozmiarami zbliżone do Ziemi, których orbita mieści się w tzw. ekosferze gwiazdy – takiej odległości od gwiazdy, że dociera tam tyle ciepła, by na powierzchni planety mogła występować woda w stanie ciekłym. Takie planety są potencjalnie gościnniejsze dla występowania życia w formie, jaką znamy.

Bezpośrednio przez teleskop nie zobaczymy egzoplanet. Metodą ich tropienia jest tzw. tranzyt. Co pozwala stwierdzić?

To jedna z najczęściej stosowanych metod, acz nie jedyna. Obserwujemy zmiany emisji światła dochodzącego do nas od gwiazdy, gdy przed jej tarczą przechodzi planeta. Tak jak przy każdym zaćmieniu, im taka planeta bliższa gwieździe, tym większą ilość światła przysyła. Potrzebny jest do tego teleskop bardzo stabilny i czuły, zdolny obserwować bardzo niewielkie zmiany jasności. W przypadku obserwacji z powierzchni Ziemi trzeba wziąć poprawkę na oscylacje atmosfery, które mogą wywołać fałszywy sygnał. A więc najlepsze są do tego teleskopy kosmiczne.

Pomiaru tranzytu planety przed gwiazdą dokonuje się wielokrotnie – pozwala to zbadać orbitę, ustalić jej kształt i odległość planety od gwiazdy. Z tego powodu częściej obserwujemy dziś planety obiegające swoją gwiazdę raz na kilka dni, tygodni, najwyżej miesięcy. Bo gdy chce się badać planetę obiegającą gwiazdę raz na ziemski rok, trzeba obserwować ten sam wycinek nieba przez kilka lat. Gdy już uzyska się to, co nazywamy krzywą tranzytu, analiza jej kształtu mówi wiele o masie i rozmiarach planety. Jeśli mamy kilka planet na tej samej płaszczyźnie, jak w Układzie Słonecznym, zaobserwujemy różne krzywe, które pozwolą oszacować, ile ich jest. A znajomość rozmiaru i masy pozwala stwierdzić, czy mamy do czynienia z superjowiszem, którego gęstość jest relatywnie niska, czy z masywnym ciałem skalistym. W tym drugim przypadku planeta ma powierzchnię, są więc większe szanse, by było tam życie.

Ale do tego trzeba zbadać coś jeszcze: atmosferę.

To też możliwe przy pomocy badania tranzytu?

Tak. Patrzymy, co się dzieje, gdy planeta właśnie wyłania się zza gwiazdy albo się za nią chowa. Przez króciutki czas światło prześwieca wtedy przez jej atmosferę. Gdy →

→ poddamy je analizie spektroskopowej, linie widma absorpcyjnego pokażą, jakie pierwiastki i związki chemiczne wchodzi w skład tej atmosfery. A dodatkowo pomiar tego światła powie nam coś o jej temperaturze.

Co zawierają zbadane dotąd atmosfery?

Większość dotychczasowych badań dotyczy superjowiszy, bo mają wokół siebie grubą otoczkę atmosfery, mamy więc wiele światła do badania spektrum. Wykrywaliśmy wodę, metan, tlenek i dwutlenek węgla. Daje to nieco pojęcia, czy dana planeta składa się z gorących gazów, czy jest tam woda i w jakiej postaci itd. Następna generacja teleskopów kosmicznych będzie w stanie zebrać znacznie więcej danych na temat atmosfer. Pozwoli to spekulować, czy planeta jest potencjalnie zdolna do goszczenia życia, oraz wypatrywać biomarkerów.

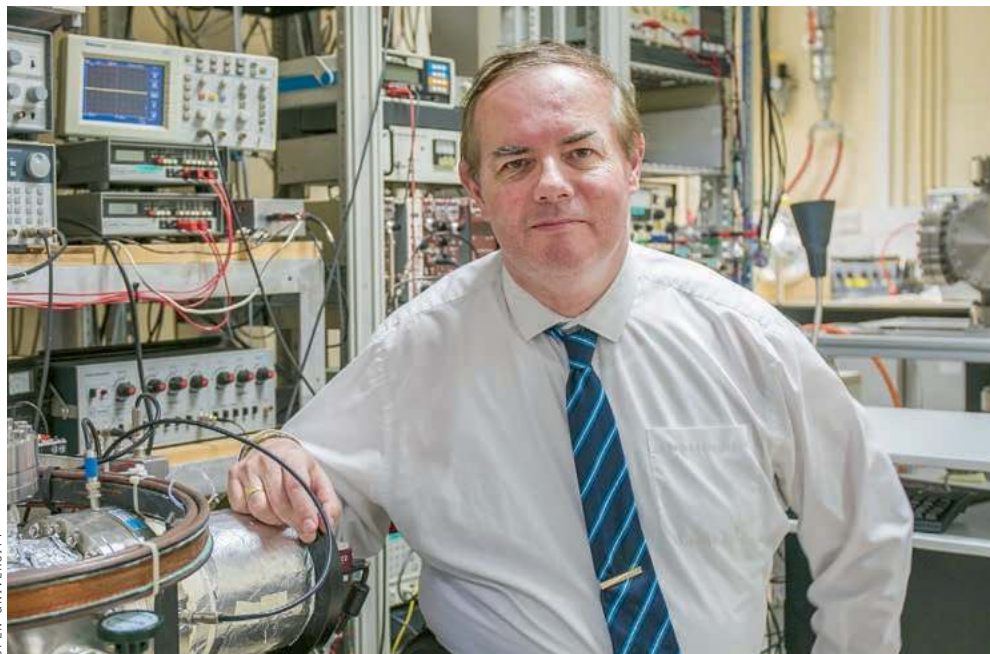
Co to są biomarkery?

Cząsteczki pochodzenia biologicznego. Bo biologia wpływa na atmosferę. Weźmy przykład planety, co do której na pewno wiemy, że jest na niej życie – na razie znamy jedną. Trzy miliardy lat temu atmosfera Ziemi zaczęła się zmieniać z metanowej na tlenową, a to za sprawą pojawienia się fotosyntetyzujących bakterii, które zaczęły absorbować energię słoneczną i wytwarzać tlen. Jeśli znajdziemy egzoplanetę z atmosferą obfitą w tlen, będzie on właśnie biomarkerem.

A gdyby istniały tam formy życia niekoniecznie związane z tlenem?

Nie wiemy, jak by działały, więc nie potrafilibyśmy stwierdzić, co w ich przypadku byłoby biomarkerem. Problem w tym, że jesteśmy związani jedynymi przykładami, którymi dysponujemy, czyli formami życia znanymi z Ziemi.

A z Ziemi znamy np. metanogeny, które czerpią energię z oddychania beztlenowego, korzystając z metanu. Takie były pierwsze organizmy we wczesnej historii życia na naszej planecie. Nawiasem mówiąc, trwa właśnie wielka dyskusja wokół emisji metanu obserwowanego na Marsie. Otóż metan w atmosferze bardzo szybko rozpada się pod wpływem światła gwiazdy. Więc gdy go w niej obserwujemy, znaczy to, że coś go musi do niej wciąż dostarczać. I choć znamy procesy geologiczne, w których powstaje metan,



Profesor Nigel Mason obok spektrometru

to jest też możliwość, że marsjański metan pochodzi od form życia, które przeżyły głęboko pod powierzchnią dawnych oceanów tej planety. Dlatego część badaczy uważa go za biomarker.

Istnieją też inne potencjalne biomarkery, jak formaldehyd. Problem w tym, że w atmosferze występują one w bardzo małych stężeniach, bardzo więc trudno je wykryć nawet na Marsie, a wykrycie ich na egzoplanecie wykracza poza nasze dzisiejsze możliwości.

Co zobaczylibyśmy na powierzchni tamtych światów?

Nie mamy dziś wystarczających danych o żadnej egzoplanecie, by z pewnością wnioskować, jak może wyglądać jej powierzchnia. Byliśmy dotąd przekonani, że z grubsza wiemy, jak wygląda powierzchnia Plutona czy księżyców Saturna, ale gdy tam dotarliśmy, okazało się, że sprawy miały się inaczej. Nie jesteśmy najlepsimi w przewidywaniu takich rzeczy. Ale na pewno każda z tych planet wygląda inaczej. Bardzo mało prawdopodobne, byśmy znaleźli dwie podobne. Choćby dlatego, że planety się zmieniają. Ziemia także: dzisiejsze kontynenty miliony lat temu były jednym wielkim lądem.

Odwagamy się spekulować o wyglądzie ewentualnych tamtejszych form życia?

Wielu badaczy wierzy – i dziś to niewiele więcej niż tylko wiara – że jeśli istniałaby druga Ziemia z życiem opartym na tlenie,

to generalnie byłoby podobne do naszego: ale np. to, jaki kolor miałyby tamtejsze rośliny, zależałoby już od składu atmosfery. Rośliny ziemskie ewoluowały jako zielone, bo to na naszej planecie najskuteczniejszy sposób odbijania części widma słonecznego – ze względu na warstwę ozonową, określone ilości tlenu i pary wodnej itd. Tam rośliny mogłyby być choćby fioletowe. Podobnie ludzkie oko jest najbardziej wyczulone na kolor żółty, bo taki jest kolor światła słonecznego. Światło tamtejszej gwiazdy mogłoby być inne. Ale możemy tylko zgadywać.

W naszym układzie wokół średniej wielkości gwiazdy po wewnętrznych orbitach krążą mniejsze planety, a po zewnętrznych – gazowe i lodowe olbrzymy. Jakich innych systemów możemy się spodziewać w kosmosie? Podwójnych planet? Podwójnych słońc?

Istnieją przykłady interpretowane jako układy dwóch planet krążących wspólnie blisko siebie. Ale bardziej prawdopodobne, że na jakimś etapie takie planety zderzą się i utworzą jedną. W każdym razie stabilny układ dwóch planet jest absolutnie możliwy z punktu widzenia praw fizyki, choć pewnie nieczęsto się zdarza – acz niedawno nie spodziewaliśmy się zaobserwować gwiazd podwójnych, a dziś znamy ich wiele. We wszechświecie możliwych jest tyle kombinacji, że właściwie wszystko, co sobie wyobrazisz, pewnie gdzieś istnieje. Co ciekawe, *science fiction*

na takie pomysły, jak podwójne gwiazdy czy planety, już dawno wpadła.

Planeta Tatooine z „Gwiezdnych wojen” ma dwa słońca. Zapewne wymyślono ją tak, żeby dać nam poczucie dziwności, obcości. A okazało się, że gwiazdy podwójne są w kosmosie dość powszechne.

W rzeczy samej. Co więcej, do wykrywania planet pozasłonecznych posłużyły te same techniki, z których korzystano w poszukiwaniu układów gwiazd podwójnych. A one mogą mieć bardzo interesujący zestaw krążących wokół nich planet. Możliwe są planety okrążające jedną z takich gwiazd, ale też takie, które po skomplikowanej orbicie krążyłyby wokół obu.

Kopernikański przewrót związany z odkrywaniem egzoplanet dotyczy też tego, że jeszcze niedawno wątpiono w życie poza Ziemią, dziś się to zmienia. Na ile powszechne wśród naukowców jest przekonanie, że ono istnieje?

Dobre pytanie. Tzw. równanie Drake’a pozwala obliczyć prawdopodobieństwo istnienia planet, na których istnieje życie. W zależności od przypadku planety, który podstawia się do równania, wynosi ono niemal zero – brak życia, lub niemal jeden – niemal pewne istnienie. Przy takim rozstrzale można właściwie założyć cokolwiek. Prawie jak w ekonomii.

Ale istnieje sporo dowodów na to, że życie jest bardziej prawdopodobne niż jego brak. Wiąże się z pytaniem o chemię życia: o to, skąd biorą się złożone cząsteczki, które następnie łączą się, tworząc DNA, komórki, życie. Jeszcze w latach 70. większość astronomów uważała, że takie cząsteczki nie mogą powstawać w kosmosie, bo jest on zbyt zimny i zbyt pusty. Tymczasem dziś w ośrodku międzygwiazdowym odkrywamy ich mnóstwo.

Jest tam coś więcej niż samotne atomy wodoru i helu?

Tak. Od bardzo prostych, dwuatomowych cząsteczek, po łańcuchowe, wieloatomowe węglowodory, kwas octowy czy mrówkowy. Wszystkie one są częścią naturalnego procesu formowania się gwiazd i planet. W Układzie Słonecznym nie ma niczego szczególnego. To odkrycie jest właśnie jednym z wielkich przełomów ostatniej dekady: skomplikowane związki chemiczne znajdujemy jak

wszechświat długi i szeroki, a co więcej, w różnych jego rejonach znajdujemy takie same cząsteczki. A więc prawa chemii, tak jak fizyki, są uniwersalne. Z tego powodu pogląd, że cząsteczki budulcowe dla życia mogą się pojawić w kosmosie, jest dziś powszechnie podzielany.

Nie wiemy natomiast, w jaki sposób te cząsteczki łączą się w bardziej skomplikowane struktury dające początek życiu, jak DNA i komórki. Sądzę, że kiedy się dowiemy – nie „jeśli”, lecz „kiedy”, bo jestem przekonany, że nastąpi to w następnych kilku dekadach – być może wykrzyknimy: „O Boże, jakie to oczywiste!”. Może się okazać, że warunki potrzebne do zajścia tego procesu występują na większości planet. Wszystkie dowody wskazują, że życie jest naprawdę żywotne. Od uformowania się Ziemi do powstania życia minął najwyżej miliard lat. To szybko. A skoro na Ziemi znajdujemy życie we wnętrzu reaktorów atomowych, w gorących i kwasowych jeziorach, to dlaczego nie mogłoby się rozwinąć w podobnych warunkach na innej planecie?

Ale od żywej komórki do życia inteligentnego jeszcze daleko...

Na pytanie, jak z pierwszych komórek, pierwszych mikrobakterii, powstały organizmy wielokomórkowe, też nie znamy jednoznacznej odpowiedzi. Czy zakres potrzebnych do tego warunków jest bardzo wąski, czy przeciwnie: gdy już życie powstanie, nieuchronnie wyewoluują też organizmy wielokomórkowe? Uważam, że kroki, które doprowadziły do powstania ludzi, opierały się na jakichś interesujących fluktuacjach statystycznych, z których najczęściej przywoływana była zagłada dinozaurów. Gdyby nie uderzenie asteroidy, które zmiotło je z powierzchni Ziemi, ssaki nie zdobyłyby przewagi, nie wyewoluowałyby naczelnie i człowiek. Planeta wciąż zdominowana byłaby przez dinozaury, których mózgi być może nie zdołałyby wyewoluować do tego stopnia, żeby dziś dyskutowały one o tym wszystkim, w dodatku przez telefon.

Jakiego wielkiego przełomu życzy Pan sobie w następnej kolejności?

Są trzy takie: pierwszym będzie to, czego się dowiemy o atmosferach egzoplanet, skatalogujemy to, porównamy podobne planety na różnych etapach ich życia. Okaze się wtedy, czy atmosfery te ewoluują w jakimś cyklu i czy istnieje ja-

kiś standardowy wzorec rozwoju planetarnej chemii. Drugim przewrotem będzie odkrycie, jak łączą się tworzące życie cząsteczki. Otrzymanie w laboratoriach samoreplikujących się prostych komórek i prostych form życia. Trzeci przełom zaś prawdopodobnie nastąpi w naszym własnym Układzie Słonecznym, gdy odkryjemy składniki życia na Marsie, albo w oceanicznym świecie księżyców Jowisza: Europy bądź Ganimedesa, gdzie wysłana ma być niebawem europejska misja JUICE (*Jupiter Icy Moon Explorer*). To będzie bliżej domu, więc jeśli odkryjemy tam ślady życia, będziemy mogli po prostu tam polecieć i się mu przyjrzeć.

Czy z wszystkich tych badań możemy skorzystać na Ziemi?

Badania kosmiczne zawsze przynoszą korzyści technologii. Tu przyglądamy się bardzo, bardzo wątlm sygnałom za pomocą bardzo, bardzo małych, czułych i energooszczędnych instrumentów – takich, by nadawały się np. do wysłania na Marsa. I jest dla nich mnóstwo zastosowań na Ziemi. Już dziś służą np. do wykrywania śladów gruźlicy w oddechu pacjenta, wykrywania narkotyków czy środków wybuchowych, a nawet pluskiew w pokojach hotelowych. Albo w przypadku badań spektroskopowych: jeśli potrafimy zmierzyć stężenie cząsteczek w atmosferze planety pozasłonecznej, to ile możemy zbadać w ziemskiej! Np. wykrywać bardzo drobne zmiany mogące nam wiele powiedzieć o zmianach klimatu czy zanieczyszczeniu. Wreszcie – dane. Moc obliczeniowa i analityczna narzędzi potrzebnych do badań kosmicznych służy też przetwarzaniu *big data*, od zakupów przez internet po ludzkie zachowania.

Musimy o tym pamiętać: koszty badań kosmicznych są maleńkie w porównaniu z zyskami osiąganymi za sprawą kosmicznych technologii w przemyśle, wytwórstwie, służbie zdrowia. Ale technologie te powstają dzięki pragnieniu badania naszego Układu Słonecznego i naszego wszechświata.

© P Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

PROF. NIGEL MASON jest astrochemikiem, pracuje na brytyjskim Open University. Koordynator naukowy konsorcjum Europlanet zrzeszającego ponad 60 ośrodków badawczych zajmujących się astronautyką i badaniami planet, również pozasłonecznych.

Jako w niebie, tak i na papierze

ŁUKASZ ŁAMŻA

**Aby nauka szła do przodu, teoria musi iść
w parze z obserwacjami. Czasem się udaje – a czasem nie.**

FIZYKA TO INTERESUJĄCA NAUKA, stojąca w rozkroku pomiędzy swoim aspektem teoretycznym i obserwacyjnym. Z jednej strony bywa po prostu matematyką stosowaną. Istnieją całe zastępy „fizyków matematycznych”, których praca polega w istocie na rozwiązywaniu równań i tworzeniu nowych struktur matematycznych. Na pewnym etapie którąś z literek utożsamia się z mierzalną wielkością fizyczną i oto matematyka staje się opisem świata. Z drugiej strony bywa po prostu „starym, dobrym” przyrodoznawstwem empirycznym – tym od teleskopu, mikroskopu, sejsmometru, a także ich licznych mniej znanych kuzynów, jak spektroskop Ramana, wiskozymetr Höpplera albo laktodensymetr.

W idealnym świecie obserwacje powinny pobudzać do konstruowania nowych teorii, zaś teorie przewidywać nowe obserwacje – fizyka miałaby dzięki temu spokojnie postępować naprzód krok po kroczku. Czasem rzeczywiście tak bywa. Czasem – niekoniecznie. Zaczniemy od przypadku szczęśliwego.

Astronomia nowa

Kopernik spekulował w listach na temat nowego heliocentrycznego systemu niebios już w okolicach roku 1510, o czym świadczy choćby „*Commentariolus*” („Mały komentarz”) – znany jego przyjaciółom przynajmniej od 1514 r. Dopiero 30 lat później, w 1543 r. (roku jego śmierci), ukazało się jednak „*De revolutionibus orbium coelestium*”. Książka ta stanowiła potężny krok naprzód względem powszechnie wówczas uznawanego systemu ptolemejskiego. System kopernikański ma wiele zalet: jest nie tylko po prostu słuszny (planety orbitują wokół Słońca, a nie Ziemi), ale też prostszy matematycznie. Utrzymanie zgodności sta-

rego systemu geocentrycznego Ptolemeusza z obserwacjami astronomicznymi wymagało nakładania na niego kolejnych poprawek, m.in. tzw. epicykli, czyli „cykli na cyklach” – planety miałyby poruszać się po sferach, które same poruszały się po sferach. System kopernikański błyskawicznie likwiduje tego typu kłopotliwe komplikacje. Z dzisiejszej perspektywy brakuje mu jednak czegoś fundamentalnego – solidnej podstawy matematycznej, która pozwalałaby na poszukiwanie podstaw fizycznych ruchu planet. Kopernik traktował ruch sfer niebieskich jako zjawisko niemające nic wspólnego z grawitacją, rozumianą po prostu jako siła sprawiająca, że przedmioty spadają ku środkowi Ziemi. O ile centrum kosmosu miało być Słońce, to centrum grawitacji pozostawiała Ziemia. Powiązanie tych dwóch zjawisk ze sobą potrzebowało solidniejszej bazy, zarówno teoretycznej, jak i obserwacyjnej.

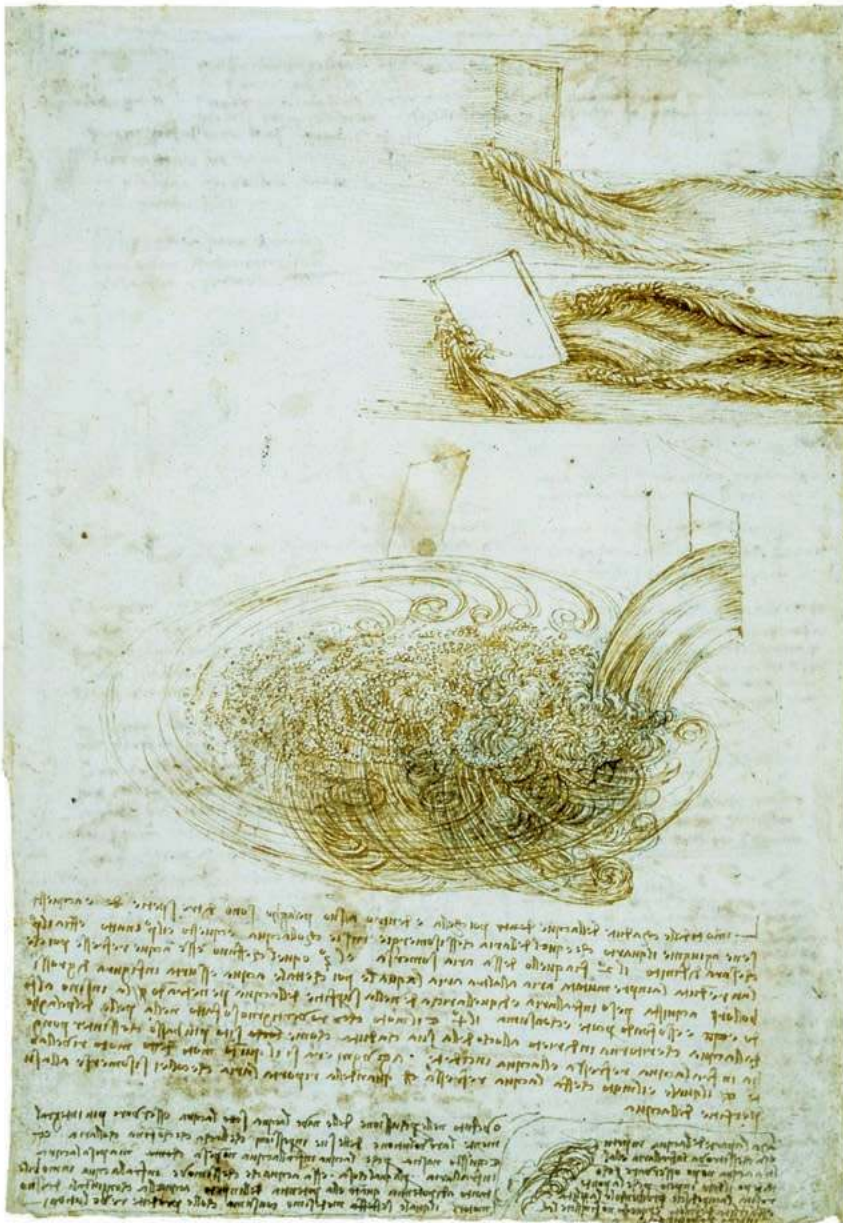
Pobudzeni przez Kopernika astronomowie drugiej połowy XVI w. rażno wzięli się do roboty. Szczególnie heroiczne były wysiłki Tychona Brahego, który, od kiedy tylko w 1560 r. jako 14-latek doświadczył zaćmienia Słońca, postanowił zostać naukowcem. Od lat 60. XVI w. prowadził już systematyczne obserwacje, również astronomiczne, odnotowując m.in. z fantastyczną precyzją położenia gwiazd „stałych” (czyli po prostu gwiazd) oraz „zmiennych” (czyli planet). To właśnie owa wspaniała precyzja pozwoliła nieco młodszemu od niego Johannesowi Keplerowi wyrysować krzywe ilustrujące ruchy planet w nowym systemie heliocentrycznym. W klasycznym układzie geocentrycznym krzywe te są tyleż piękne, co kłopotliwe. Przykładowo, niektóre planety wydają się zawracać na swych ścieżkach. Kepler był już w stanie pokazać, że w modelu kopernikańskim trajektorie planet dają się doskonale przybliżyć przez

elipsy (a nie idealne okręgi, w które wierzył Kopernik), a ich parametry, zwłaszcza prędkość, można przewidzieć odwołując się do odległości planet od Słońca. Tak narodziły się słynne keplerowskie prawa ruchu planet, na bazie których Newton sformułował później ideę powszechnego oddziaływania grawitacyjnego.

Zatrzymajmy się jednak jeszcze na chwilę przy Keplerze. W nim zbiegła się genialna pomysłowość Kopernika ze wspaniałą precyzją pomiarów astronomicznych Brahego, dokonywanych, dodajmy, gołym okiem. Trudno jednak o piękniejszą demonstrację wspólnego pochodzenia sfery teoretycznej i obserwacyjnej astronomii niż to, co nastąpiło w 1609 r. To wówczas Kepler opublikował swój 650-stronicowy traktat „*Astronomia nova*”, w którym opisał nowe prawa ruchu planet. W tym samym roku Galileusz skonstruował swój pierwszy teleskop, korzystając prawdopodobnie ze zgłoszonego rok wcześniej w Niderlandach patentu Hansa Lippersheya. Astronomia otrzymała więc podwójny bodziec dla rozwoju. Z jednej strony zupełnie nowy poziom (matematycznego) opisu, a z drugiej wspaniałe narzędzie badania rzeczywistych położań i wyglądu ciał niebieskich. O tym, jak niezwykłym wydarzeniem dla nauki był teleskop, niech świadczy fakt, że w samym tylko 1610 r., czasem w odstępie zaledwie dni, Galileusz jako pierwszy zaobserwował księżyc Jowisza, fazy Wenus, pierścienie Saturna i góry na powierzchni Księżyca. Podobna eksplozja nowych obserwacji to rzadkie zjawisko w nauce.

Widzę, ale nie rozumiem

Omówmy teraz przypadki gorszej koordynacji. Sytuację, gdy obserwacji nie brakuje, ale fizycy cierpią na poważny niedostatek teorii, ilustrują choćby badania przepływu cieczy. Nie trzeba żadnego zaawansowa-



Szkice wirów wodnych Leonarda da Vinci

nego sprzętu, aby obserwować powstające na powierzchni wody wiry – spójrzmy choćby na świetne, szczegółowe rysunki Leonarda da Vinci. Względnie łatwe jest opisanie dynamiki płynu, gdy ten zachowuje się w sposób uporządkowany, tj. gdy można go myślowo podzielić na równoległe warstewki przesuwające się niezależnie od siebie. Wyobraźmy sobie choćby idealnie gładką warstwę kisielu, powolutku spływającą w dół na nieskończonej, nieznacznie opadającej pochylni: warstwa przyziemna nie porusza się wcale, a z każdym centymetrem ku górze prędkość pełznięcia kisielu rośnie. Tego typu wyidealizowany przypadek to tzw. przepływ laminarny. W rzeczywistości w świecie przyrody trudno znaleźć tego typu cieszące matematyka idealne układy, a ciecze lubią

zakręcać, tworząc większe czy mniejsze strugi, wiry i cyklony, co określa się jako przepływ turbulentny.

Matematyczny opis tego typu ruchów stanowi od wieków szczególnie twardy orzech do zgryzienia. Któryś z wybitnych fizyków, albo Horace Lamb, albo Werner Heisenberg, miał rzekomo powiedzieć, że po śmierci zada Bogu tylko dwa pytania: o teorię względności i o turbulencję. Nie znaczy to, że teoretyczny opis turbulencji nie istnieje. W 1941 r., przykładowo, wybitny rosyjski matematyki Andriej Kołmogorow przedstawił opis „kaskadowego” wzbudzenia się wirów w cieczy: od największej skali, przez coraz mniejsze, aż po „mikrowirki”, ostatecznie rozpraszające się w postaci chaotycznych ruchów cząsteczek cieczy – czyli ciepła. Do dziś jed-

nak w wielu sytuacjach, kiedy turbulencja ma znaczenie – czyli od modelowania zachowania się samolotu po symulacje zmian klimatycznych – nie do końca wiadomo, jaką metodą sobie z nią poradzić.

Mamy taką piękną teorię...

Odwrotna sytuacja występuje wtedy, kiedy teoretycy posiadają do dyspozycji matematycznie elegancką teorię, ale żadnym sposobem nie udaje się jej potwierdzić – czy nawet obalić! – obserwacyjnie. Najśłynniejszym ze współczesnych przypadków jest teoria strun, mająca stanowić kolejny wielki krok w drodze ku opisaniu mikroświata, a wraz z nim również i wszechświata jako takiego. Choć teoria ta rozwijana jest od lat 60. XX w., a co miesiąc publikuje się na jej temat setki kolejnych artykułów, nie istnieje obecnie żaden potwierdzony sygnał ze strony obserwatorów, jednoznacznie informujący o jej słuszności.

Nie jest to do końca niedostatek samej tej teorii, a raczej specyfika jej przedmiotu. Teoria strun pokazuje swoje pazury – i przewagę nad bieżącą wersją teorii kwantowej – dopiero przy opisie zjawisk takich jak zachowanie się cząstek elementarnych przy skrajnie wysokich energiach. Określenie „skrajnie wysokie energie” oznacza przy tym warunki, których żadnym sposobem nie da się dziś wytworzyć eksperymentalnie, a nawet przy maksymalnie podkręconym Wielkim Zderzaczu Hadronów przewidywania teorii strun nie różnią się specjalnie od tego, co przewiduje standardowa fizyka. Istnieje oczywiście więcej takich przypadków w fizyce: bo cóż właściwie mają powiedzieć naukowcy modelujący stan materii w samym centrum Jowisza? Dane obserwacyjne informujące o zachodzących tam procesach praktycznie nie istnieją. Cóż, taki jest po prostu świat.

Jedno jest jasne – naprawdę wielkie przełomy następują wtedy, kiedy uda się zgrać ze sobą stronę teoretyczną i obserwacyjną nauki. Nie zawsze da się to zaplanować, dużo częściej potrzebny jest łut szczęścia, jakim było choćby pojawienie się teleskopu właśnie wtedy, kiedy astronomowie opracowali nowe narzędzia matematyczne, pozwalające na płodne korzystanie z nowo uzyskanego morza informacji. Czasem danych obserwacyjnych – albo błyskotliwego wglądu teoretycznego – uporczywie brak. Trudno jednak obrażać się na świat, że nie wręcza nam wszystkich swoich sekretów na tacy. ©

**Przyszła
wiosna**

**PRZE
KROJ**

**Życie
ułatwione**

nr 2 (3561)/18 14,90 zł (w tym VAT 8%)

W KIOSKACH!

**ZAMÓW PRENUMERATĘ
WWW.PRZEKROJ.PL**



M. RACZKOWSKI